

Kálmán Mikszáth

Nowa Zriniada

TYTUŁ ORYGINAŁU: AZ ÚJ ZRINYIÁSZ

PRZEŁOŻYLI Z WĘGIERSKIEGO  
RAOUL KAMIL PORGES I MARTA OKOŁÓW-PODHORSKA

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” 1953 r.

## OD WYDAWNICTWA

*„Nowa Zriniada“, napisana w r. 1898, jest czwartą z powieści Kalmana Mikszatha, których przekłady ukazały się nakładem naszego wydawnictwa. Tytuł jej nawiązuje do eposu Zrinyiego z XVII w., którego bohaterem jest poległy w walkach z Turkami pod Sigetvarem w r. 1566 jeden z przodków poety — Miklosz Zrinyi. Postać tę „wskrzesił“ w swojej powieści Mikszath. Fantastyczny pomysł przeniesienia średniowiecznego rycerza w drugą połowę XIX wieku na Węgrzech stanowi punkt wyjściowy satyry Mikszatha. W przedmowie do jednego z wydań autor pisze, że postać Zrinyiego jest w powieści tylko pretekstem. „Istotne jest tło, ówczesne stosunki społeczne... Dałem tu satyrę poglądów oraz wydarzeń społecznych... przeciwstawionych zwyczajom minionej epoki“. Świetna krytyka społeczeństwa, a szczególnie ówczesnych sfer parlamentarnych, lekki, barwny styl i humor — oto cechy tej powieści, dzięki którym wzbudzi ona z pewnością zainteresowanie czytelników polskich.*

## CZĘŚĆ PIERWSZA

### I

#### PRELUDIUM

Prawie każdy pisarz pozostawia jakieś dzieło, o którym opinia potomnych głosi, że gdyby je całkowicie opracował, byłoby to coś pięknego. Lecz tego już pisarz nie słyszy.

Inaczej jest ze mną: jeszcze za życia chcę zobaczyć swoją pracę, pozostawioną w formie szkicu, i słyszeć głosy:

— Szkoda, że nie opracował tego lepiej.

Opracuję zresztą temat najstaranniej, jak tylko potrafię, ale jest on tak dziwny i obejmuje tak bogaty materiał, że z konieczności będzie miał formę szkicu, przynajmniej pozornie. Powinienem jednak wyjaśnić, dlaczego właściwie Zrinyi dostaje się do nowoczesnego szkicu politycznego. Otóż dlatego, że średniowieczne zwyczaje chcę przeciwstawić dzisiejszym nowoczesnym poglądom, aby czytelnik łatwiej spostrzegł, jak zmienił się świat, chociaż charaktery ludzi w podobnych warunkach zawsze były te same. Ban Petur i dzisiaj żyje w stu postaciach, są też między nami liczni Dożowie. Zawsze znajdują się tacy jak Lajos Olay, który — jak pisałem już kiedyś — odprowadził Felicjana Zacha \* do królewskiego pałacu i na dziedzińcu dodawał mu odwagi mówiąc:

— Idź no, Felicjanie, i uderz na nich. Nie bój się! Ja pędzę, bo muszę się zobaczyć z panną służebną Omodów.

Żyje gdzieś pewno i Miklosz Zrinyi, ale możliwe, że jest teraz dworskim koncypistą a nie

\* Magnat węgierski, żyjący w XIV w. — awanturnik, który wtargnął do pałacu królewskiego i poranił Karola I i jego rodzinę.

dowódcą Sigetvaru. Typy są zawsze te same, ale inaczej wyglądają w odmiennych warunkach. Kim na przykład byłby teraz Ferenc Rakoczy II, gdyby naturalnie miał jeszcze ogromne posiadłości ziemskie, które stanowiły jedną trzecią całego kraju. Nie mógłby dzisiaj być wodzem rewolucji, w inny sposób musiałby pokazać swoją dzielność. Po prostu przy nim nie mógłby istnieć parlamentaryzm, bo wysłałby ponad stu posłów spośród własnych rządców i ekonomów, i gdyby miał na to ochotę, kazałby powiedzieć Banffyemu: — Nie ścierpię tego lub tamtego projektu ustawy. Proszę go wykreślić z porządku dziennego!

Takie groteskowe pomysły i porównania skłoniły mnie do tego, by powołać do życia Miklosza Zrinyiego z Sigetvaru. Nie potrafiłem oprzeć się tej pokusie. Nie czynię tego z braku czci dla Zrinyiego (niech czytelnik tego źle nie zrozumie), to jest tylko forma. Mógłbym przecież równie dobrze wybrać inną postać historyczną, lecz Zrinyi był największym zuchem w kraju i dzieje jego znają na Węgrzech nawet małe dzieci. A więc muszę wskrzesić przede wszystkim Zrinyiego. Już Pismo święte obiecuje, że wszyscy zmartwychwstaną w dniu Sądu Ostatecznego, pozostaje mi tylko zmienić datę.

Pan zawołał archanioła Gabriela (któremu już od dawna powierzono funkcje związane ze wskrzeszaniem) i rozkazał:

— Gabrielu, zejdź ze swoją trąbą i tam na dole zadmij trzy razy. Dziś odbędzie się Sąd Ostateczny.

Gabriel wesoło zatrzepotał skrzydłami:

— Idę, Panie.

— Uważaj dobrze. Na pierwszy dźwięk trąby zmartwychwstają ci, którzy zginęli za ojczyznę. Oni są bowiem moimi ulubieńcami.

— Tak, Panie.

— Na drugi odgłos trąby zmartwychwstają samobójcy, bo byli to, Gabrielu, dobrzy ludzie. Wielu z nich miało wrażliwe, szlachetne serca.

— Rozumiem, Panie.

— A teraz, Gabrielu, uważaj. Jeżeli ziemia nie będzie jeszcze znaną przeludnioną — zadmiesz po raz trzeci na swojej trąbie, której dźwięk rozewrze groby. Lecz gdyby na ziemi było już zbyt tłoczno — nie trąb trzeci raz.

Archanioł Gabriel zleciał, aby wypełnić rozkaz, i zabrał się do roboty. Podniósł trąbę do ust i zadął.

Wtem chwyciła go jakaś niewidzialna ręka i zagrzmiał głos:

— Stój, to pomyłka! Omyliliśmy się w obliczeniach o parę tysięcy lat. Przestań trąbić, świat będzie istniał nadal.

Gabriel przestraszony opuścił trąbę, lecz już było za późno. Na dźwięk pierwszego półtonu, jaki wydała jego trąba, zmartwychwstał Miklosz Zrinyi wraz z towarzyszami i, jak gdyby to było najzupełniej naturalne, wesoło ruszył w stronę Dombovaru, w kierunku Budy.

## II

### PIERWSZE WIEŚCI I WATYKAN

Piękny to był oddział, sami doborowi wojacy; jak to zwykle w bajkach bywa, otrząsnęli się: „Ależ spaliśmy smacznie”, potem nuż patrzeć, czy nie ma gdzie Turków. Nie było ani jednego. Lörinc Juranicz szukał królewskiego sztandaru, który wczoraj (trzysta trzydzieści lat temu) wręczył mu Zrinyi nakazując, żeby go bronił do ostatniego tchu. Ale sztandaru nigdzie nie było. Żołnierze przecierali oczy.

— Boże święty, gdzież my jesteśmy?

Nigdzie nie było też starego zniszczonego zamku, z którego przed chwilą zrobili wypad. Wszystko wydawało im się obce, nieznanne, tylko wody Almaszu pluskały cicho jak dawniej. Było ciemno (bo archanioł Gabriel na swój chybiony czyn wybrał właśnie ciszę nocy), ale w upiornym świetle księżyca widać było całą okolicę. Nie stały już tam namioty Solimana, nie było też dawnego zamku; jakaś czarodziejka zamieniła go na inny. Wszystko to było niepojęte.

Miklosz Zrinyi tak jak wypadł, w swym lekkim purpurowym dolmanie, w kołpaku z czarnym piórem, z szablą o złotej rękojeści, stał milcząc i ciężka mgła zasnuwała jego mózg. Co się mogło stać? Czy cała bitwa śniła mu się, czy teraz w grobie śnią mu się te bajdy? Włożył przecież do kieszeni sto złotych dukatów i klucze od zamku. Pomacał się po kieszeniach. Nie znalazł ani śladu kluczy i dukatów. Ci nikczemni zbóje musieli je wykraść. A może w ogóle nic nie włożył do kieszeni? Może wcale nie jest Mikloszem Zrinyim? Kimże jest w takim razie?

— Hej, Alapi! Gdzie jesteś, Alapi?

Zbliżył się człowieczek w kolczudze i szyszaku — chudy, garbaty, sama skóra i kości.

— Co rozkażesz, Mikloszu?.

— Co się z nami stało, Gaszparze?

— Pan Bóg uczynił dziwny cud.

— Jak to rozumiesz?

— Mnie się zdaje, panie, że zmartwychwstaliśmy i jesteśmy teraz w Dolinie Jozafata.

— Głupstwo! — przerwał hrabia Zrinyi. — Przecież tu jest Almasz, tam na dole widać ciemną plamę Nowego Miasta, a w dali sine góry. Gdyby teraz był dzień, zobaczyłbyś, że jesteśmy w Siget. A jednak, jednak... — zamyślony i zmieszany rozglądał się dokoła.

— A przecież, panie, wielu jest takich, którzy widzieli, jak okryty ranami upadłeś na moście i nikczemny Mohamed Sokoli odciął ci głowę.

— Moją głowę? — powiedział z dziwnym uśmiechem Zrinyi i spiętrzyły się przed nim pogmatwane wspomnienia. — Tak, tak... pamiętam Mohameda Sokoliego... mówiłem z nim... a może tylko widziałem go.

W tej chwili podszedł do nich Mate Seczödy, odpiął swój ogromny miecz i podał go Zrinyiemu.

— Panie, nie wiem, co się ze mną stało. Wiem tylko, że zwariowałem, bo widzę tu swego kuma, Balaża Deaka, oraz Piotra Botosza, chociaż pochowaliśmy ich przed dwoma tygodniami. Teraz uścisnęliśmy sobie dłonie. Niech mi wasza miłość odbierze dowództwo nad piechotą, bo rozum mi się pomieszał.

Dowódca Sigetvaru zrobił znak protestu.

— Zatrzymaj tę szablę. Jest nas tu więcej zaklętych. Ja sam też chciałbym zobaczyć imć pana Deaka żywego, bom odmówił nad nim Ojczy nasz, kiedyśmy go do grobu złożyli.

Seczödy odwrócił się na pięcie i odszedł dziarskim, lekkim krokiem. Wszyscy spojrzeli po sobie; wczoraj miał zmiążdżoną nogę i z jednej strony podpierał się kulą, a z drugiej szablą, teraz

zaś chodzi jak kozica; najwyraźniej jakaś turecka wiedźma zaczarowała wojska Zrinyiego mieszając ciała i dusze, żywych i zmarłych.

Isztvanffy od razu przypomniał sobie i opowiedział, jak to zdarzyło się kiedyś, że rozbawione dziny gdzieś w mieście Bagdadzie pozamieniały ludzi z orszaku weselnego w kondukt żałobny i odwrotnie.

Pal Isztvanffy jest wielkim bajaranem. Hej, jakże w ubiegłym roku lubił przysłuchiwać się jego opowiadaniom synek Zrinyiego — lecz biedaczek jest teraz w Czechach.

Może Zrinyi również o nim myśli, a może tylko zastanawia się nad tą dziwną sytuacją i patrzy, jak przed nim w najlepszym zdrowiu kłębią się żwawo i wesoło jego dowódcy, porucznicy i żołnierze.

Szuka w mózgu zagubionej nici. „Dlaczego jesteśmy tutaj? Skąd tu przybyliśmy i w jakim celu? Przecież byliśmy na moście... Zamek płonął. Haubica grzmiała... Ogromne kłęby dymu. W naszą stronę biegli Turcy z handżarami i dzidami — gdzie się nagle podziali? Nie widać ani krwi, ani poległych. I zamek się nie pali, nie czuć dymu. Nocny wiatr przynosi zapach bzów. Wszystko dokoła jest spokojne i ciche, tylko na dole w mieście szczekają psy i pieją koguty.

Seczödy wkrótce odnalazł siwego Balaża Deaka w tym samym czarnym stroju, w którym go pochowano, a potem również tych, którzy podczas szturm na Stare Miasto nie zdążyli schronić się za mury i zostali w pień wycięci przez Turków, gdy Zrinyi nagle kazał zamknąć bramy zamku. A oto idzie nasz szlachetny i rycerski pan Matiasz. Po odwrocie wroga znaleziono go porąbanego na cztery kawałki. Głowa leżała koło starej baszty, jedna ręka na chruście, ale nogi nie znalazły się wcale. Zabrał je z sobą jakiś bezbożny spahis prawdopodobnie z powodu pięknych kurdybanowych butów z cholewami, żeby nie tracić zbyt wiele czasu na ich ściąganie. No, i proszę teraz spojrzeć na imię pana Matiasza, znów jest z niego taki kawał chłopca, że żaden malarz nie mógłby namalować ładniejszego.

Byli tam jeszcze: brzuchaty Basza, krótkowidz Bosznyak, a co więcej, jakby Bóg sam wyszukał i zebrał tych, którzy padli w obronie Starego Miasta — nagle spotkali się z Ferencem Dando i z tym bałamutem żakiem Radovanem. Ze strachu przeżegnali się.

— Święty Boże, duchy! — dzwoniąc zębami wyjąkał Matiasz, ponieważ Dando i Radovan zostali pochowani o wiele wcześniej, jeszcze przez staromiejskiego proboszcza, padli bowiem w ich oczach podczas potyczki na Nowym Mieście.

— Waszmościowie nie jesteście tamci? — zapytał Mate Seczödy dygocąc i srogo patrząc na Matiasza i Baszę.

Patrzyli na siebie pocziwymi, szczerymi oczami, jakby mówili: „Ten Seczödy chyba zwariował!”

— Gdybyśmy byli duchami, nie byłibyśmy tak głodni i spragnieni jak wilki — żartuje Basza.

Radovan zdjął wiszącą na szyi manierkę i z wielką uprzejmością podał ją towarzyszowi:

— Napijcie się, panie bracie.

Basza otrząsnął się. Brrr! Jakże by mógł przyjąć coś od nieboszczyka?

— Nie zajmuj się mną, dobra duszo, lepiej wracaj do swego Stwórcy. Czy słyszysz pianie kogutów w Nowym Mieście?

Radovan zaśmiał się:

— Chciałbym ukrećić łeb temu kogutowi i wręczyć go do upieczenia jakiejś ładnej dziewoi — rzekł i podkreślił zawadiackiego wąsika.

Wszystko to działo się wśród niebywałego chaosu. Zamieszanie było coraz większe. W gwarnym obozie słychać było głośnie okrzyki: „Czary! Diabelskie sztuczki!” Kapelan zamkowy Janosz Vinnyoi, który padł podczas ostatniego ataku, wysoko podniósł krzyż i z namaszczeniem, zagłuszając wszystkich, śpiewał: „Alleluja! Zmartwychwstali!” (Myśląc oczywiście o

towarzyszach, bo każdy był pewny, że on sam wcale nie zginął). Niektórzy padli na kolana i zaczęli się modlić.

Nadbiegł Bajony; leciał na złamanie karku, omal nie wyrzucił Seczödyego.

— Wolniej, Janosz! Dokąd biegniesz?

— Szukam Zrinyiego — odpowiedział rozgorączkowany Bajony. — Znalazłem coś niezwykłego.

— Cóż takiego?

— Po tamtej stronie na słupie stoi kamienny lew, na cokole napisane jest coś w tym rodzaju: „Mikloszowi Zrinyiemu, bohaterskiemu obrońcy Sigetvaru“.

— Do diaska! — wykrzyknął Peter Pataczicz. — może stary Mohamed Sokoli zdobył się na to!

A Seczödy bezustannie kiwał głową i jedną ręką drapał się po karku:

— Niech mnie piorun strzeli, jeżeli rozumiem choć jedno słówko z tego wszystkiego. Waszmościowie twierdzicie, że nie jesteście marami — powiedzcie więc, jak to było z naszym ostatnim wypadem?

Basza, Deak i Ferenc Dando patrzyli na Seczödyego wielkimi oczami.

— O jakim wypadzie waszmość mówi?

— No, o tym ósmego września, gdy nasz wódz nałożył kołpak z brylantową szpilką i wspaniałą złocistą szatę, a do kieszeni włożył sto węgierskich złotych dukatów. Potem — piękny jak Cherubin — z lśniącą szablą w dłoni wybiegł w dym armatni...

— Złap sobie innego wariata, żeby słuchał twoich bajek, kumie — burczał Deak. — Ileż to jeszcze czasu do tego ósmego września. Nie czujesz zapachu bzów, kamracie?

— Czuć was cmentarzem — odpowiedział uroczyście Seczödy. — To jasne, że albo umarliśmy i pod ziemią śnimy o sobie nawzajem, albo zmartwychwstaliśmy i żyjemy. Tak czy inaczej chodźmy do naszego dowódcy. Chce jak najprędzej zobaczyć właśnie ciebie, kumie Balazu, ponieważ sam odmówił Ojczy nasz na twoim pogrzebie.

— No, jeżeli tak się sprawy mają, że wszyscy jesteśmy z jednej gliny — wtrącił z ozywieniem Basza — to daj tę manierkę, Radovan.

Podniósł ją do ust wygłaszając jak zwykle swój żartobliwy toast: „Niech Bóg da długie życie mężowi mojej żony!“ — lecz wewnątrz nic już nie było.

— Pusta jest przecież, do diabła!

Radovan potrząsnął manierką, żeby zabulgotało, lecz nie wydała żadnego dźwięku, zaklął więc siarczyście:

— Ejże, jak Boga kocham! Duchy na tamtym świecie wszystko już z niej wypily.

— Chodźmy, chodźmy do dowódcy!

Lecz nie trzeba było nigdzie iść. Sam Zrinyi znalazł się wśród nich i widząc swych dawno poległych wojowników, których kolejno oplakiwał, ze szlachetnym ogniem i zapałem przemówił w te słowa:

— Szlachetni rycerze! Bohaterscy Węgrzy! Nie dociekam, czy to, co działo się z nami, to czary, czy jakaś cudowna wola boska. Jedno jest pewne, że jesteśmy tu, że mamy szable u boku i że nie widać Turków. Przede wszystkim więc poszukajmy ich, a reszta przyjdzie sama. Za mną, chłopcy!

Zagrzmiało huczne „Wiwat“ i w szyku bojowym wyruszyli za swym wodzem w stronę Dombovaru. Zdziwili się ogromnie, gdy na Almaszu dostrzegli nigdy dotąd nie widziany most. (Pater Vinnyoi podniósł oczy do nieba: „Pan Bóg dla nas stworzył ten most!“) Ale wśród takiego nawału cudów nie zwrócili na to większej uwagi. Nie zadziwiło ich również, że bagniste mokradło jest suche i spod ich stóp unosił się pył.

— W ubiegłym tygodniu ten pies Mohamed Sokoli płynąc łódką polował tu na kaczki — mruczał Juranicz.

— Sam widziałem to z wieży zamkowej — potwierdził György Czaky.

Później nastąpiły jeszcze większe niespodzianki. W pewnej chwili żak Radovan zobaczył na ziemi dwa błyszczące żelazne drągi, schylił się i chciał je podnieść, lecz były strasznie długie i mocno przyklejone.

— Co to jest, do pioruna? Chodź no tutaj, olbrzymie!

Wołał Pataczicza, który potrafił kiedyś z ręki Agi Selima wyrwać buzdygan i przełamać go na kolanie, a potem kawałkami rzucał w Turków i w ten sposób zabił dwóch janczarów.

Pataczicz zabrał się do tego żelaznego drąga, lecz chociaż miał końskie siły, nie potrafił go ruszyć z miejsca.

Wstyd mu było ogromnie i zaczął biec obok drąga, żeby sprawdzić, jaki jest długi, wciąż jednak biegł, towarzysze obok niego, a żelazny drąg wcale się nie kończył; szli już dobre pół godziny i wciąż jeszcze końca nie było widać.

— No, chłopcy! — zawołał Pataczicz. — Nie mam pojęcia, co to może być, lecz że nie pochodzi od Boga i nie jest dla żywych ludzi — za to mogę dać głowę.

Mate Seczödy stuknął się w czoło i podszedł do Zrinyiego:

— Wodzu! My jednak jesteśmy na tamym świecie: jesteśmy duchami!

— Wszystko jedno — odpowiedział Zrinyi ponuro — jeżeli nawet jesteśmy duchami i chodzimy po tamym świecie — to też nic nie szkodzi; tu są także tureckie dusze, a o ile ich nie ma, to przebijemy się do rajy Mahometa i tam będziemy dalej prowadzili z nimi walkę. Nie kłopotcz się waszmość takimi szczegółami, Seczödy.

Seczödy nie kłopotał się już tym... bo właśnie z mroków nocy wyłaniał się nowy cud, który go zatrwożył. Z oddali z olbrzymią szybkością zbliżał się straszliwy potwór, prychał i huczał niczym siedmiogłowy smok.

Była to bezkształtna masa, niepodobna do żadnego zwierzęcia żyjącego na świecie. Dwoje ogromnych, czerwonych, ognistych oczu świeciło z daleka, pluł iskrami i dymem — szedł prosto na nich.

— Wyciągnąć szable! — rozkazał nieustraszony Zrinyi.

Dwieście kling wyszarpiętych z pochew zaszumiało w powietrzu jak przelatująca chmura orłów.

— Bij, kto w Boga wierzy! — zawołali rycerze Zrinyiego.

Lecz ten cud nad cudami nie był biegnącym na nich olbrzymem, ani straszliwym dzikim zwierzęciem i nie zrobił im najmniejszej krzywdy: było to jakieś pędzące miasto czy wieś, które — dym przed nim, dym za nim — przemknęło obok rycerzy.

Nie trwało to dłużej niż jedno mgnienie oka, więc gdy się ocknęli, mieli o czym mówić: nie każdy przecież zdążył wszystko zobaczyć.

Radovan przysięgał na niebo i ziemię, że przednia część była to jednak żywa istota, jakiś bezkształtny potwór, zaprzęgnięty do rzędu domków toczących się na żelaznych kołach. Przecież i oczy miał, i parską. Czyż mogła to nie być żywa istota?

György Czaky natomiast dojrzał ludzi poza oknami oświetlonych domków.

— Hoho, ależ tam były piękne kobiety! — wtrącił Janosz Bajony, który całe życie kręcił się koło spódniczek.

— Kobiety właściwie były takie same jak nasze — tłumaczył Czaky — lecz mężczyźni mieli dwa nosy: jeden na zwykłym miejscu, a drugi wystawał im z ust, palił się i dymił.

— Nie gadaj głupstw, Gyuri — rzekł Alapi.

— Na honor! Mówię ci!

Padaly teraz setki uwag — jeden to dostrzegł, drugi tamto, i ze zdumieniem słuchali o tylu niepojętych rzeczach. Czelejthey w jednym okratowanym domku widział woły, a w innym konie. A może jednak te konie ciągnęły jakoś owe mknące miasto? Ech, bzdura! Czy konie potrafią tak szybko biec!? Hm, a może to były bucefały...

Tak wśród rozmów, domysłów i debat zmartwychwstali rycerze Zrinyiego wędrowali w stronę Dombovaru... Na wschodzie niebo zaczęło się rozjaśniać. Purpurowy blask ukrytego jeszcze słońca rozprzestrzenił się i w ciemność nocy jakaś niewidzialna ręka sączyła mleczne światło...

— Dnieje! — zawołał Mate Seczödy. — A jednak to jest ten sam stary świat! Chodźmy, przyjaciele, zdaje mi się, że tam za drzewami widzę wioskę.

\*

Wielka niespodzianka czekała po tej stronie kuli ziemskiej słońce, które jak stary aktor za kulisami wypatrywało chwili swojego wejścia na scenę. Spiesz się, stary febusie! Zaprzęgaj konie, prędko zakładaj kantary, jeszcze dzisiaj zobaczysz dziwne rzeczy.

Przez całe popołudnie i wieczór do różnych redakcji w Budapeszcie nadchodziły przedziwne telegramy, lecz tylko jedna gazeta *Nemzet* zamieściła wzmiankę, i to pod tytułem:

#### ZWARIOWANI KORESPONDENCI PROWINCJONALNI

*Ktoś z Dombovaru pod różnymi pseudonimami rozesał dzisiaj telegraficznie do wszystkich stołecznych pism wiadomość, że Miklosz Zrinyi i jego towarzysze zmartwychwstali ubiegłej nocy w Sigetvarze i przybyli do Dombovaru, gdzie w tej chwili zabawiają się na stacji kolejowej. Jest ich około dwustu, odzianych w stare aksamitne purpurowe stroje; są w zbrojach, a niektórzy w kolczugach i szyszakach. W mieście panuje ogólne zdziwienie i zainteresowanie. Publiczność tłoczy się koło dworca. Nie wspomnielibyśmy nawet o tej dziwnej historii, wymyślonej może tylko przez jakiegoś wariata, gdybyśmy jednocześnie nie dostali następującej depechy z Sigetvaru: „Dziś znaleziono otwarte niektóre groby na starym cmentarzu. Po zbadaniu odkryto w nich co prawda resztki trumien, ale nie można było stwierdzić ani śladu istnienia kości; kryje się w tym jakaś uderzająca tajemnica”. Wynika z tego wyraźnie, że między telegramami z Dombovaru i Sigetvaru istnieje logiczna więź i prawdopodobna wydaje się hipoteza o jakiejś klerikalnej machinacji, która jest w przygotowaniu.*

Ten mały, niepozornymi czcionkami drukowany komunikat, nie był w zasadzie obliczony na wywołanie sensacji — ale mimo to wzbudził wielką sensację. Albowiem pasażerowie pociągu z Fiume już w nocy rozpowszechnili w stolicy dziwną wiadomość, która rozeszła się jak ogień. Rano całe miasto pytało: „Czy to prawda, że Zrinyi i jego wojacy zmartwychwstali?”

Śmiano się z tego, lecz powtarzano dalej. Ludzie, którym można było wierzyć, widzieli Zrinyiego w gmachu dworca w Dombovarze; jest zupełnie taki sam, jakim go znają z obrazów: szeroka, płaska twarz, niskie czoło, przystrzyżona okrągła broda; są z nim także wszyscy dowódcy: Alapi, Juranicz, Seczödy, Czaky — sami średniowieczni bohaterowie. No, oczywiście, że nie może to być prawda, lecz jednak jest w tym coś osobliwego. Mówią między sobą po łacinie i po węgiersku, lecz cóż to za język węgierski — niby z średniowiecznej Biblii albo nawet jeszcze dawniejszy.

Podróźni rozgłaszali o nich tysiące szczegółów. Ludzie rozsądni wznosząc ramionami odpowiadali: — Ech, bajdy! Z pewnością jakaś trupa aktorów, przebranych w dolmany i teatralne kostiumy, uciekła skądś i teraz robi z ludzi wariatów!



- Trupa aktorska? Czyż jest gdzieś na prowincji trupa aktorów złożona z dwustu ludzi!?
- No, więc kim są, jeżeli nie aktorami?
- Tylko Bóg jeden wie, lecz wszystko to jest dziwne i bardzo, bardzo interesujące.

Cała sprawa budziła ciekawość. Z początku tylko ciekawość: co właściwie będzie dalej, do czego to dojdzie? Ciekawość przeszła w podniecenie, a jak to zwykle bywa — podniecenie rosło niczym lawina. W wieczornym wydaniu *Pester Lloyd* ukazał się na temat wypadku obszerny komunikat pt. „Tajemniczy panowie z Dombovaru“. Świadek naoczny, który przed południem przybył do Budapesztu i osobiście widział na dworcu Zrinyiego i jego towarzyszy, pisze, co następuje:

*Najbardziej fantastyczne wieści krążą o dwuosobowej grupie ludzi, którzy podają się za Zrinyiego i jego towarzyszy. Faktem jest, że poprzedniego wieczoru rzeczywiście jakaś duża grupa, złożona z samych mężczyzn ubranych w stare węgierskie stroje galowe, wkroczyła do gmachu dworca w Dombovarze, gdzie przebywało właśnie tylko niewielu podróżnych. Zauważono, że w tym czasie nie nadjechał żaden pociąg ani wóz, musieli więc przyjść piechotą; ich wysokie buty (niektórzy mieli żółte) były zakurzone. Restauratorowi oświadczyli, że są głodni i spragnieni, prosili o wino i strawę. Restaurator i kelnerzy na wysoki obsłużyli wspaniale prezentujących się panów, którzy w pełnym uzbrojeniu zasiedli przy stołach. Osoba pisząca niniejszą notatką przejeżdżała w nocy przez Dombovar i była świadkiem sceny, gdy dziwni goście poprosili restauratora o nocleg.*

*Ten oświadczył, że nie rozporządza odpowiednim pomieszczeniem, lecz że w mieście, w Dombovarze, z pewnością wygodnie się ulokują.*

*Słyszac tę odpowiedź podający się za Zrinyiego osobnik (który rzeczywiście jest ucharakteryzowany na obrońcę Sigetvaru) poklepał restauratora po ramieniu i rzekł:*

— *Dziękuję, przyjacielu, za gościnność. Zatrąszczę się o ciebie w przyszłości.*

*Restaurator wytrzeszczył! oczy i poprosił o zapłatę:*

— *Co pan sobie myśli? Czy uważacie mnie za wariata? Tylu panom miałbym darmo dać jeść i pić?*

— *Cóż mam uczynić? — zapytał z łagodnym uśmiechem człowiek podobny do Zrinyiego.*

— *Wyrównać rachunek. Proszę płacić i basta.*

*Na to nieznamy w stroju galowym kręcąc głową zwrócił się do jednego z towarzyszy, rycerza olbrzymiego wzrostu:*

— *Słyszałeś kiedy, Pataczicz, żeby od gości żądano pieniędzy? Ale to nic. — Potem zwrócił się do restauratora z majestatycznym wielkopańskim spokojem: — Pieniądzy nie mam, przyjacielu; sto złotych dukatów, które włożyłem do kieszeni, wyjęli mi Turcy, lecz przyślę ci, gdy będę miał. Pozostań z Bogiem.*

*Restaurator i kelnerzy zaczęli wtedy lamentować, że tak nie uchodzi, że jeśli rycerze nie zapłacą, oni nie pozwolą im wyjść, a w razie odmowy wezwą policjantów. Słyszac to jeden z przybyszy, ubrany w dolman koloru dojrzałego granatu, ognisty młody rycerz, którego towarzysze nazywali Czakym, wy dobył szablę i zapytał rycerza w czarnym kołpaku (Zrinyiego):*

— *Czy mamy wyrznić tych nędzników?*

— *Nie ruszajcie ich — powiedział tamten, uśmiechając się na widok przerażenia restauratora.*

— *Nie wolno lekkomyślnie przelewać krwi. Trzeba będzie jednak zdobyć pieniądze, to przede wszystkim.*

— *Przecież nawet nie wiem, kim panowie są — wyjąkał gospodarz dzwoniąc zębami.*

*Wtedy ten w dolmanie koloru dojrzałego granatu powiedział:*

— *Wiedz, ty bydlaku, że mówiłeś z hrabią Mikloszami Zrinyim, panem wszystkich ziem i lasów,*

hen aż do samej Czaktorni.

Po tej scenie tajemniczy magnaci z głośnym brzękiem szabel i ostróg wymaszerowali z restauracji zostawiając zrozpaczonego gospodarza, któremu wszystko wyjedli. To, że nikt z pasażerów, chociaż wielu ich wysiadło właśnie z pociągu, nie znalazł żadnego z rycerzy, jest okolicznością nader dziwną.

„Tyle podał naszej gazecie — kończy swój komunikat *Pester Lloyd* — wiarogodny naoczny świadek, który niestety, ponieważ usłyszał odgłos trzeciego dzwonka, nie mógł dowiedzieć się bliższych szczegółów o tych dziwnych panach.”

My, którzy znamy prawdę, możemy sobie wyobrazić, ile Zrinyi i jego towarzysze zdobyli doświadczeń nawet w ciągu jednego dnia i ilu doznali rozczarowań. Wypytywali pewnie napotkanych po drodze ludzi:

— Czy nie widzieliście tu gdzieś w okolicy jakiegoś oddziału tureckiego?

Może wreszcie jakiś mądry człowiek odpowiedział im: — Prawdę mówiąc to nawet ostatni już wyniósł się, mości panowie. W pobliżu nie ma żadnego Turka oprócz tego w rynku na reklamie sklepu z tytoniem.

— No więc cóż to za kraj właściwie?

— Węgry.

— A kiedyż Turcy stąd wyszli?

— Już ze trzysta lat temu.

Wtenczas prawdopodobnie rycerze zapytali:

— Któryż to rok po urodzeniu Chrystusa teraz mamy?

— Powoli dochodzimy do tysiąc dziewięćsetnego.

Jakże musieli dziwić się ci dzielni i dumni rycerze:

— Czyżbyśmy spali od tamtego czasu?

Ile myśli musiało przebiec przez ich mózgi! Ile tłoczących się uczuć musiało przeorać ich serca!

Każde słowo, każde pytanie, każda odpowiedź zmieniały ich pojęcia i pogląd na sprawę. „Trzysta lat byliśmy w grobach, przez ten czas zmarły nasze żony, nasze dzieci, wnukowie, może nawet wyginęły całe nasze rody. Jakże zamiary może mieć Bóg wobec nas?”

Potem znowu rzucali najróżniejsze pytania, jakie komu wpały do głowy:

— A kto teraz panuje?

— Franciszek Józef.

— Z jakiego rodu?

— Z Habsburgów.

— A kto jest teraz palatynem?

— Nie ma już palatynów.

Ale któż by miał tyle fantazji? I jakie ogromne skrzydła trzeba by jej przypiąć (większe od tych, które są umieszczone na herbie i tarczy Zrinyiego), żeby zdołała przelecieć wielką przestrzeń trzech wieków. Kto może wiedzieć, jak doszli do zrozumienia wielu rzeczy, które nam wydają się łatwe i proste?

To tylko możemy uważać za pewne, że — jak to wynika z doniesień *Pester Lloyd* — na dworcu w Dombovarze jeszcze nie wiedzieli o tych trzystu trzydziestu dwóch latach, które podstępnie przyczaiły się pomiędzy „wczoraj” a „dziś”, bo w przeciwnym razie György Czaky nie powiedziałby, że Zrinyi jest panem wszystkich ziem i lasów aż do samej Czaktorni. Jeżeli nawet mieli jakieś wątpliwości — z pewnością przecież musieli je mieć i umysł ich już zaczynał wyczuwać prawdę — nie da się wręcz obliczyć, ile drobiazgów mogło im utrudnić zrozumienie

sytuacji. Jeśli zaś chodzi o ich perypetie — dokładnie zna je historia. Po ukazaniu się wiadomości w *Pester Lloyd* najpoważniejsze pisma skierowały swoich specjalnych wysłanników, jednych do Dobbovaru, innych do Sigetvaru i ci opisali wszystko, co się ze Zrinyim i jego towarzyszami działo — a nawet i to, co się nie działo.

A jednak — i pod tym względem panował wśród sprawozdawców zgodny pogląd — zdawało się nie ulegać wątpliwości, że ci rycerze to rzeczywiście hrabia Miklosz Zrinyi i jego towarzysze. Groby w Sigetvarze znaleziono otwarte i poza tym tożsamość hrabiego Zrinyiego nie budzi chyba zastrzeżeń. Jest to wprawdzie nadprzyrodzone, lecz taką obietnicę dano chrześcijanom i jeżeli do XIX wieku głoszone ją wciąż, jako rzecz pewną i świętą — teraz, gdy mała jej część została urzeczywistniona, lekkomyślnością byłoby powiedzieć, że to, co się stało, jest niemożliwe. Albo raczcie uznać, że przez tysiąc dziewięćset lat księża kłamali i święte księgi głosiły kłamstwa, a kłamstwa te były przez wszystkich powtarzane, albo musicie uwierzyć, że Zrinyi i jego towarzysze zmartwychwstali.

Sprawa Zrinyiego stała się wielkim zagadnieniem. Całe szpalty w gazetach mówiły o zachowaniu się rycerzy; ukazywały się wywiady, szkice, humorystyczne artykuły, które opowiadały o każdym ich kroku. Nawet do ministra spraw wewnętrznych nadszedł telegram od władz, że wspólnota interesów (sic!), która nazywa siebie wojskami Zrinyiego, chcąc zdobyć pieniądze szturmowała w pobliżu Dobbovaru pałac jakiegoś ziemianina pruskiego pochodzenia. Obiegła pałac w biały dzień i zażądała od właściciela czterystu złotych dukatów jako okupu wojennego. Zastraszony gospodarz wypłacił żadaną sumę jeszcze przed nadejściem żandarmów, którzy zresztą nie odważyliby się przeciwstawić przeważającym siłom. Władze proszą o energiczne zarządzenia i o posiłki wojskowe w celu okiełznania tajemniczej bandy, która urządza napady.

Minister spraw wewnętrznych był jak zwykle na polowaniu i nie wydał zarządzeń. Stało się zresztą szczęśliwie, bo opinia publiczna zaczęła się wypowiadać raczej za Zrinyim. (Dobrze jest, gdy akta trochę poleżą.)

Prasa podała w życzliwej formie wiadomość o oblężeniu pałacu. Przecież to tylko przemawia za Zrinyim. Nie ma pieniędzy, więc otwarcie stara się o nie w jasny dzień na swój sposób, według metody średniowiecznej, tak jak to wówczas było w zwyczaju.

Nawet niewierni Tomaszowie mówili tak samo, szczególnie gdy wyszło na jaw, że tym, którego zmuszono do wypłacenia okupu, jest właściciel ziemski pruskiego pochodzenia.

— A jednak to musi być Zrinyi.

Księżom także przydał się ten temat. Wielka okazja. Mają sposobność, aby udowodnić, że jednak zmartwychwstanie istnieje.

Bo jeżeli księża potrafią wmówić tłumowi, że istnieje tamten świat, to ludzie pozostawią im ten. A to przecież całkowicie wystarczy.

Cała sprawa stała się dla księży wspaniałym kapitałem, i to zupełnie słusznie. Niedołęstwem byłoby nie wykorzystać takiej sposobności... A poza tym fałszywa dwulicowa ludzkość zasłużyła na małą nauczkę: nawet w prawdy, które sama głosi, przestaje wierzyć, gdy tylko staną się rzeczywistością. Czyż to nie jest nikczemne? Właściwie nie chodzi tu tylko o Zrinyiego, lecz o inne sprawy. Ludzie sławią równość i swobodę myśli, a kiedy ukaże się jedna z tych dwóch pięknych wróżek, w żaden sposób nie chcą jej rozpoznać. Trzymają swoje kłamstwa w tej samej szufladzie, w której mieszczą się ich prawdy. Dobrze jednak wpłynie na głowy taki mały prysznic z ambony.

W kościołach urządzano wielkie procesje, odbywały się nabożeństwa dziękczynne, śpiewano *Te Deum*. Kilku biskupów ogłosiło listy pasterskie, które ukazały się na łamach gazet — tej wielkiej zbiornicy ziemskich próżności. Słowem, sprawa Zrinyiego wywołała wielkie wrzenie.

Wzbudziła zamęt w całym społeczeństwie i przedostała się za granicę. Korespondenci największych angielskich i francuskich dzienników byli już w drodze. *Times* w całokolumnowych artykułach błyskawicznie dostarczał do każdego punktu kuli ziemskiej wiadomości o największym cudzie XIX wieku. Ludzie nie mówili o niczym innym tylko o zmartwychwstaniu, wypowiadali się *pro* i *contra*, lecz szeregi wątpiących traciły grunt pod nogami z godziny na godzinę, w miarę jak nowe wypadki, nowe oświelenia, nowe obserwacje, nowe wieści i nowe prądy czyniły to zdarzenie coraz bardziej prawdopodobnym. Każda wiadomość była chciwie przyjmowana i gorączkowo obiegała Europę. Wirowały i kłębiły się najróżniejsze uczucia: religijność, ciekawość, chciwość, pycha.

Kasyno Narodowe \* zdecydowanie opowiedziało się po stronie Zrinyiego. Przecież bardziej naturalne jest, gdy wielkopańskie postacie wychodzą z grobu, niż gdyby wychodziły z kas pancernych. W kasynie jak zwykle opowiadano sobie wiele różnych „tere-feré“ i jak zwykle rodziły się tam liczne bons mots. Przecież na tej chudej glebie i tak nie rodzi się nic poza tym!

— Sapristi! \*\* — powiedział mały Nopcza, który zawsze dbał o sprawy dworu. — Król dobrze na tym wyszedł, hm, może nie stawiać obiecwanego pomnika, ha...

I Nopcza wesoło zacierał ręce. Lecz równocześnie przebiegłość i chytryść także prędy delikatne nici na swoim różnobarwnym wrzecionie.

— Wszystko to tylko oszustwo i kuglarstwo! — głosili w kularach Parlamentu koryfeusze opozycji. — To Banffy i Daranyi zainscenizowali całą tę komedię przeciwko socjalizmowi.

Jak długo wrzało dokoła tego zagadnienia, tak długo niby bąbelki w kipiącej wodzie występowały różne poglądy. Otto Herman napisał artykuł i kretynami nazwał wierzących w całą tę historię. Bela Czobor wygłosił w Akademii referat o strojach i klejnotach z okresu Zrinyiego. Akademicy, zawzięci kalwiniści, na ogół zaprzeczali prawdopodobieństwu całej sprawy. Lecz Karol Sas pośpieszył z wnioskiem, aby wydać korespondencję hr. Isztvana Seczenyiego, co zostało przyjęte. Było to oznaką, że sprawa utkwiła jednak w głowach akademików; liczyli się z ewentualnością, że o ile niektórzy ludzie naprawdę zmartwychwstali, to mogą zmartwychwstać i inni, a wśród nich także Seczenyi i wobec tego lepiej zabezpieczyć się przed zarzutem, że Akademia \*\*\* nie chciała wydać jego pism.

Natomiast Towarzystwo Historyczne po głębszym zastanowieniu się nad dombovarską zagadką i po dłuższej naradzie wysłało czteroosobową komisję celem „stwierdzenia autentyczności” Zrinyiego i jego towarzyszy.

— Jest to naszym obowiązkiem, panowie — powiedział prezes — w tym ogólnym chaosie wskazać ludzkości kierunek.

Prezes zaproponował, aby do komisji weszli: Kalman Thaly, Bela Czobor, dr Aureli Török i dr Fryderyk Koranyi.

— Po cóż tam Koranyi? — sprzeciwiano się głośno. — Lekarz potrzebny jest tylko do stwierdzenia zgonu; przy zmartwychwstaniu jest zbędny.

— Nie potrzeba Koranyiego! — wołał głośno Thaly, potrząsając ogromną grzywą, którą przyprószyła już siwizna.

— Koranyi nie jest historykiem!

— Koranyi nie jest archeologiem!

— To prawda, panowie — przekonywał prezes — ale powinniście wiedzieć, że dr Koranyi

\* Klub, do którego należeli przedstawiciele najwyższych warstw społeczeństwa, głównie arystokracja.

\*\* Francuskie przekleństwo.

\*\*\* Węgierska Akademia Umiejętności, założona w r. 1825 przez hr. Seczenyi przy jego znacznej pomocy materialnej. Po wielu gorących dyskusjach Akademia nie wydała jednak korespondencji hrabiiego.

zrobił największe odkrycie XIX wieku.

— Co? Gdzie? — wybuchła żywiołowa ciekawość.

— Fraknoi \* w książce o królu Matiaszu zamieszcza opinię Koranyiego na temat choroby, na którą umarł sprawiedliwy król. Koranyi dołączył do tego *visum repertum* \*\*, na które składają się dwie gęsto zapisane strony. Ten, kto umie spojrzeć wstecz w tak daleką przeszłość, na pewno dojrzy i to, co się dzieje bliżej.

Argumenty te przekonały nawet najbardziej upartych historyków i bez słowa sprzeciwu zgodzili się na udział Koranyiego w tej komisji o ogromnym znaczeniu (na którą, jak mówiono, skierowane były oczy całego kraju).

Komisja oczywiście natychmiast wyjechała do Dombowaru, by zobaczyć się ze Zrinyim i jego towarzyszami, którzy byli rozchwytywani przez ludność tego miasta; noszono ich niemal na rękach; urządzano na ich cześć wspaniałe uroczystości, damy zasypywały Zrinyiego kwiatami (żak Radovan wczoraj zaręczył się z pewną tamtejszą czarującą dziewczyną).

Jak donosiły ostatnie telegramy, wędrowna trupa teatralna dała na ich cześć uroczyste przedstawienie „Męczenników z Sigetvaru“ Jokaia. Zrinyi siedział w łożu ze swym kuzynem Gaszparem Alapim, uważnie i z powagą wysłuchał całego przedstawienia, po czym zauważył:

Nie ma w tym wszystkim ani słowa prawdy.

Lecz opinia publiczna z gorączkową niecierpliwością oczekiwała informacji o działaniu komisji (bo na Węgrzech lubią, żeby komisje załatwiały wszystko, nawet oddychanie, gdyby to było możliwe) — myśląc, że swoją powagą wreszcie przechyli ona na lewo lub na prawo wciąż jeszcze niejasną „sprawę Zrinyiego”. Komisja, powiadam, jeszcze nie mogła nawet wydać żadnego oświadczenia, ponieważ nie zdążyła przybyć na miejsce — gdy z dalekiego kraju doszedł ważki głos — a nawet nie sam głos, tylko echo odezwy — i swoją powagą, która trzęsie światem, raz na zawsze przesądził sprawę.

Z Rzymu nadszedł telegram, który gazety ogłosiły w dodatkach nadzwyczajnych.

*Dziennik watykański Piccolo w dzisiejszym numerze podaje treść encykliki papieskiej, wydanej przez Ojca Świętego z okazji cudownego zmartwychwstania w kraju Marii (Regnum Marianum) hrabiego Miklosza Zrinyiego i jego żołnierzy, obrońców chrześcijaństwa. W encyklice tej niezwykle zmartwychwstanie roztrąsane jest jako dzieło Opatrzności. Encyklika*

\* Vilmos Fraknoi; Życie króla Matiasza, str. 381. „Całe ciało — mówi Koranyi — wskazywało na ciężką chorobę mózgu, której wobec natychmiastowego leczenia nie możemy uważać za zapalenie, lecz za udar mózgu. Na skłonność do takiej choroby wskazują zdarzające się już w poprzednich latach stany omdlenia króla Matiasza”.

\*\* Widziano, znaleziono (łac.). Prawnicza nazwa sprawozdania lekarza z oględzin ciała ludzkiego.

*obszernie wyjaśnia, że zmartwychwstanie nie oznacza, że dane osoby staną się nieśmiertelne, i należy to rozumieć jedynie w ten sposób, że nić życia zaczynają oni snuć na nowo od chwili, gdy przerwane zostało bohaterską śmiercią za wiarę chrześcijańską. A więc na przykład hrabia Miklosz Zrinyi ma teraz pięćdziesiąt osiem lat, nie zaś trzysta osiemdziesiąt i będzie żył — tak samo jak i jego towarzysze — tak długo, jak w ogóle miał żyć. Kardynał Rampolla w ciągu jutrzejszego dnia ogłosi encyklikę.*

Minister oświaty, Właszicz, po przeczytaniu w dodatku nadzwyczajnym telegramu z Rzymu usiadł natychmiast i napisał następujący list:

*Jaśnie Panie Hrabio!*

*Zacny Patrioto!*

*Ze względu na moje zajęcia dopiero teraz mogę chwycić za pióro, by wyrazić radość z powodu Pańskiego szczęśliwego zmartwychwstania. Serce mi głośno bije z radości i napętnia mnie uczucie spokoju, że nie jest już tylko dogmatem, lecz stało się rzeczywistością, iż ci, którzy żyją dla Ojczyzny, nie umierają, a — co już teraz odważą się dodać — jeżeli nawet umrą, dane im, będzie zmartwychwstać.*

*Bądź przekonany, Jaśnie Panie Hrabio, żeś i po śmierci był przedmiotem mojej niewymownej czci i poważania. Od czasu gdy objąłem stanowisko ministra, we wszystkich podręcznikach szkolnych i czytankach Pańskie bohaterskie czyny świecą przykładem uczącej się młodzieży.*

*Pozdrawiam Pana i proszę Opatrzność, która wyprowadziła z grobów Pana i jego szanownych towarzyszy, by dla dobra naszej Ojczyzny i Narodu pozwoliła wam w czerstwym zdrowiu do poprzednich czynów dodać wiele nowych i wielkich.*

*Właszicz*

*Dnia... itd.*

### III

#### SŁAWNY SŁOMIANY OGIEŃ

Gorączka ogarnęła stolicę. Ach, to jest zawsze wielka rzecz, gdy Budapeszt oczekuje gościa. I wszystko odbywa się zwykle według stałego szablonu. Domy przyozdabiają się we flagi, w pewnych oknach zjawiają się te same dywany i kapy. Policjanci wkładają galowe mundury. Burmistrz nie przyjmuje stron, zamyka drzwi, uczy się mowy. Coraz gęstszy tłum faluje koło dworca, na który przybędzie gość.

Kieszonkowcy sadowią się możliwie najbardziej celowo wzdłuż trasy, umieszczają się tam także policjanci — lecz jak najbardziej niecelowo. To już jest szablon zewnętrznego obrazu miasta. Zawsze też jednakowy los czeka znakomitego gościa. Lokum jest już dla niego przygotowane w Hungarii, której foyer ozdabiają rośliny cieplarniane, w salonie na stole oczekuje gościa zaproszenie od barona Atzela do Park-Clubu i drugie od hrabiego Zichyego na polowanie później zaś czeka na gościa program, którego głównymi punktami są: zwiedzenie

elewatora, wieczorne przedstawienie w Operze, wreszcie uroczysty bankiet w salach Reduty Miejskiej. Do tych atrakcji dodać należy na koniec obejrzenie miejskiej hali targowej i nowego gmachu parlamentu. Są to piękne rzeczy.

Nie trzeba podkreślać, że chodzi o przyjęcie Miklosza Zrinyiego. Jego i jego rycerzy oczekuje gościnna stolica. Dawno nie było podobnego entuzjazmu. Kościół także weźmie udział w pompatycznym przyjęciu i wprawi w ruch wszystkie dzwony Budapesztu. Kler wyruszy na dworzec przybrany w szaty liturgiczne.

Zresztą encyklika papieska rozwiała wątpliwości we wszystkich warstwach społecznych. Ani jeden głos nie odezwał się przeciwko cudowi. Komisja Towarzystwa Historycznego w swoim telegraficznym komunikacie również stwierdziła tożsamość rycerzy. Tego samego zdania jest Bela Czobor, lecz uważa, że stroje ich nie są wierne epoce.

Gdy gościowi przedstawiono Kalmana Thalyego, ktoś szepnął Zrinyiemu:

— Napisał historię Ferenc Rakoczego II.

— Kto to jest ten Ferenc Rakoczy II? — zapytał Zrinyi niedbale.

Thaly oburzył się przez sekundę, lecz przypomniał sobie, że przecież Zrinyi żył wcześniej, odpowiedział więc spokojnie:

— To syn Ilony Zrinyi.

Bohaterski obrońca Sigetvaru nadaremnie szukał tego nazwiska w swoich wspomnieniach.

— To prawnuczka pana hrabiego, największa bohaterka i najpiękniejsza kobieta węgierska, która przez trzy lata broniła zamku w Munkaczu.

Oczy Zrinyiego zabłysły:

— I wypędziła Turków? — zapytał z żywym zainteresowaniem.

— To wojska cesarskie atakowały wtedy zamek, a nie Turcy — odpowiedział Thaly.

— Co pan mówi! — zawołał Zrinyi z widocznym zdziwieniem. — A potem?

— Wojska cesarskie zajęły zamek — umyślnie drażnił go Thaly (bo kto wie, do czego może się to przydać). — Niestety, uwięzili zasnę kobietę, która urodziła nam Ferenc Rakoczego.

— Umarł na wygnaniu w Nikodemii w roku 1703. Serdeczna opieka Turków osłodziła mu ostatnie lata. Byłem na jego grobie.

Zrinyi z wzrastającym zainteresowaniem zawisł oczami na wargach Thalyego.

— Pan widocznie jesteś mężem wielkiej wiedzy, lecz jednak dziwi mnie to, co słyszę. Czy rzeczywiście uczynili to ludzie cesarza?

Tego właśnie potrzeba było Thalyemu, żeby natychmiast rozpocząć opowiadanie o długim szeregu tragedii. Pataczicz, Alapi, Czaky, Seczödy otoczyli go i tak słuchali, jakby miód spływał z jego ust; słuchali o tym, jak cesarz rzymski kazał stracić w Beczujhely Piotra Zrinyiego, że później męczono w więzieniu i doprowadzono do utraty zmysłów Janosza Zrinyiego.

Seczödy wysoko unosząc brwi pociągnął Deaka za szmaragdowy dolman.

— Słuchaj, kumie, ten więcej wie niż my.

Alapi wzburzony uderzał w rękojeść szabli:

— A gdzie był Bóg przez ten czas, gdy nas tu nie było?

Zrinyi nie odpowiedział, tylko uśmiechał się z goryczą i zdawało się, że coś mruczy pod nosem. Może coś w rodzaju: „No, w takim razie rzeczywiście nie było warto robić wypadu”.

Poufale pociągnął Thalyego do niszy okiennej. Inni rycerze odsunęli się z szacunkiem; łatwo mogli się domyślić, o czym tam będzie mowa, usłyszeli zresztą głośne słowa:

— Niech mi pan powie — boć patrząc daleko wstecz widzisz te minione czasy, skąd przyszliśmy — czy wiesz może coś o mojej pani?

— O hrabinie Ewie z rodu Rosenbergów?

Zrinyi kiwnął głową i serce zabiło mu głośno z podniecenia, jaką też usłyszy odpowiedź. Tak

bardzo kochał tę piękną złotowłosą kobietę.

— Hrabina jako wdowa mieszkała jakiś czas w swoim majątku w Czechach — mówił dalej historyk — a potem wyszła za mąż.

Wąskie czoło Zrinyiego zachmurzyło się. Zaboląta go ta wiadomość. Syknął, jakby go pchnięto zatrutym sztyletem.

— Za kogo wyszła za mąż? — zapytał otępiały.

— Za włoskiego markiza Paola Gazaldo.

— Ach, ten nikczemny gad! Polował raz u mnie w Czaktorni...

Zazdrosny Bela Czobor złośliwie szepnął do Aurelego Töröka:

— To, że Thaly wie o tym, jest jeszcze bardziej zdumiewające, niż to, że Zrinyi zmartwychwstał.

Zrinyi milcząc patrzył przed siebie. Znać było, że wzruszył się pod wpływem wspomnień.

— A co się stało z moim synkiem Janczim?

— Szczęśliwy był, panie, nigdy nie wrócił na Węgry, dożył sędziwego wieku i teraz śpi wiecznym snem w kościele klasztoru hohenfurckiego.

— Biedny Janczi! — Łza zadrzała na rzęsach nieustraszonego bohatera. — Jak pięknie jeździł konno na moich kolanach...

Lecz potem spostrzegł, że nie przystoi mu taka wielka tkliwość, odszedł więc i pozostawił historyka samego.

Inni tylko na to czekali. Natychmiast obiegli Thalyego, który nigdy w życiu nie był tak rozchwytywany. Nauka działała na rycerzy jak prawdziwe opium. Wszyscy chcieli usłyszeć o swoich żonach, dzieciach i o wnukach do siódmego pokolenia; Pal Isztvanffy odepchnął Piotra Botosza: „Przecież waszmość nigdy nie miał dzieci”, Matiasz zaś przekrzykiwał Deaka:

— Zacznijmy od mojej rodziny. Co się stało z moją piękną córką, Kata?

Kata? Kto by mógł wiedzieć? Na tym urwała się wiedza Thalyego. Historia mówi tylko o wielkich drzewach genealogicznych. Małe drzewa rosną nikomu nie znane i giną w ogromnym lesie narodu.

Zresztą nie było czasu na takie szczegóły. Czekala już delegacja stołecznego miasta Budapesztu, która zaprosiła Zrinyiego i jego towarzyszy i miała polecenie towarzyszyć im w podróży specjalnym pociągiem.

Wszyscy oni płonęli z ciekawości, by wreszcie zobaczyć Budę, lecz do kolei czuli awersję, od której aż ciarki chodziły im po plecach, chociaż podczas trzech dni, kiedy zabawiali się w Dombovarze, wiele rzeczy ujrzeli już w innym świetle niż przed trzema wiekami. W ciągu tych trzech dni przeszli prawdziwą szkołę. To, do czego ludzkość doszła powoli, zobaczyli przed sobą od razu. Było tego bardzo dużo i mocno obciążało ich umysły.

Mate Seczödy sprzeciwiał się jeździe koleją:

— Lepiej pojedźmy konno.

Pal Tencer (bo on był kierownikiem delegacji) przestraszył się bardzo:

— Nie, to niemożliwe! Ach Gott, ach Gott! Raczej się zgodzić.

— A jednak wygodniej byłoby konno — zauważył Czaky.

„No, nawet już mój dziadek nie słyszał czegoś podobnego, żeby konno było wygodniej “ — pomyślał Pal Tencer.

— Ale co znowu, ale co znowu — powiedział głośno. — Wygodne przedziały, wagon restauracyjny... Proszę to tylko mnie pozostawić. Zresztą konno byłoby niemożliwe. Skąd wzięlibyśmy tyle wierzchowców?

Słyszac to Zrinyi zauważył:

— To najmniejsze. Widziałem tu w okolicy całą stadninę. Zaraz by można kazać wyłapać tyle



rumaków, ile nam tylko potrzeba.

Pal Tencer dzwonił zębami.

„O jej! Za milion forintów nie wsiadłbym na takiego dzikiego konia.”

— Ale przecież to jest stadnina pana Doryego! — wtrącili dostojni obywatele Dombovaru.

— Teraz tak, lecz gdy je zabierzemy, będą nasze — odpowiedział wódz pogodnie.

— Ale Dory nie pozwoli na to — zauważył jakiś miejscowy typ z żółtą brodą.

— Tak? — powiedział Zrinyi z zaciekawieniem. — Pytanie tylko, ile głów liczy jego wojsko?

— Wcale nie ma wojska.

— No, to któż może nam zabronić? — zdziwił się dawny dowódca zamku.

— Ustawy, święte prawo własności.

Ludzie Zrinyiego uśmiechali się do siebie. Z oczu można było wyczytać, że myślą: „Jakież to marny rodzaj ludzki!”

Po wielu ceregielach drużyna Zrinyiego przez grzeczność ustąpiła i cały obóz załadował się do ozdobionego flagami pociągu, który zatrzymał się dopiero w samym Budapeszcie. Tylko z żakiem Radovanem zdarzyła się jeszcze mała komedia. Chłopak był tak zakochany, że nawet na kilka dni nie chciał rozłączyć się ze swoją narzeczoną, młodą śniadą dziewczyną imieniem Piroszka Farago, którą poznał na balu wydanym na cześć zmartwychwstałych.

Żak Radovan pięknie tańczył z Piroszką czardasza, drobił, okręcał i swawolnie obejmował dziewczynę, aż chwycił ją tak, że została jego jeńcem do grobowej deski.

Zaraz po balu prosił rodzinę Piroszki o jej rękę za pośrednictwem Seczödyego i Pataczicza.

Faragowie, zamożna mieszczańska rodzina z Dombovaru, przemyśleli i obgadali sprawę. Propozycja małżeńska spadła niespodziewanie, lecz konkurent jest przystojnym mężczyzną, nie dość, że pochodzi z pradownej rodziny, lecz sam także jest pradowny i wszystko razem wróży szczęście Piroszce, bo chociaż Radovan nic nie posiada, ale ma zasługi, a że umarł za ojczyznę, może dostać taki urząd, jaki tylko zechce. A nawet jeżeli przejdzie do skrajnej lewicy, to w następnej kadencji może zostać posłem do parlamentu. Urządzono więc natychmiast zaręczyny, wśród wielu śmiechów i żartów. Skąd Radovan wydobędzie akt chrztu? Jak powie narzeczoną: „Nie opuszczę cię aż do śmierci” — przecież ten termin dawno już minął! Żart żartem, lecz z takich nadzwyczajnych sytuacji wychodzi wiele dziwów.

Tak więc Radovan nie chciał jechać do Budapesztu.

Nie potrzebna mu już sława; lecz Zrinyi wmieszał się i wreszcie rozwiązali sprawę w ten sposób, że zabrali ze sobą Piroszkę wraz z siostrą.

Cóż za rozpusta odbywała się w pociągu! Jakie gorące zalecanki! Młodzi rycerze podszczypywali swoje towarzyski przez suknie i to w takich miejscach, gdzie nie wypada, szczególnie, jeżeli chodzi o narzeczoną. Ale i starszym panom zachciało się nieco swawoli. Narzeczoną miała wiele trudności, nie mogła nadażyć z opędzaniem się przed natarczywością sąsiadów.

— Ależ dajcie mi spokój. Odczepcie się! — powtarzała. Członkowie delegacji stołecznej chrząkali do siebie zgorszeni i Pal Tencer szepnął do Arystyda Matyusza, tak że i stary Isztvan Kleh usłyszał:

— Widocznie w średniowieczu nie bardzo znano się na dobrych manierach.

Poza tym nie zaszło prawie nic takiego, o czym warto byłoby nadmienić.

Na pociąg ozdobiony flagami czekały na wszystkich stacjach ogromne tłumy z orkiestrą, procesje z księżmi i krzyżami, ministranci w komżach i czerwonych pelerynkach, lecz pociąg nigdzie się nie zatrzymywał, wobec czego nie mogły się odbyć przemówienia i Miklosz Zrinyi tylko raz po raz przez okno pozdrawiał zebranych. Koło pewnej gminy czekała na pociąg banderia: dziarscy młodzi chłopcy dosiadający koni na oklep rozentuzjasmowali się i za wszelką

cenę chcieli wyprzedzić pociąg, lecz wójt ich skrzyczał:

— Co za pomysł! Wyprzedzić maszynę parową? Żebyście chociaż mieli dobre konie. Lecz na takich sześćdziesięcioforintowych szkapach? Kto to widział? Osły!

Zrinyi wpadł w pochmurny nastrój, w odpowiedzi na gromkie wiwaty machinalnie sięgał do kołpaka, czasami spostrzegał jakąś twarz: „O, jakaś znajoma postać, jakbym tego człowieka już gdzieś widział!” Lecz jakże zmieniła się okolica! Ludzie nie mogli być ci sami, poznawał ich jednak, okolica zaś była ta sama, setki razy tu bywał, a pomimo to nie mógł jej poznać; tylko góry pozostały — poczciwe stare góry — lasy zaś znikły, a stawy i moczary wyschły. O, tu jakaś znajoma dolina. To należało do niego, środkiem płynęła rzeka, ale teraz także znikła, pozostał tylko ślad, zygzakowaty zielony pas. Po prostu wgłębienie, które wypełnia bujna trawa.

— Do kogo należy teraz ten majątek? — zapytał ciekawie.

Otaczający go panowie odpowiedzieli:

— Do pewnego wiedeńskiego bankiera.

Ani słówkiem nie wspomniał, że to kiedyś należało do niego, lecz widać było, że stracił humor. Ze smutkiem w głosie powiedział nie wiadomo czemu do Seczödyego:

— Kto wie, jak długo jeszcze będziemy razem.

Seczödy niespokojnie spojrział na Zrinyiego i z patosem odrzekł:

— Wiecznie!

— Nie wiem, przyjacielu. Wierność i przyjaźń to są piękne rzeczy, lecz do tego spiżarnia jest także potrzebna. Moje dominia zostały rozdzielone. To jest inny świat. Kto wie, co na nim do nas należy?

Potem zwrócił się do panów ze stolicy:

— Czy król ma zwyczaj rozdawać majątki?

— Nie, nie ma zwyczaju.

— To co robi? Z czego się utrzymuje? Dlaczego nie ma takiego zwyczaju?

— Bo nic nie posiada!

Zrinyi zrobił wielkie oczy.

— Jak to nic nie posiada? No, to przecież może kazać ściąć komuś głowę.

— Nie może...

— A jeżeli nabierze chętki na czyjąś głowę?

— Na nikogo on tu nie ma chętki.

Zrinyi pokiwał głową, te stosunki wydawały mu się dziwne. Upadek, wszędzie upadek. Z jego punktu widzenia tak wyglądała nowa epoka. Jego punkt widzenia zaś to małe okratowane okno, które dumnie patrzyło na świat z wieży zamkowej. To, że odradzano mu porwanie ze stada Doryego dwustu rumaków — oznaczało niedołęstwo nowego pokolenia. Że król nie rozdaje majątków i nie może ścinać głów poddanym — wydawało mu się oznaką osłabienia władzy królewskiej (prawdopodobnie wyczuwał za tym rządy jakiegoś Władysława Dobrze \*.) Chciwie chłonał każde wrażenie, lecz w jego średniowiecznej czaszce wszystko to przekształcało się w jakieś niebezpieczeństwo. Biedne Węgry, do czego doszły!

Kolej również nie podobała się Zrinyiemu. Przyznał, że jest to wspaniały wynalazek, lecz ludzie od tego niewieścieją. Bo naród, który jeździ koleją, nie daje dobrych żołnierzy.

\* Król Władysław II Jagiellończyk na Węgrzech miał przezwisko „Dobrze”, gdyż był człowiekiem chorowitym, słabym, całkowicie podlegał wpływom swoich dworskich doradców i na każdy wniosek odpowiadał tylko słowem „dobrze”, nie znając zupełnie języka węgierskiego.

Thaly właśnie oznajmił, że z wojskowego punktu widzenia kolej jest bardzo pożyteczna, bo można szybciej przeprowadzić mobilizację i przerzucać armię, gdzie się podoba.

— To nic nie jest warte! — odpowiedział Zrinyi. — Wróg także ma koleje i także szybciej przerzuca wojsko.

Kilku członków delegacji stołecznej przytakiwało Zrinyiemu. Szczególnie jeden z nich, Pal Szartory, stale kiwnięciem głowy lub krótkimi suchymi uwagami popierał wszystkie poglądy Zrinyiego.

Dumny hrabia już w drodze bardzo sobie upodobał tego poczciwego mieszczanina, który nosił czarny surdut starego kroju i spodnie łososiowego koloru, szyję okręcał według mody z czasów Napoleona I czarną jedwabną chustą i bardzo często sięgał po tabakierkę, na której wieku namalowana była dama w upudrowanej peruce — jakaś królowa angielska z ubiegłego stulecia. Starszy pan był bardzo ruchliwy, wciąż wycierał kolorową chustką nos, a potem tą samą chustką także i swoje wysokie buty (bo do pantalonów łososiowego koloru nosił buty z cholewami).

Arystyd Matyusz i Isztvan Kleh przedstawili go jako jednego z najbardziej wpływowych radnych miejskich i dodali, że ma on najwięcej zwolenników na zebraniach.

Przy końcu podróży Zrinyi rozmawiał prawie wyłącznie z Szartorym, zadawał mu pytania i ubawił się kilku jego odpowiedziami. Bardzo często wołał głośno: „Ma pan słuszność, panie Szartory”. Rozbawiło też bardzo Zrinyiego, gdy opowiedziano mu powszechnie znaną historię o tym, jak na posiedzeniu Rady Miejskiej zaproponowano obsadzenie drzewami jakiegoś placu, mówiąc, że w Anglii wszędzie sadzą drzewa; wówczas podniósł się Szartory i powiedział:

— Drzewa niech rosną w lesie. W mieście powinny być domy. Mnie Anglia nie imponuje.

Na co wnioskodawca poderwał się i zareplikował w ten sposób:

— Mnie natomiast imponuje Anglia, bo tam są i torysi, i wigowie, a w Peszcie tylko Szartoryowie.

Zrinyi dłuższy czas prowadził ożywioną rozmowę ze starszym panem i dopiero gdy ten się zdrzemnął, zaczął docinać Patacziczowi.

— To bardzo rozumny człowiek — mówił — tylko trochę zacofany. Nadaje się dla waszmości (Pataczicz bowiem był zwolennikiem walki buzdyganem i entuzjastą łuku).

Uwaga ta ubodła delegację stołeczną. Ej, ej! Jednakże to okropne, że Szartory, który ma najwięcej zwolenników na zebraniach Rady Miejskiej, jest uważany przez Zrinyiego za człowieka zacofanego.

Uszczypliwość ta nie ubodła natomiast Pataczicza, dla którego była przeznaczona, bo Patacziczowi, temu sławnemu siłaczowi, który w okolicy Dombovaru chciał podnieść szyny kolejowe i na jednym posiedzeniu zwykł opróżniać dzban wina, od trzęsienia pociągu mąciło się w głowie, jakby jechał morzem.

— Zabije mnie ten obrzydliwy smok — mrucał i z wyrzutem patrzył na Tencera, który nie chciał, żeby jechali konno.

Lecz na szczęście rozległ się właśnie gwizd parowozu, gdyż pociąg dojeżdżał do góry Gellerta.

— Jesteśmy w Budapeszcie — rzekli panowie ze stolicy.

Ludzie Zrinyiego rzucili się do okien, poderwał się także ich wódz.

Na widok wspaniałej panoramy szmer podziwu uleciał ze stu ust.

Tam, u ich stóp, rozpościerała się bajeczna stolica Węgier, oko takiej nie widziało, ucho o takiej nie słyszało — więc i fantazja nie mogła czegoś podobnego wyczarować.

Pośrodku, jakby tylko dzieląc tarczę herbową, szeroka srebrna wstęga Dunaju, na nim statki ozdobione banderami i proporcami, barwne łodzie i przepiękny pieprzyk — wyspa Małgorzaty, niby zielony jedwabny haft na srebrnej wstędze.

Na obu brzegach piękne pałace przeglądają się w lustrzanej tafli Dunaju i daleko, daleko, gdzie okiem sięgnąć — wszędzie widnieją wieże, kopuły, kasztele. Mój Boże, ilu królów może tu mieszkać?

Przyjemność sprawiało patrzeć na wielkie zdumienie rycerzy i widzieć, jakie to wywarło na nich oszałamiające wrażenie.

— Tu jest Buda! Tam — Peszt! Jezus Maria, kto to wszystko zbudował?

W tej samej chwili Szartory ocknął się, pociągnął nosem i walnął się w piersi:

— A no, my!

Posypało się tysiące pytań, mimowolnych okrzyków, naiwnych uwag.

— Patrzcie, znikły wszystkie minarety!

— Aha, co innego widać tam na ich miejscu. Co to jest to smukłe, wysokie, ziejące dymem?

— To są kominy fabryk.

— A co to znaczy fabryka?

— Hm, trudno na to tak prędko odpowiedzieć.

— Patrzcie tylko, patrzcie... Tam, daleko, na jednej wieży stoi muezzin.

— Skądże... To jest rycerz w zbroi na wieży nowego parlamentu.

Pociąg skręcił koło jakiegoś parku i przez most mknął w stronę Pesztu. No, teraz, no, teraz! Zaraz załamie się ten filigranowy most.

Pal Isztvanffy przymknął oczy, lecz w ostrych promieniach słońca, pomiędzy uciekającymi filarami mostu, woda tak oślepiająco błyszczała kolorem ametystu, że raziała nawet przez zamknięte powieki.

Rycerze z Sigetvaru przeżegnali się. Skosztowali już raz śmierci, lecz nie pragnęli jej powtórnie. Właśnie może dlatego. Nic się jednak nie stało. Chyba nie kobieta urodziła tego, co to zbudował. Pociąg zatoczył śliczne koło, nie mógł przecież zrobić nic innego, przejechał obok cmentarza i tu Arystyd Matyusz zauważył:

— To piękne mauzoleum tam w głębi jest miejscem spoczynku Ferenc Deaka.

Balaż Deak, słysząc nazwisko krewnego, oczywiście nadstawił ucha.

— A kim był ten Ferenc Deak?

— Największym człowiekiem naszego stulecia.

Na to wyprostował się pan Balaż Deak, który pochodził z drobnej szlachty województwa Zala i teraz pełnym pychy nosowym głosem zaczął wypytywać:

— A co zrobił ten Ferenc Deak?

Lecz na to już Pal Tencer był dość kompetentny, żeby odpowiedzieć:

— Był on moim quasi przyjacielem i umiał wygłaszać bardzo piękne mowy. Należy wiedzieć, że był posłem śródmięcia, a tego samego dnia, gdy wygłosił swoją ostatnią wielką mowę w sprawie małżeństw cywilnych, odwiedziłem go w hotelu „Pod Królową Angielską” i...

— Pięknie, pięknie — przerwał niecierpliwie pan Balaż Deak — lecz kogo on pobił?

— Nie pobił nikogo, proszę pokornie, nikogo, raczej pogodził tych, którzy się gniewali... a nawet i naród z...

Na to Balaż Deak zamilkł, odwrócił się i nie słuchał już dalej opowiadań Tencera o tym jakimś Ferencu Deaku, który nikogo nie pobił.

W tym czasie na uroczyscie ozdobionym dworcem niecierpliwie czekały na pociąg miarodajne czynniki, którym tylko za specjalnymi biletami pozwolono wejść na peron. Wiele narad i intryg poprzedziło przyjazd gości. To przecież rzecz naturalna. Zawsze tak było i zawsze tak będzie.

Wszakże wiadomo było, że burmistrz przyjmie gości stołecznego miasta, lecz przy tak wielkim wydarzeniu powinien także wystąpić rząd. Ze względu na opinię publiczną należało tak postąpić. W ubiegłą środę Rada Ministrów postanowiła, że jeden z ministrów musi także

powiedzieć kilka słów powitania. Lecz który? Oczywiście minister odpowiedniego resortu. Ministrem tego resortu zaś jest baron Fejervary, ponieważ Zrinyi zabłysnął czynami wojennymi.

Wszystko to było bardzo mądrze obmyślane i zaprotokołowane w lapidarnym stylu jego ekscelencji Tarkowicza; lecz cóż to było warte, skoro baron Fejervary, który z powodu innego zajęcia nie brał udziału w środowym posiedzeniu Rady Ministrów, oświadczył, że może tylko powitać żołnierza, ponieważ zaś nazwisko Miklosza Zrinyiego nie figuruje w żadnych wojskowych księgach, w żaden sposób nie można go uważać za żołnierza. On więc (to znaczy minister) nie jest powołany do przemawiania.

Rząd uznał to za słuszne; co prawda, to prawda. Ktoś jednak musi wygłosić mowę, trzeba tylko znaleźć jakiś tytuł prawny, żeby nadać temu odpowiednią formę. W tym wielkim kłopotcie teraz, jak już niejednokrotnie, chytra głowa Daranyiego pomogła strapionym kolegom.

— Zrinyi jest bezsprzecznie bohaterem — powiedział. — Wypad jego z Sigetvaru był nie tyle czynem wojskowym, ile wspaniałym przykładem ludzkiej odwagi. Trzeba więc uczcić tę odwagę. Jeżeli już mowa o tym, wchodzi to w kompetencje barona Daniela, który wykazał podobną odwagę, przyjmując tekę ministra.

— Słusznie, niech baron Daniel wygłosi słowa powitania.

Takie były kulisy dziwnie wyglądającego faktu, że na dworcu minister handlu oczekiwał na przyjazd pociągu. Oczywiście obecny był burmistrz Markusz, zastępca głównego komendanta policji Pekary i wielu innych. Stawili się też liczni członkowie rodziny Czakych, którzy chcieli powitać swego przodka, i wielu z rodziny Batthyanyi, spokrewnionej ze Zrinyim. Był tam hrabia Jenö Zichy (który jest wszędzie obecny), Gedeon Rohoncy (który też zrobił wypad), Tomasz Sana, który nie opuszczał żadnego pogrzebu — a teraz, dla odmiany, chciał być obecny przy zmartwychwstaniu. Poza tym zjawił się Janosz Fadrus (rzeźbiarz chcący zobaczyć obiekt pomnika) Ferenc Kossuth (którego nazwisko jest także znane w historii świata) posłowie do parlamentu: Gyözö Pichler, Menyhart Katanghy i Ferenc Fenyvessy, wojewoda peszteński Ferenc Benicky, autor „Męczenników Sigetvaru“ Mor Jokai, Albert Szturm w węgierskim stroju galowym i reporterzy wszystkich dzienników budapeszteńskich, a wśród nich Szandor Lakatosz, sprawozdawca „Dziennika Krajowego”. (Na niego spada odpowiedzialność, jeżeli to jest źle opisane.)

Dalszą grupę stanowili członkowie kleru, z przebywającym chwilowo w Budapeszcie tęgim, pogodnym nuncjuszem papieskim Talianem na czele. Nuncjusz, który cieszył się powszechnym szacunkiem, z dużym zainteresowaniem spoglądał na wielkie damy z bukietami kwiatów w rękach. Panie były szczególnie ciekawe wyglądu Lörinca Juranicza, najpiękniejszego młodzieńca tamtej epoki; nieco dalej włókł się Karol Sas, biskup wyznania ewangelicko-reformowanego, którego obecność budziła obawy, czy przypadkiem nie zechce przemawiać.

Z zewnątrz przez mury i szklany dach przenikał daleki pomruk głosów ludzkich, gwar ogromnego tłumu, który zalegał trasę od dworca aż do Wielkiego Bulwaru i dalej przez Aleję Andraszyego aż do hotelu Hungaria.

Wszędzie ustawiono trybuny, na których siedziały tysiące zaciekawionych dam. Nawet w oknach wieżyczek stali ludzie głowa przy głowie. Trybuny z masą barwnych parasolek wyglądały z góry jak pole kwitnących maków. Konie policyjne wierzgały, jeźdźcy siarczyście klęli, a przestraszony tłum zaczął miotać się, falować i cofać. Widać było, że sprawa to policjantom wielką rozkosz. Posłańcy miejscy zachrypłymi skrzeczącymi głosami zachęcali do kupna czterograjcarowej broszury: „Bohaterski wypad Miklosza Zrinyiego, czyli sto dukatów \*”. „Sto dukatów za cztery grajcarry” — nawołują dowcipnie, a tłum śmieje się i chichocze. Bo wielki tłum bywa albo bardzo zły, albo bardzo wesoły.

Lecz któż umiałby opisać te różnobarwne sceny, te łopoczące flagi, te słupy ozdobione

herbem Zrinyiego: po prawej stronie — baszta zamkowa, po lewej — dwa skrzydła na niebieskim polu. Co mogło natchnąć króla, gdy kiedyś nadawał Zrinyiemu ten herb, że odgadł przyszłość: wypad — w postaci baszty, a zmartwychwstanie w formie skrzydeł?

Gdyby muza miała skrzydła — a szkoda, że nie ma — z jej skrzydeł należałoby wrywać pióra do kałamarza, lecz ja mając nawet takie pióro nie umiałbym opisać entuzjazmu, który panował w stolicy. Jakież było wzruszenie, gdy na wszystkich wieżach Budapesztu zabrzmiały dzwony i nawet z bazyliki rozległo się wspaniałe, uroczyste „bim-bam, bim-bam”! Na starej górze Gellerta huknęła armata.

— No, teraz przyjechali!

Parę minut potrwają przemówienia. (Ach, żeby tylko nie trwały za długo.) Tłum porusza się, jest niespokojny, podniecony. Ludzie zaczynają się cisnąć. Każdy chce zająć lepsze miejsce. Policjanci w szalonym kłusie oczyszczają drogę dla pochodu, potem nagle jak orkan rozlega się gdzieś w okolicy dworca okrzyk „Niech żyje!” i toczy się coraz bliżej rosnąc i wzmagając się jak lawina.

Resztę już może każdy sobie wyobrazić: wkroczyli wśród deszczu kwiatów, który spadał na powozy; nie trudno domyślić się, że Zrinyi siedział po prawicy ministra, Gaszpar Alapi jechał z burmistrzem, inni rozmaicie usadowili się w powozach. Wystarczy, jeżeli Klio zapisała, że Pataczicz siedział z wojewodą hrabią Jenö Zichym, który natychmiast zaczął opowiadać, jak odnaleźli w Azji, dalekiej kolebce Węgrów, ślad księcia Zichianova. Nastąpił wspaniały wjazd wśród wstrząsających ziemię wiwatów, wszędzie w największym porządku. Dopiero gdy goście ulokowali się już w Hungarii, stołeczna komisja utworzona dla przyjęcia zmartwychwstałych przypomniawszy sobie, że trzeba było tak poprowadzić pochód, aby przeszedł ulicą Zrinyiego. Ojcowie miasta stuknęli się w czoło. Lecz publiczność niczego nie żałowała, bo już się przyzwyczaiła, że komisje zawsze za późno miewają dobre pomysły.

Nie trzeba też podkreślać, że z góry wytyczony program został dokładnie wykonany. Pod tym względem stolica nie zna litości: gdy nawet nieszczęsny dostojny gość, którego los tu rzuci, jest półżywy, musi obejrzeć elewator, halę targową i rzeźnię miejską. Musi, bo musi. Jest to odpłata za utrzymanie. Burmistrzowie wciąż i bezustannie chcą słyszeć ze wszystkich ust: „Co za urządzenie! Co za postęp!” Tak, oni chętnie słyszą o tym, że idą naprzód.

Pal Szartory chciał jeszcze wszelkimi siłami wcisnąć do programu obejście Gül Baby \*, bo jeszcze w dzieciństwie słyszał od dziadka, świętej pamięci Tobiasza Szartoryego, i przyzwyczaił się od tego czasu, że grób Gül Baby i grób Krzysztofa Nagya to dwie osobliwości Budapesztu, a więc takie same cuda jak rzeźnia miejska i elewator, lecz burmistrzowie odradzili mu argumentem, że Zrinyi dosyć już widział martwych Turków, a wśród jego rycerzy jest jeden o nazwisku Krzysztof Nagy — z tego względu nietaktowne byłoby pokazanie tych dwóch osobliwości. A takt panuje na Węgrzech tak wszechwładnie, że nawet Pal Szartory nie śmie się temu przeciwstawić.

Zrinyiego nudziło już to wszystko, kilka razy ziewnął i rzeczywiście nie rozumiał, po co w tej rzeźni robią tyle ceregieli z wołami. Wymyślne miejsca straceń. Co za pycha! Dawniej woły zadowalały się tym, że rzeźnik zabijał je rzeźnickim toporem, jak popadło.

Któryś z radnych miejskich spostrzegł, że Zrinyiego męczą te różne szablonowe dowody gościnności i bez skrępowania zapytał:

— Czy jaśnie pan hrabia nie zechciałby raczej jakoś inaczej się zabawić? Chociaż dziś już nie, bo trzeba iść do opery, lecz może jutro przed uroczystym bankietem...

Zrinyi zastanowił się chwilę, potem odpowiedział bardzo serdecznie:

\* Nazwa meczetu tureckiego w Budzie.

— Może by jutro urządzić małe polowanko na żubry?

Burmistrzowie wściekli spojrzeli na nietaktownego radnego i śpiesznie wyjaśnili, że na Węgrzech nie ma już żubrów, jednego z ostatnich upolował w Siedmiogrodzie poeta Miklosz Zrinyi. Tu zaś w okolicy Budapesztu nigdy nie było żubrów.

— Wiem — odpowiedział hrabia Zrinyi — lecz myślałem, że od tego czasu przybyły nawet i żubry. Przecież tak wiele rzeczy przybyło — dodał z ujmującym uśmiechem.

Wieczór w operze także się nie udał — chociaż widownia była przepelniona najwytworniejszą publicznością. Grano właśnie operę „Święty Stefan” Erkela. Goście z wielką uwagą oglądali piękną salę, gdy nagle ku ich zdumieniu jedna ściana zaczęła w diabelski sposób uciekać do góry i poza nią zobaczyli inne pomieszczenie.

Zrinyi i co wybitniejsi jego towarzysze siedzieli w łóżach, większość straży zamkowej z Sigetvaru na parterze, a żak Radovan z uroczą narzeczoną i przyszlą szwagierką oraz imć pan Piotr Botosz zaraz w pierwszym rzędzie.

Gdy wysoko na scenie zaczęły śpiewać jakieś coraz to inne wchodzące osoby z pięknymi perłami we włosach, a w orkiestrze powstał dziki hałas i rumor piszczałek, bębnow, klarnetów i trąb, napełniając powietrze diabelskim łomotem i piekielnym hukiem, Piotr Botosz jakiś czas słuchał cierpliwie, lecz gdy zobaczył, że towarzysze jego także złoścą się i kręcą w krzesłach, chwycił swój olbrzymi miecz i nie wyjmując go z pochwy pchnął z tyłu zwariowanego człowieczka, który czarnym patyczkiem wymachiwał przed grajkami.

— Dość tego, Cyganie! Albo wy przestańcie, albo śpiewacy, bo jedni drugich tak zagłuszają, że sam diabeł nic nie zrozumie.

Obecni na widowni z uśmiechem podawali sobie z ust do ust to, co powiedział rycerz Zrinyiego. Gdy zaś król Węgier, święty Stefan, we własnej osobie wpadł podskakując jak kozioł i na całe gardło zaczął ryczeć, zdumienie rycerzy i oburzenie na takie zuchwalstwo nie miało granic.

— Ach ty wstrętna maro! Patrzcie no — wykpiwa naszego świętego króla!

— Tego już nie ścierpimy!

Naraz dwudziestu czy trzydziestu rycerzy wyrwało szable z pochew i chciało pędzić na scenę, by poćwiartować komedianta; kobiety piszczały, powstał niesłychany harmider. Tu i ówdzie grzmiały krótkie okrzyki, gdy jednak Zrinyi skinął ze swojej łoży i groźnie ściągnął szerokie brwi, w oka mgnieniu ucichła burzliwa scena, jakiej zdenerwowani widzowie nie mieli możliwości widzieć ani przedtem, ani potem.

Zrinyi jednak, chociaż zapobiegł skandalowi, sam oburzał się na zachowanie aktora.

— Obrzydliwe! Nie mogę na to dłużej patrzeć.

Wstał i wraz z rycerzami opuścił gmach opery.

Główny komendant policji udał się do łoży ministra spraw wewnętrznych.

— Trzeba coś zrobić, ekscelencjo, pozabierać im szable lub coś podobnego, bo obawiam się, że nasi dzielni przodkowie sprawią nam jeszcze wiele kłopotu.

— Jakoś temu zaradzimy — uspokoił go minister.

Rycerze wynajętymi dla nich dorożkami kazali się zawieźć do Hungarii i zjedli kolację, po czym niektórzy położyli się, żeby nabrać sił na następny dzień, inni zaś, wśród nich także Zrinyi, postanowili, że doczekają północy i gdy już mieszkańcy miasta położą się, nie będą się na ulicach zbierać w grupy, przestaną bezustannie wiwatować nad uszami i krępować ich swoim towarzystwem jako informatorzy — będą mogli spacerować do woli, obejdą piechotą całe miasto, obejrzą wreszcie to i owo i nagadają się z sobą.

Tak się też stało. Sami poszli na miasto o północy. Księżyc świecił, lecz migały również lampy gazowe. Wielkie domy zdawały się spać w ponurej ciszy, z żaluzjami opuszczonymi jak

powieki.

Rycerzy ogarnęła hałaśliwa wesołość jak dzieci, którym zostawi się trochę swobody. A cóż dopiero, gdy mają przed sobą tyle do zobaczenia i do zbadania! Nieznane rozkosze. Miraże przeczarowane w rzeczywistość, jak w bajkach Szeherazy, które jeńcy tureccy opowiadali wieczorami młodym kasztelankom. Zrinyi także słyszał w dzieciństwie podobne baśnie.

Stawali przed knajpami, zatrzymywali się przy oświetlonych ogromnych jak bramy oknach kawiarni, w których panowie i panie pili grog i różnobarwne płyny z małych naczyń. Rycerze naradzali się: — Czy wejdziemy?

Lecz potem znów szli dalej, coraz dalej w stronę nieznanego. Kto wie, co jeszcze znajdą?

Gdy tak szli i szli (mogło to być gdzieś w Alei Andraszyego), nagle ogarnęło ich przerażenie — długi szereg jakichś dziwnych postaci wyłonił się z przeciwnej strony, niby czarownicy śpieszący ze strasliwym dzwonieniem na górę Gellerta — z szaloną szybkością pędząc na jednym jedynym gołym kole.

Według starego zwyczaju bojowego zagrzmiał okrzyk: „Bij, kto w Boga wierzy!”, jak wtenczas, gdy zbliżał się wróg; lecz tu nie mogło być mowy o walce, z marami przecież nie można walczyć. Rozbiegli się pełni przesądnego strachu. Sam Zrinyi przeżegnał się i odskoczył w bok zdumiony ogromnie, że policjant na rogu ulicy z założonymi rękami obojętnie przygląda się strasliwemu zjawisku.

— Co to jest? — spytał policjanta, zaledwie zjawy znikły bezszelestnie wśród grobowej ciszy i zorientował się, że nic mu się nie stało.

— To są cykliści. Wracają z wycieczki — odpowiedział policjant salutując po wojskowemu.

— Duchy?

— Skądże. Przeważnie bogobojni subiekci sklepowi.

Zastraszeni rycerze powolutku zjawiali się jeden za drugim, lecz strasliwe widowisko wstrząsnęło nimi, odeszła im ochota do zabawy i natychmiast powrócili na nocną kwatere.

I następnego dnia, i później jeszcze fetowano ich bez końca: koncert przy świetle pochodni, obiad u Banffyego, wycieczki na wyspę Małgorzaty i do oberży „Pod piękną Juhaską” w górach, gdzie Zrinyi spędził ongiś wiele czarownych chwil ze swoją narzeczoną, Kataliną Frangepan.

W tym okresie dużo czasu zabierze także przyjmowanie delegacji z różnych województw, gdy zaś to się skończy, przejmą ich od władz stołecznych magnaci; urządzić będą na cześć rycerzy przyjęcia, zapraszać do swych majątków na polowania, a gdy się to znudzi magnatom, przyjdzie kolej na innych ziemian — i tak dalej, wciąż niżej i niżej, póki nie wygaśnie słomiany ogień i nie zostanie po nim tylko trochę sadzy.

Niech kochany czytelnik nie obawia się, że będzie zmuszony obejść te wszystkie przyjęcia i obiady, znudziłoby to każdego, nawet mnie, (przecież zjeść to wszystko nie jest przyjemnością, a tym bardziej opisać). Nie mogę jednak zupełnie pominąć bankietu urządzonego w salach Reduty, na który zaproszono blisko tysiąc osób, muszę go omówić, ale obiecuję, że postaram się streścić.

Jakże wystawny był ten pamiętny bankiet! Wzięły w nim udział wszystkie znakomitości życia publicznego Węgier i nawet na końcu stołu siedziały same ekscelencje. Stawił się cały rząd (Zrinyi siedział między kardynałem Schlauchem a baronem Banffym) oraz obecni w Budapeszcie członkowie arystokracji węgierskiej, przewodniczący Izby Wyższej, przewodniczący parlamentu i ich zastępcy, posłowie do parlamentu, filary sądownictwa, oficerowie armii austro-węgierskiej; przybył także książę Lobkowitz, zjawili się liczni oficerowie honwedów, członkowie akademii, pisarze, artyści itd. Pierwszy toast za zdrowie króla przy *pouardes de France* wzniósł Dežo Banffy, potem wstał hrabia Isztvan Karolyi:

— Hrabio Mikloszu Zrinyi, wielce szanowny przyjacielu, przemawiam do ciebie...

(Twarz Zrinyiego rozpromieniła się z zadowolenia, że hrabia Isztvan Karolyi zwraca się do



niego: ty).

...Porównałbym ciebie, szanowny przyjacielu — tak brzmiał dalszy ciąg toastu — do owego Leonidasa, który zginął bohaterską śmiercią pod Termopilami i jest dla nas jedną z najwspanialszych gwiazd w historii, dla nas, których już w kołysce nauczono miłości ojczyzny (gorące oklaski) i w których sercach te wspaniałe przykłady wzniecają najświętszy płomień.

Już jako małe dziecko, gdy na łąkach zrywałem kwiatki i łapałem motyle, wielokroć marzyłem o twoich wielkich czynach i chęć naśladowania ich przyśpieszała tętno mej krwi, pobudzała mnie do czynów i pełen dumy, że jestem Węgrem, uczyłem się wymawiać twoje wielkie imię obok imienia Leonidasa (gorące oklaski).

Teraz jednak nie mogę ciebie porównywać do Leonidasa. Przy całej jego wielkości mógłbym powiedzieć: „Panie, tyś tylko w połowie dorównał naszemu Zrinyemu. Tyś bowiem tak jak Zrinyi zginął dla swej ojczyzny, on zaś jeszcze i zmartwychwstał dla niej“ (długo nie milknące oklaski, ogólna wrzawa).

Legenda mówi, że gdy ojczyzna znajdzie się w niebezpieczeństwie, królewicz Czaba, syn Attyli, przywiedzie swoich zmarłych rycerzy na rączych rumakach po rozpiętej na niebie białej Mlecznej Drodze. Ty także, szanowny przyjacielu, przyszedłeś z grobu wraz z twoimi zmarłymi rycerzami. Serce twoje, które już przestało bić i umarło, poczuło, że nad ukochaną ojczyznę zbierają się groźne chmury. (Głośne oklaski i okrzyki: „Tak jest, tak jest!“)

Nie Turek i Tatar panoszy się w tym kraju, lecz inny straszliwy potwór — korupcja. W samą porę przyszedłeś, przyjacielu Mikloszu. Bóg cię do nas sprowadził. Niech ci On dopomoże!

Po tym pięknym toaście zabrzmiały głośne wiwaty i fanfary. Goście tłumnie podeszli do Zrinyiego, aby się z nim trącić kieliszkami. On zaś, jak to było przyjęte w jego czasach, uklonił się i dotknął czoła, potem piersi, wreszcie wielkopańskim gestem dał ręką znak Radovanowi, aby odpowiedział.

Żak Radovan podniósł się i w imieniu swego pana wygłosił długą łacińską mowę. (Kardynał Schlauch stwierdził co prawda, że była to kuchenna łacina.) Niestety stenografowie nie znali tego języka, treść mowy nie została więc uwieczniona.

Przy czarnej kawie, której żaden z rycerzy nie chciał spróbować („Zostanemy raczej przy szampanie“ — powiadali), gdy goście zaczęli zmieniać miejsca, Pal Gyulai w serdecznym nastroju zbliżył się do Zrinyiego i chwyciwszy go pod rękę zaprowadził do Artura Görgeya \*, by ich z sobą zapoznać.

Zrinyi dłuższy czas gawędził z dziarskim starszym panem o pięknej twarzy, którego białe włosy opadały na czerstwe, rumiane oblicze; wielka szrama na głowie świadczyła, jak twardą miał czaszkę, z jego mądrych oczu zaś wyzierała łagodna dusza.

Gdy rozstali się, Zrinyi z ciekawością zapytał, kim jest ten miły i mądry pan.

\*Görgey w walkach wolnościowych 1848-49 należał do obozu „ugodowców”. Gdy generał Bem, przedstawiciel prawdziwych idei postępowych, był zwolennikiem prowadzenia walki dalej „za wszelką cenę”, Görgey sabotował taktykę wojenną Bema, nie wysyłał mu posiłków, żywności, ani odpowiedniej odzieży. Görgey złożył broń pod Vilagosz w 1849r. Historycy reakcji z okresu Horthyego oczywiście uważali, że Görgey był bohaterem narodowym. Naród węgierski, który nienawidził dworu austriackiego i ugodowców, oraz wszystkie sfery postępowe ówczesnych i późniejszych Węgier, uważały czyny Görgeya za zdradę narodu i hańbę, uznając za prawdziwych bohaterów narodowych jedynie Bema, Petofiego oraz ich zwolenników. O postępowych poglądach Mikszatha świadczy, że — chociaż między wierszami — także potępił Görgeya przedstawiając jego „bohaterstwo” prawdziwemu bohaterstwu Zrinyiego, który znając prawdziwą siłę i przewagę przeciwnika, wolał jednak zginąć w walce niż poddać

— To największy bohater współczesnych Węgier — odpowiedział Gyulai i nikt temu nie zaprzeczył.

Twarz Zrinyiego zapłonęła z ciekawości.

— I cóż on zrobił?

Opowiedziano mu jego liczne boje i zwycięstwa; słuchał z zapartym tchem, jak przepięknej czarodziejskiej bajki.

— A potem, potem? — dopytywał się niecierpliwie.

— Potem złożył broń pod Vilagosz.

— Ależ dlaczego? — Zrinyi poderwał się i w jego czarnych rozgniewanych oczach zalśniły błyskawice.

— Nie mógł zrobić inaczej. Było to dzielnie z jego strony. W ten sposób uratował życie tysiącom Węgrów.

Zrinyi zgnębiony spuścił głowę, oparł ją na pięściach i zamyślił się nad tym, co usłyszał. Porównał życie tamtego ze swoim. Jak w ponurej mgle zakłębiły się przed nim obie te drogi życia. „O czym oni tu mówią i czego ja dokonałem? Co za pojęcia?

Czy to możliwe?” Potem nagle ocknąwszy się powiedział jakby do siebie:

— Albo on jest bohaterem, albo ja, lecz w każdym razie jeden z nas nie jest bohaterem.

Już strojne szeregi gości zaczęły się przersedzać; w garderobie rozpętała się hałaśliwa bitwa o palta i laski, a Zrinyi jeszcze wciąż rozmyślał o tym samym.

#### IV

#### PROZA

Jakiś czas życie płynęło wesoło. Zrinyiego i jego ludzi otoczyła sława i popularność. Eutuzjizm ujawnił się w setkach różnych form. Nigdzie nie było dysonansów, z wyjątkiem Akademii Umiejętności, która zawsze zręcznie wynajduje coś, żeby sprzeciwić się opinii ogółu. Odbył się demonstracyjny odczyt w sekcji historycznej. Dr Gyula Pauler wyluszczył mianowicie w fachowej prelekcji, że co do samego faktu zmartwychwstania powstrzymuje się od wypowiedzi, gdyż nauki teologiczne są mu obce, nie czuje się więc powołany do tego, aby kwestionować możliwość zmartwychwstania osób, które nie są, ściśle biorąc, postaciami historycznymi. Odnosi się to do Radovana, Janosza Bajony, Pała Isztvanffy, Martona Bosznyaka, Baszy, Matiasza i innych, jeśli zaś chodzi o Miklosza Zrinyiego z Zerinváru to dr Pauler z całą stanowczością stwierdza dwie rzeczy:

a) że Miklosz Zrinyi właściwie nie jest hrabią, lecz tylko comesem, a comes nie był nawet dziedziczną godnością — teraz więc tytuł hrabiowski wcale mu się nie należy (no, no, na Węgrzech to rzeczywiście umie mu wiele wartości),

b) że Miklosz Zrinyi istotnie padł pod Sigetvárem, zwłoki jego zostały pochowane wraz z ciałami innych, którzy tam polegli, lecz głowę Zrinyiego odcięto i Mohamed Sokoli posłał ją do Budy swojemu młodszemu bratu, Mustafie Sokolowiczowi, gdzie ta wysoce szanowana głowa była przez kilka dni wystawiona na widok publiczny dla postrachu niewiernych gjaurów — następnie Mustafa Sokolowicz posłał głowę Zrinyiego hrabiemu Eckhardowi Salmowi, głównodowodzącemu wojskami cesarza Maksymiliana, ten zaś przekazał ją Boldizarowi Batthyanyiemu, który tę głowę, przrzucaną z miejsca na miejsce, zabrał wreszcie do Czaktorni i kazał pochować w klasztorze świętej Ilony obok córek i pierwszej małżonki Zrinyiego, Kataliny Frangepan. Jasno z tego wynika, że gdyby nawet nastąpiło zmartwychwstanie w Sigetvárze,

czaszka ta, której pomiarów dokonał w swoim czasie dr Aureli Török, nie mogła przefrunąć z Czaktorni do tułowia rozkładającego się w Sigetvarze. Biblia nie wspomina o takich fizycznych niemożliwościach.

Doktorowi Gyuli Paulerowi udało się więc skompromitować również tego drugiego Zrinyiego, lecz na szczęście niewiele oczu czyta takie dysertacje, referat więc bez śladu prześliznął się do wieczności, dla której nie ma zmartwychwstania.

Nie zaszkodziło to zbyt Zrinyiemu, jednak piękne dni zaczęły blednąć. Znudziły już rycerzy niezliczone uroczyste przyjęcia, a entuzjastów było także coraz mniej. Wszyscy czuli, że to już nie może trwać długo. Trzeba było się za czymś rozejrzeć.

Szczególnie pomniejsi rycerze okazywali niezadowolenie i już nawet z sobą o tym rozmawiali. — Wojny nie ma, co tu mamy do roboty? Leniuchować nie jest złą rzeczą, ale z czego nasz pan będzie nam płacił?

Niektórzy rycerze tęsknili za domem, chcieliby zobaczyć rodzinne strony, ewentualnie żyjących potomków; ten wybierał się do województwa Tolna, tamten do Borszod, inni zaś już nawet gdzieś znikli w ciągu ostatnich kilku dni, Czaky wyjechał do Sepesz do swoich prawnuków, Seczödy do województwa Vasz, aby tam odszukać krewnych. Jeden z pomniejszych rycerzy, Krzysztof Nagy, zapoznał się z jakąś wdową po sklepikarzu, od słowa do słowa zrodziła się miłość i pewnego dnia stanął za kontuarem jako sklepikarz, by ważyć imbir i skórkę pomarańczową. Michała Komadiego, ze względu na jego piękną brodę, zaangażowała *entreprise des pompes funèbres* \*. Gerszona Laszkaya zaś namówił pewien oberkelner, żeby do spółki z nim otworzył małą karczmę na peryferiach Pesztu. Już malują szyld: „Pod prawdziwym wojakiem Zrinyiego”. Słowem życie jest wielkim garbarzem, zaczęło ich przerabiać, garbować, udelikatniać, farbować według panującej mody.

Zrinyiego również coraz częściej napadał niepokój o przyszłość. Z trwogą widział, że wciąż ktoś ubywa z jego otoczenia. No, przecież wiecznie nie mogą być gośćmi. Kiedyś i to goszczenie ich musi się skończyć. Co będzie wtedy?

Rząd również uginał się pod ciężarem takich samych zmartwień. Czuł, że wypada mu coś uczynić, że powinien jakoś zaradzić. Ojczyzna jest dłużnikiem rycerzy, a opinia publiczna życzliwie przyjmie spłacenie tego długu. Poza tym z punktu widzenia policyjno-porządkowego i z innych względów również wskazane jest, aby ta mała armia Zrinyiego rozwiązała się samorzutnie. Lecz na to, żeby wszyscy mogli się rozejść, gdzie kto chce, jedni na prawo, inni na lewo, trzeba ich zaopatrzyć w pieniądze.

W ostateczności kłopot wysokiego rządu nie jest tak bardzo poważny, przecież chodzi tylko o to, w jakiej formie państwo ma wystąpić w roli dobrego wujaszka rozdzielającego swoje dary.

Niech wystąpi na przykład w postaci handlarza. To doskonale potrafi. Przecież państwo bywa nieraz handlarzem, nawet handlarzem na gigantyczną miarę. Za drogie pieniądze skupuje różne stare graty: bezużytecznych ludzi, rupiecie, złom żelazny, wszelką tandetę. Kupiło od jakiegoś hrabiego polewane gliniane dzbanki, od drugiego hrabiego zbiór zardzewiałych wyszczerbionych kos powstańczych, wyblakłe manifesty i obrazeczki, od syna pewnego wielkiego człowieka zakupiło nie nadające się do ogłoszenia pisma ojca. Dlaczego więc nie mogłoby teraz kupić od Zrinyiego i jego ludzi odzieży i broni, aby założyć Muzeum Węgierskiego Renesansu. To dobra nazwa. I dobry pomysł, bo w ten sposób można osiągnąć trzy rzeczy. Przede wszystkim uzyskamy nowe ciekawe muzeum z autentycznymi eksponatami, po drugie udzieli się przynajmniej doraźnie pomocy Zrinyiemu i jego ludziom, po trzecie wreszcie dyrektorem nowego muzeum można zrobić jakiegoś wysłużonego nicponia.

\* Przedsiębiorstwo pogrzebowe (franc.).

Lecz plan ten należy zakomunikować Zrinyemu tak subtelnie i taktownie, żeby się nie poczuł obrażony.

Należy mu wytłumaczyć, że ojczyzna wymaga od nich tej ofiary.

Tak się też stało, Zrinyi zgodził się, nawet — jak powiadał — był zadowolony, że przynajmniej jego rycerze zrzucą ciężki wojenny rynsztunek, który teraz w czasie pokoju wydaje się bardzo śmieszny, zwłaszcza że niektórzy mają na sobie nawet pancerze. Poza tym jest to niewygodny strój, bo gdy tylko nowocześni Węgrzy zobaczą kogoś z rycerzy, zaraz za nim lecą.

Muzeum Węgierskiego Renesansu zaczęło się już urzeczywistniać, dzienniki podały wiadomość o utworzeniu go jako o fackie dokonanej, chwając Włazicza za ten pomysł, a Zrinyiego za to, że ofiarowuje stroje. Jednakże pewnej nocy Zrinyi, wracając z kilkoma towarzyszami do hotelu, spostrzegł na kamiennych schodkach przed drzwiami jakiegoś sklepu dziewczynkę odzianą w łachmany; biedactwo głęboko spało. Słysząc było jej spokojny oddech: jedną chudą rączkę podłożyła zamiast poduszki pod głowę, drugą, z dłonią odwróconą do góry, wyciągnęła przed siebie. Zasnęła w takiej pozycji, w jakiej siedziała wieczorem. Morfeusz także nie jest bezstronny. Biedakom wydziela gorszy sen. Dusza dziecka odpoczywała, lecz ciało wciąż pracowało — ręka nawet teraz zebrała.

Była chłodna wiosenna noc, ostry wiatr od Dunaju migotał płomieniami lamp.

— Spójrz no, Gaszparze, czy to dziecko nie jest chore? — rzekł Zrinyi.

Alapi podszedł; miał paczkę szwedzkich zapalek — okropnie mu się podobały te diabelskie małe patyczki, cieszył się jak dziecko, gdy mógł jeden z nich zapalić.

— Ładna dziewczuszka. Nic jej nie brakuje, jest tylko zmęczona.

Zrinyi podszedł, przyjrzał się i pomyślał, że jego mała Klara tak samo wieczorami, zmęczona bieganiami, zasypiała tam, gdzie usiadła.

— Biedne maleństwo! Do rana tu przemarznie.

I niewiele myśląc zdjął z ramion swój purpurowy dolman i przykrył nim dziecko.

Potężny pan Zerinvary i Czaktorni nie zastanowił się nad tym, że w jego ubieralni nie wiszą już setki dolmanów, peleryn, czamar i futer i że jutro nie będzie miał co na siebie włożyć.

Tym bardziej nie zastanawiał się nad tym, jaki kłopot z tego wyniknie, gdy gazety podając ciekawą wiadomość uzupełnią ją uszczypliwymi uwagami, że przypadł najcenniejszy eksponat Muzeum Renesansu. A popielatoszary dolman Radovana nie jest chyba tak wartościowy, żeby dla niego urządzić muzeum.

Rząd był bardzo niezadowolony, gdy dowiedział się o tym lekkomyślnym czynie Zrinyiego. Trudno będzie dojść do ładu z takim człowiekiem. Lecz teraz już nie można się było cofnąć; wydano więc zarządzenie, aby policja wydostała dolman, choćby spod ziemi.

Powierzono to zadanie komendantowi policji; wręczył on opis swoim wywiadowcom, którzy przeszukali wszystkie lombardy stołeczne i następnego dnia przynieśli sześć purpurowych dolmanów, wyszywanych złotem, twierdząc o każdym z nich, że właśnie ten jest własnością Zrinyiego.

Komendant, wściekły, walił się pięścią w czoło:

— Skąd mam wiedzieć, który to był? Głupstwo palnąłem, że od razu nie kazałem go sfotografować.

Z wielkim trudem wreszcie rozpoznano dolman i otwarcie Muzeum Renesansu stało się realne. Bohaterowie Sigetvaru dostali ładne sumki i pogodzili się ze strojem europejskim, który początkowo uważali za wstrętny; kiedyś wpadł między wrony, musisz krakać jak i one — prawie wszyscy przyjęli francuskie spodnie, płaszcze i cylindry. Młodszy rycerze, jak Lörinc Juranicz i Pal Isztvanffy — niechaj niebiosy będą dla nich litościwie — zaczęli nawet nosić monokle.

Zrinyi wspaniale wyglądał w nowym ubraniu: miał marynarkę w kratę wątrobianego koloru, szare pantalony w paski i eleganckie lakierki, gdy zaś po kilku dniach kazał przyszyć brodę na bokobrody, mógł swym wyglądem rywalizować nawet z niemieckim dyplomata.

Chociaż lwia część sumy otrzymanej od rządu zachował dla siebie, topniała ona szybko w jego rękach, gdyż sypał pieniędzmi z wielkopańskim gestem. Pięćdziesięcioośmioletni arystokrata, który niemal całe życie spędził na wojnie i na męskich rozrywkach, obecnie, gdy wszedł w błyskotliwe społeczeństwo sybarytów szukających tylko przyjemności, chciwie pograżył się w zabawach, rozrywkach i przepychu wielkiego miasta i nowego życia.

Chciałby być bogaty, bardzo bogaty. Już nie wierzył, że pieniądź potrzebny jest tylko na to, by wypłacać wojsku żołd. Sam poczynił kroki w rządzie celem odzyskania majątków; radził się, czy nie byłoby dobrze w tej sprawie osobiście udać się do Wiednia do króla.

— To niemożliwe — odpowiedziano mu. — Majątki od tego czasu przeszły już w dziesiątą i dwudziestą ręce. Król nic tu nie może poradzić. Lecz my spróbujemy coś uczynić.

Dla rządu wszystko jest łatwe. Nacisnął pewne klawisze (rząd ma długie palce) i wkrótce holenderscy kapitaliści poruszyli się zakładając pierwsze Węgierskie Towarzystwo Kredytowe Ziemskie i Towarzystwo Ubezpieczeń z kapitałem zakładowym dwadzieścia milionów koron, podzielonych na sto tysięcy akcji po dwadzieścia koron każda.

Pomysł był piękny, a pączki rozkwitały na tej samej gałęzi, co wypożyczanie koni wojskowych, kataster i ściąganie podatków: głównym celem było popieranie ziemiańskiej szlachty. Matka także najbardziej kocha marnotrawnego syna, jest przecież najmilszy.

Pierwsze Węgierskie Towarzystwo Kredytowe Ziemskie i Towarzystwo Ubezpieczeń udzielać będzie niskoprocentowych kredytów, względnie przeprowadzi konwersję dawnych obciążeń, łącząc to z ubezpieczeniem na życie, które klient płaci jednocześnie z rocznymi spłatami kredytu hipotecznego.

Podobnie jak sprytny aptekarz ogłasza: „Nie będzie już łysych głów!“ tak ten popularny bank może ogłosić w swoim prospekcie: „Nie będzie już zadłużonych majątków ziemskich!“ Cóż to za rozkoszne hasło. Jest ono zresztą realne, gdyż bank ubezpiecza na życie na taką sumę, jaką wynosi dług, jeżeli więc którykolwiek zadłużony jaśnie pan na wieczne czasy zamknie oczy, pozostawia swoim potomkom niezadłużony majątek. Ach, jakże to pięknie było obmyślane!

Rząd przycisnął inny klawisz i oczy Holendrów zwróciły się w stronę Miklosza Zrinyiego. Musi zostać prezesem banku. Trudno o bardziej pociągające nazwisko w celu zainteresowania średniej klasy. Teraz już należało tylko poinformować Zrinyiego. Zawiadomienia Zrinyiego podjęła się jedna z wybitnych osobistości. Także typowa dla kraju sylwetka. Za granicą spotyka się je rzadziej, tu zaś rosną bujnie jak oset. Jeżeli kłopotliwe jest wymienienie czyjegoś nazwiska, okrywamy je szatą utkaną z mgły tajemniczości i mówimy: „Jedna z wybitnych osobistości naszego życia publicznego“. Bo nawet ten, kto nic nie zrobił w życiu publicznym, może być wybitną osobistością życia publicznego. W ten sposób mamy więcej nieznanymi wybitnymi osobistościami niż znanych. To osobliwe zaludnienie życia publicznego kraju wybitnymi osobistościami jest prawdziwie węgierskim wynalazkiem, co najmniej tak udanym jak gdzie indziej sztuczna hodowla ryb...

A więc jedna z takich wybitnych osobistości naszego życia publicznego odwiedziła Zrinyiego i podała mu do wiadomości, że został upatrzony na prezesa banku.

— A co to jest bank? — zapytał niedbale Zrinyi. — Do czego służy?

— Pożyczają pieniądze, a potem z uzyskanych procentów wypłaca tantiemy.

— Co to jest tantiema?

— To jest część zysku, która przypada na jedną akcję.

— A co to jest akcja?

— To jest kawałek papieru, który otrzymuje akcjonariusz w zamian za wpłaconą sumę.

— Hm. Nie rozumiem. I co ja mam tam robić?

— No... transakcje. Ty i dyrekcja udzielacie pożyczek dobrym firmom, a potem odbieracie z powrotem całą sumę wraz z procentami.

Na to Zrinyi zawrzał gniewem i walnął pięścią w stół, aż zatańczyły szklanki i różne przedmioty leżące na stole.

— Przecież wy chcecie ze mnie zrobić lichwiarza. Ani słowa więcej. Nie pozwalam.

Lecz wybitna osobistość życia publicznego nie jest człowiekiem, który by łatwo dał się zniechęcić, jeśli podjął się jakiegoś zadania.

— Ależ to jest bardzo zaszczytne stanowisko... więcej warte niż dowództwo Sigetvaru.

— Wszystko jedno, nie zostanę lichwiarzem.

— Ależ pomyśl, przecież Kalman Szell, Rado i margrabia Pallavicini także...

— Ja jednak nie będę lichwiarzem.

— Zastanów się, bo nie codziennie zdarza się taka okazja i taka propozycja...

Zrinyi ściągnął brwi, nozdrza jego rozdziły się, co było zapowiedzią burzy.

— Głupstwo. Gdy Sułtan Soliman ofiarowywał mi całą Chorwację — list jego wrzuciłem w ogień. Uważaj, żeby ciebie nie spotkało coś podobnego.

Wybitna osobistość uśmiechnęła się wiedząc, że nawet zimą nie ma w piecach takiego ognia, w którym można by palić wybitnych mężów.

— Rząd chce ci pomóc, ingerował więc w tej sprawie. Lecz jeżeli przestanie się tobą opiekować, nie wiem, co wtedy zrobisz. Ostatecznie jest to poważne stanowisko... Dwadzieścia milionów...

Zrinyi zamyślił się. To prawda, że z chwilą, gdy rząd przestanie się nim opiekować, nie wie, co z sobą zrobi. A dwadzieścia milionów to chyba niezła sumka. Chociaż wartość pieniądza od jego epoki uległa wielkiej zmianie. Minęły czasy, gdy do cesarza do Wiednia wyprawił z poselstwem Janosza Budahazyego, a ten nie wydał nawet całych pięciu forintów.

— Tak? Dwadzieścia milionów? — zapytał nagle spokojniej. — Co będę miał za te dwadzieścia milionów? Jak myślisz, czy duży majątek będę mógł za to kupić?

— Majątek? — zdziwiła się wybitna osobistość. — Przecież to będzie kapitał zakładowy, z tego będziecie udzielali kredytów.

Zrinyi oburzył się.

— A więc te dwadzieścia milionów nie będzie moje?

— Oczywiście, że nie.

Po tym nie chciał już słuchać dalej i wyrzucił za drzwi wybitną osobistość.

— Musi jeszcze trochę pogłodować pomyśleli przyjaciele Zrinyiego — potem zmięknie.

Rzeczywiście nie minęły nawet dwa tygodnie — człowiek szybko staje się gładki i ustępuje — gdy Zrinyi poznał ponętą kobietę, która bardzo lubiła piękne kwiaty i błyszczącą biżuterię. Pewnego dnia powziął więc decyzję, że obejmie stanowisko prezesa banku.

Teraz już bank został założony, do dyrekcji weszli Alapi i Pataczicz, do rady nadzorczej Lörinc Juranicz; żaka Radovana zaś Zrinyi zatrzymał przy sobie jako sekretarza, dając mu okrągłą pensyjke.

Rząd popychał naprzód sprawę banku. Nie zapomniał też o innych ryerczach Zrinyiego. Pal Isztvanffy otrzymał nominację do archiwum krajowego, Janosz Bajony został pracownikiem nowego muzeum. Balaža Deaka mianowano inspektorem szkolnym, przy czym minister przemówił mu do rozumu, aby poza podpisywaniem się nie brał pióra do ręki, żeby uniknąć kompromitacji — lepiej niech trzyma jakiegoś dobrego kancelistę; imć Ferenc Dando dostał dosyć dobre stanowisko w zarządzie stadnin państwowych.

Prawie wszyscy pomniejsi rycerze również mieli zapewniony chleb, niektórzy nawet kołaczki, wielu zaś Zrinyi zatrzymał przy sobie — jednego jako lokaja, innego jako kamerdynera lub huzara. Z wieloma jednak trzeba było się pożegnać. Ta rozłąka była rzeczą smutną. Zrinyi omal nie płakał, ale musiało się tak stać.

— Nie mam już armii — wzdychał — zostałem żebrakiem.

Lecz zwolna przyzwyczajał się do nowej sytuacji, chociaż ciągle spotykały go mniejsze lub większe przykrości. Pierwsza od razu w dniu założenia banku, gdy nowa dyrekcja przyszła się przedstawić.

Pewnego niskiego utykającego osobnika przedstawiono mu w ten sposób:

— Mor Zrinyi, szef działu ubezpieczeniowego.

— Jak to?! — zawołał Miklosz wzburzony. — Przecież rodzina Zrinyich wymarła, a imię Mor nie było w niej wcale używane.

— Ach, nie — rzekł z serdecznym uśmiechem człowieczek ujmując swój gruby złoty łańcuch od zegarka — wziąłem sobie to nazwisko.

Zrinyi tupnął nogą i rzekł z oburzeniem:

— No, to proszę natychmiast pójść i oddać je.

— Ależ, panie hrabio, przyjąłem to nazwisko za zezwoleniem ministra spraw wewnętrznych.

Radca prawny banku pociągnął Zrinyiego do niszy okiennej i wyjaśnił mu, że jest to najzupełniej legalne postępowanie i nic nie można mieć przeciwko temu.

Uspokoił się nieco, lecz powiedział z goryczą:

— Rozumiem ostatecznie, że zabierają nam majątki, gdy już nie żyjemy, bo ziemię trzeba uprawiać, ziemia jest po to, aby rodziła dla żyjących, zmarli już nie potrzebują jeść. Lecz stworzyć groby zmarłych, odebrać im klejnoty i nazwiska, by żyjący mieli z tego korzystać — to zupełnie co innego; w moich czasach ciężko karano tego, kto zdjął pierścienek z palca zmarłego, a co dopiero, gdyby zabrał czyjeś nazwisko i sam go używał...

— Prawda, prawda, ale dajmy temu spokój, panie hrabio; lepiej nie narażać się rządowi.

Bank zaczął bardzo dobrze prosperować. Pomysł podobał się, publiczność przepowiadała bankowi wielką przyszłość, akcje zaś, które holenderscy założyciele, dla wykorzystania dobrej koniunktury, śpiesznie rzucili na rynek, rozchwytywano znacznie powyżej nominalnej wartości. Akcje zostały wypuszczone z trzydziestoforintową nadpłatą, co nie tylko całkowicie pokryło dwadzieścia milionów forintów kapitału zakładowego, lecz przyniosło dwieście pięćdziesiąt tysięcy forintów zysku, który został dołączony do funduszu rezerwowego.

Przede wszystkim potrzebny był odpowiedni budynek. To było najważniejsze. W dzielnicy bankowej nadawał się jedynie pewien dom na ulicy Nadora; należało go kupić albo wydzierżawić.

Sprawę tę powierzono radcy prawnemu Michałowi Sebeniemu i Lörincowi Juraniczowi. Dom był własnością niejakiego Janosza Rozera, który mieszkał przy ulicy Zielonej w małej, lichej, żółtej kamienicy.

Sebeni i Juranicz udali się tam i następnego dnia zreferowali sprawę Zrinyiemu.

— Jak wygląda sprawa domu?

— Byliśmy u starego Rozera. Z początku mówił, że dom nie jest na sprzedaż. Później zapytał, ile byśmy mu zapłacili. Wymieniliśmy sumę, na co on ruchem głowy wyraził odmowę. Ofiarowaliśmy o dziesięć tysięcy forintów więcej. Na to także odpowiedział przeczącym ruchem głowy. Ofiarowaliśmy mu kapitał odpowiadający wykazanemu dochodowi domu. Tego także nie chciał. Odeszliśmy więc. Potem, gdy już byliśmy na schodach, nagle kazał nas zawołać i powiedział:

— Coś mi przyszło do głowy. Niech będzie, dostaniecie dom, lecz pod jednym warunkiem...

— Jakież to warunek? — zapytał Zrinyi.

— Nie mam odwagi powtórzyć, taka głupia historia...

— No, mówże!

— Więc warunek postawiony przez pana Rozera jest następujący: „Hrabia Miklosz Zrinyi zobowiąże się w umowie, że co niedziela będzie u nas na obiedzie“.

Zrinyi roześmiał się. Podobała mu się ta bzdura.

— I coście odpowiedzieli?

— Powiedzieliśmy, że nie możemy przyjąć takiego warunku, wolimy dać za dom o pięć tysięcy forintów więcej.

— A potem?

— Zacerwienił się jak rak i powiedział: „Nie odstąpię od tego warunku, raczej sprzedam dom o pięć tysięcy forintów taniej“.

— Dziwny człowiek. No i co?

— Zrezygnowaliśmy. Nie doszło do porozumienia.

— Co to za człowiek ten Rozer?

— Wykapany Pal Szartory — odpowiedział Juranicz — lecz w jego mieszkaniu znać wielkopański luksus, a w przedpokoju jest kamerdyner w białych pończochach.

— Pan także nie wie o nim nic więcej, panie mecenasie?

— Niewiele. Lecz mogę się dowiedzieć. Mój znajomy, pułkownik, bywa u nich.

— Jak się nazywa ten pułkownik?

— Bobor.

— Ach, Bobor. Prawda, że ma piękną żonę?

— Śliczna kobieta. Rasowa.

Adwokat cmoknął.

— Ona także tam bywa? — zapytał Zrinyi z żywym zainteresowaniem.

— Tak, bardzo się przyjaźni z Rozerową.

— Niech mi pan jutro albo pojutrze opowie, co pan wie o tej rodzinie!

W trzy dni później Zrinyi znalazł na swoim stole obszerny wywiad na kilku arkuszach papieru.

Zawołał żaka Radovana.

— Męczy mnie czytanie, Radovan, przeczytaj mi te kulfony. Widzisz, takich wygodnych mebli dawniej nie było — dodał wyciągając się na kanapie.

Radovan chciał właśnie zacząć czytać, gdy weszli Lörinc Juranicz i Gaszpar Alapi; dwa przeciwieństwa: najpiękniejszy i najbrzydszy rycerz z całej straży. Alapi był krępy, garbaty, bardzo owłosiony, lecz w jego wąskiej czaszce mieszkał wielki rozum, łączyło go też pokrewieństwo ze Zrinyim; Juranicz zaś, szlachcic chorwacki piękny jak Apollo, był ulubieńcem kobiet i dziewcząt.

Zrinyi najwyraźniej ucieszył się na ich widok, bo o tej porze, po obiedzie, nieustraszony bohater, tak jak dawniej, gdy rozłożył się na niedźwiedziej skórze i rozpiął pas — stawał się wesołym i dowcipnym kompanem: z humorem opowiadał bądź swoje wojenne przygody, bądź perypetie z polowań czy figle miłosne. Tylko pod bronią był oschły i srogi.

— Dobrze, że przyszedłeś — zawołał na powitanie Juranicza. — Ta piękna mężatka już dała znać o sobie.

— A piękna dziewczyna? — pytał ciekawie Juranicz.

— Jeszcze nie wiem.

Mądry, zawsze dociekliwy Alapi wtrącił:

— Czy to nowa przygoda, Mikloszu?



— Coś w tym rodzaju — odpowiedział Zrinyi podkreślając węża. — Dzisiejsze białogłowy już nie są tak wstydlive jak dawne. Ach, ta jest diabelnie piękna. Zresztą nabrała mnie. O ile teraz tego nie naprawi...

— Co się stało? — dopytywał się Alapi.

— Drobiazg, ale złapaliśmy je na wędkę. Kilka tygodni temu spacerowaliśmy z Juraniczem w lasku podmiejskim. Przed nami szły dwie kobiety, jedna zgrabniejsza od drugiej, ale od razu można było poznać, że jedna z nich jest młodą dziewczyną. Nie wpadłyby mi zresztą w oczy, gdyby nie to, że przystanęły i małymi pantofelkami zaczęły rozgrzebywać trawę, jakby czegoś szukając. Jedna pochyliła się... Na Boga, nie ma nic piękniejszego, Gaszparze, niż wygięte w łuk, pochylone kobiece ciało... Już stary ze mnie kozioł, lecz na coś podobnego nie mogę patrzeć obojętnie. Po chwili kobiety odwróciły się, szły teraz w naszą stronę, nieustannie patrząc na drogę; gdy podeszły blisko, starsza zwróciła się do mnie:

„Czy panowie nie znaleźli na drodze złotej broszki?”

„Nie”.

Dziewczyna zarumieniła się, jak gdyby zażenowana tym, że jej towarzysza odezwała się do nas.

„A jednak zgubiłam ją na tym odcinku drogi, koło tamtego wielkiego drzewa jeszcze ją miałam” — zwróciła się do swojej towarzyszki.

„Jak wyglądała ta broszka?”

Na moje pytanie jakby nadzieja błysnęła w jej oczach, myślała, że jednak znaleźliśmy jej zgubę i badawczo spojrzała na mnie. Wzrok jej parzył jak ogień.

„Naprawdę panowie nie znaleźli?”

Roześmiałem się, ona zaś przyjrzała się nam jeszcze bardziej podejrzliwie.

„Ależ ciociu Mari — zauważyła panienka — jeżeli panowie tak twierdzą...”

Ciocia Mari wcale jej nie słuchała.

„Był to dla mnie bardzo cenny klejnot, pamiątka po nieboszczyku mężu”.

Bawiło mnie to wszystko, podobała mi się też niewiasta, zacząłem się więc z nią przekomarzać.

„A co by mi pani dała, gdybym znalazł tę broszkę?”

„A co by pan chciał?” — zapytała.

Na wpół uśmiechała się, na wpół złościła, lecz już teraz była pewna, że broszka jest u mnie.

A my pod tym pretekstem zagłębiiliśmy się w dłuższą rozmowę z nimi, żartując i certując się; szczególnie Juranicz mocno smalił koperczaki do panienki.

— Urocze stworzonko — westchnął Juranicz. — Ach, żebym chociaż jeszcze raz mógł ją zobaczyć.

— Cóż było dalej? — naglił Alapi.

— Nic — ciągnął dalej Zrinyi. — Broszki nie znaleźliśmy, więc nie mogłem jej zwrócić, lecz w ten sposób poznaliśmy damy (jak teraz nazywają białogłowy), jeszcze jakiś czas nadaremnie szukaliśmy owej broszki, potem poprosiły, żeby pokazać im drogę do starej oberży, gdzie pozostawiły swój powóz. Lecz żaden z nas nie wiedział, którędy tam dojść. „Widocznie panowie są tu obcy — zauważyła piękna mężatka — że nie znają tej okolicy”.

„Ja znam, tylko nie wiem, gdzie tu jest oberża”.

„Czyż to możliwe?”

„Gdy byłem tu po raz ostatni, żadnej oberży jeszcze nie było”.

„To wykluczone, przecież ona istnieje już ze sto lat”.

„Tak, lecz ja byłem tu ostatni raz przed trzystu laty”.

Piękna mężatka żartobliwie uderzyła mnie wachlarzem po rękę.

„Cóż za obrzydliwiec z pana. Zawsze pan żartuje”.

„Ależ daję słowo...”

W tej chwili kobieta nagle drgnęła i spojrzała na mnie.

„Czy pan może...”

„Tak, jestem Mikloshem Zrinyim, a to porucznik Lörinc Juranicz”.

„Ja zaś jestem żoną wojskowego, pułkownika Bobora; już nawet nie żał mi broszki, ponieważ miałam okazję poznać człowieka, którego tak ubóstwiałam, póki żył na kartach historii”.

„A teraz?”

„Ależ, panie — zarumieniła się, spuściła oczy. — Cóż mogę powiedzieć?...”

Przyłożyła dwa różowe paluszki do ust i jednym okiem mrugnęła na mnie, a drugim wskazała dziewczynę, jakby mówiąc: „Widzi pan, że nic nie mogę powiedzieć w obecności tej dziewczyny”.

Po czym rozstaliśmy się; jakaś przechodząca wieśniaczka wskazała im drogę do oberży; poszły na przelaj koło łąny żyta, my zaś ruszyliśmy dalej drogą i cała sprawa na tym by się zakończyła, gdyby coś nagle nie zgrzytnęło w trawie pod moimi nogami. Patrząc, a to właśnie złota broszka, lecz tak zmiążdżona i spłaszczona przeze mnie, że kamień i perła w niej wyglądały, jakby je ktoś rozbił młotem. Co mam teraz począć? Nie mogę odesłać tak zniszczonej broszki. Zaniósłem ją do jubilera i do starej oprawy kazałem wprawić wielki diament. Prawda, przecież ty za nią płaciłeś, Radovan, ile kosztowała?

— Dokładnie tysiąc forintów.

— No, a gdy brosza była gotowa, Radovan na policji dowiedział się adresu damy i odniósł jej klejnot.

— I?

— Przyjęła i przysłała mi jeden czerwony goździk.

— Ej, ej, Mikloszu! — pogroził Alapi kiwając głową. — Nie przypuszczałem, że z ciebie taki zbytnik.

— Ho, ho, synu — roześmiał się Miklosz Zrinyi — póki człowiek żyje, póty ma ochotę broić. A wreszcie, jeżeli nie ma zamku do oblegania, to dobra i kobieta. W rezultacie jednak w okropny sposób wpadłem.

— Dlaczego?

— Bo mąż tej damy, emerytowany stary pułkownik, jest śmiertelnie zazdrosny.

— Dzięki Bogu! — mimo woli wyrwało się Alapiemu.

— Jakież zawistny pies z ciebie, Alapi — burknął Zrinyi — lecz sprawa jeszcze nie jest beznadziejna, zapewniam cię. Kobiety bardzo się zmieniły od naszych czasów, nie są już takie cnotliwe. Z czego się śmiejesz, Juranicz? Chcesz przez to powiedzieć, ty rozpustniku, że już i wtedy nie były tak bardzo cnotliwe? No, wszystko jedno. Widzę w poprzek mojej drogi złoty kobiecy włos. No, Radovan, czytajże te foliały.

Radovan kiwnął głową i głośno zaczął czytać, co następuje.

## V

### ROZEROWIE

«Rozerowie należą do najbogatszych i najbardziej wytwornych rodzin mieszczańskich (mieszkają we własnym domu przy ulicy Zielonej) i doszli do takiego poziomu mieszczańskich

cnót i demokratycznego wykształcenia, że już zaczynają marzyć o szlachectwie. Jeżeli się nie mylę, sprawa leży u ministra spraw wewnętrznych.

Stara patrycjuszowska rodzina, lecz dopiero obecna głowa rodziny doszła do większego majątku.

Janosz Nepomucen Rozer w młodych latach miał zostać aptekarzem i ukończył odpowiednie nauki. (W sypialni pani Rozerowej wisi dyplom oprawiony w ramkę).

Ale właśnie gdy zamierzał przyjąć posadę praktykanta w aptecę „Pod Wężem”, zmarł nagle jego wuj Józef Schramm, właściciel ogromnego podbródka i małej restauracyjki, którą pozostawił swojemu siostrzeńcowi.

Pan Rozer oplakując starego tak rozumował:

— Byłbym skończonym wariatem, gdybym w laboratorium apteki „Pod Wężem” warzył różne ziołka, maści o wstrętnych kolorach i inne gorzkie dekokty, mając możliwość przyrządzać we własnej restauracji wspaniałą faszerowaną kapustę i kluski z serem.

Stał się więc restauratorem o duszy poety. W tym samym roku ożenił się po trzykrotnych zapowiedziach, biorąc sobie za małżonkę Krystynę, uczciwą pannę, córkę Ferenca Kosza, emerytowanego urzędnika Monopoli Solnego, z którą do dziś dnia szczęśliwie żyje.

Trzeba dodać, że Rozerowie to ludzie bardzo dzielni, pracowici i oszczędni. Rozer osobiście załatwiał wszelkie zakupy na targu, sam sprawdzał, czy goście są dobrze obsłużeni, a jego zgrabna ruchliwa żoneczka od rana do północy krzątała się po kuchni i naprawdę doskonale umiała sobie radzić z warząchwią. Restauracja szła bardzo dobrze (o wiele lepiej niż za czasów śp. wuja Schramma), toteż Rozerowie bogacili się w oczach.

Pan Rozer znał się na interesach, miał duszę poety, lecz jednocześnie był człowiekiem praktycznym, pełnym pomysłów przynoszących zyski.

Gdy uciułał już jakieś pięćdziesiąt tysięcy forintów, nagle przypomniał sobie aptekarski zawód i zakupił aptekę na przedmieściu w pobliżu swej restauracji, rozumując w ten sposób:

— Dlaczego w mojej własnej restauracji mam niszczyć ludzkie żołądki dla aptek, które należą do kogo innego? Restauracja przecież jest tylko przedpokojem apteki. Czemu więc miałbym utrzymywać przedpokój w cudzym mieszkaniu. Muszę mieć własną aptekę.

Stali goście o złośliwych językach namawiali go, by teraz już konsekwentnie założył także zakład pogrzebowy z odpowiednim kapitałem.

Prowadzenie dwóch interesów wymagało ogromnego zachodu. Dniem i nocą małżonkowie byli wrzęgnięci do pracy. W dodatku i tu i tam ich obecność potrzebna była do późnej nocy. Życie pracujących mieszczan doprawdy pozbawione jest radości. Pracują, wciąż pracują, a gdy wyczerpani harówką późno w noc przyłożą głowy do poduszek — nie mają nawet czasu śnić. Muszą się prędko wyspać, bo znów zaraz będzie świtało. Sklep jest wielkim tyranem, wyrывa człowieka z najsłodsze go snu: „Budź się, wstawaj!”

Wśród pracowitych zabiegów i krzątania, w której małżonkowie pomagali sobie nawzajem, powiększył się ich majątek, lecz nie powiększyła rodzina. W ciągu kilku lat zebrali trzysta tysięcy forintów i wtedy Janosz Rozer tak się odezwał:

— Słuchaj no, Kryśka! Właściwie po co mamy się dłużej trudzić? Jeżeli sprzedam aptekę i restaurację, nasz majątek wyniesie około pół miliona. Pięć procent od tej sumy stanowi dwadzieścia pięć tysięcy. Jest to więcej, niż nam potrzeba. Bo ja, moje dziecko, nie potrafię zjeść na jedną kolację więcej niż trzy rozbratle. A ty potrafisz?

— Ja także nie — odpowiedziała Kryśka.

— Tyle zaś możemy zjadać przy naszym obecnym majątku. Wycofajmy się z interesu do spokojnego mieszczańskiego życia. Mnie więcej pieniędzy nie potrzeba. Opatrzność nie dała nam dziecka, a pieniędzy już nie chcemy. Czy mam słuszność, Kryśka?

Kryśka przytaknęła głową i Rozerowie po sprzedaniu restauracji i apteki oddali się zasłużonemu odpoczynkowi. Jest to bowiem prawdziwie mieszczańską cechą. Arystokracja nie zadowolona żadną ilością ziemi, nawet królowie wiecznie pragną nowych terytoriów, lecz mieszczanin ogranicza się do dobrobytu i za nic nie chce się więcej trudzić.

Ale co się stało? Opatrzność widocznie na serio obraziła się za wyrzuty Rozerów i pewnie tak sobie powiedziała:

„Aha! Mówicie, że wam pieniędzy nie potrzeba, bo nie macie dzieci? No, to dobrze. Dam wam kupę dzieciaków!”

Wśród wygód i beczynnego życia pani Krystyna zaczęła nagle rodzić małych Rozerów.

W pierwszym roku urodził się Pali, który jest teraz ochotnikiem w pułku dragonów. W następnym roku przyszły na świat bliźniaki. W trzecim znowu bliźniaki.

— To nic — mówił pan Rozer. — Każdy z nich dostanie jednak po sto tysięcy forintów.

Lecz gdy w czwartym roku dzielna kobieta wydała na świat trojaczki — pan Rozer przestraszył się.

— No, no! Co to ma znaczyć?

Krewni, sąsiedzi, liczni ojcowie i matki chrzestne dotychczasowych dzieci zaczęli kpić. To jednak straszne, gdy liczba spadkobierców wzrasta do trzeciej potęgi!

Rzeczywiście dziwna była ta niezwykła płodność po tylu latach bezdzietności! Kto widział takiego zwariowanego bociana! Za piątym razem przyniósł śliczną małą dziewczynkę. Była to Ania, która teraz wychowuje się w klasztorze, skąd tylko w niedzielę przychodzi na obiad.

Mieli już dziewięcioro dzieci. Wszystkie zwawe jak wiewiórki, jedno ładniejsze od drugiego. Pan Rozer zaczął kalkulować:

— Nie wypadnie na każdego nawet po pięćdziesiąt tysięcy, bo część kapitału pójdzie na wychowanie. Moje dzieci będą żebrakami!

Jego miękkie mieszczańskie serce nie mogło znieść tej myśli i pewnego dnia rzekł do żony:

— Słuchaj no, moja droga Kryśko, dla nas wszystkich już nie starczy majątku. Ostatnia strona Biblii jest cała zapisana imionami dzieci. Jak jeszcze coś przybędzie, trzeba będzie wpisać na marginesie. Kryśka, powiadam ci, musimy się znów zabrać do interesu.

Krystyna, która i teraz była w błogosławnym stanie, z łagodnym uśmiechem przyjęła nowe plany. Pan Rozer zainwestował swój kapitał w fabrykę klepek w Słowenii i tym znów ściągnął na siebie uwagę Opatrzności, która mniej więcej w ten sposób sobie rozumowała:

„Diabelni są ci Rozerowie! Przedtem hojnie ich obdarowałam pieniędzmi, to potrzebowali dzieci, potem hojnie dałam im dzieci — to znów chcą pieniędzy. No, to dobrze, odbiorę im dzieci i dam im jeszcze więcej pieniędzy.”

Fabryka przynosiła fantastyczne zyski, tysiączki mnożyły się wariacko jak myszy, lecz podczas gdy majątek wzrastał, ilość rozerowskich dzieci zaczęła się kurczyć. Dyfteryt, szkarlatyna następowały po sobie i z drzwi nie zdejmowano czerwonej cedułki. W przeciągu pięciu lat pozostało przy życiu zaledwie dwoje: panicz Pali i mała rozczochrana Ania.

Małeńkie trumienki, które kolejno opuszczały dom w niebiesko-białej oszklonej karecie i odchodziły daleko, daleko — trwożą napęłniły serce Rozera.

— Kara boska wisi nade mną za moją chciwość; nie chcę więcej pieniędzy nie, nie, nie. I tak wypada już po pół miliona na każde dziecko.

Wycofał się z interesu sprzedawszy fabrykę klepek jakimś holenderskim przedsiębiorcom.

Rozerowie mieli teraz tyle pieniędzy, że nie wiedzieli, co z nimi robić. Największe nawet mieszczańskie wydatki zawsze pozostaną skromne. Składają się na nie: jedzenie, picie, po południu partia belotki, wieczorem trochę piwka „Pod Bukietem Kwiatów” przy Placu Józefa, na Boże Narodzenie gwiazdka dla dzieci, na Wielkanoc nowa jedwabna suknia dla Krystyny, na

Zielone Świątki wycieczka na Szwabską Górę. To wszystko. Jakże poza tym może mieć pragnienia, a więc i jakież wydatki, spokojny mieszczanin, który znojną pracą zdobył to, co posiada?

W ten sposób żyła rodzina Rozerów przez długie lata w całkowitym mroku — jedyną lampą, która im przyświecała, był okrągły milion.

Zakupiwszy dom przy ulicy Zielonej i plac przy ulicy Nadora, na którym pan Rozer wybudował ładny pałacyk, resztę pieniędzy włożyli do Pierwszej Krajowej Kasy Oszczędności i do innych banków, a z procentów podnosili tyle, ile im było potrzeba, resztę dodając do kapitału. Być milionerem to nie jest uciążliwy zawód. Pan Rozer nosił na kamizelce ciężki złoty łańcuch do zegarka, a żona brylantowe kolczyki w uszach. Pan miał w kieszeni trzy pugilaresy, jeden na duże banknoty, drugi na małe banknoty, trzeci na drobne pieniądze; pani zaś okazywała luksus, chowając małego białego pinczerka z niebieską jedwabną wstążką na szyi. Rozer poza tym nosił tabakierkę i czasami zabierał żonę na wyspę Małgorzaty, gdzie zajadali kurczęta po wiedeńsku.

Tak potoczyłoby się ich całe życie, spokojnie i prosto, gdyby raz pani Rozerowej nie spuchła wątroba i lekarz domowy, doktor Celestyn Włada, nie wysłał jej do Karlsbadu.

Dzielna kobieta wróciła po miesiącu wyleczona i szczęśliwa; nie spotkało jej nic złego poza tym, że część jej bagażu (kosz podróżny zaopatrzony w kłódkę) została w drodze w jakiś sposób zamieniona. Prawdopodobnie stało się to na dworcu karlsbadzkim skutkiem tego, że urzędnik przy wadze nalepiając numerki zamienił dwa podobne kosze.

Dość że pani Rozerowa, gdy w domu rozpakowała kosz, z przerażeniem stwierdziła, że jej jedwabne suknie, nocne kaftaniki i inna bielizna zamieniły się w męską garderobę.

Krystyna płakała i tęskniła za swoimi rzeczami, obliczyła, jakie poniosła straty i ile może być warte to, co znalazła w koszu. To zaś nie było wiele warte. Jedna szczotka do ubrania, dwie szczotki do butów, przyrządy do golenia, dwie pary zniszczonego obuwia, kilka par pończoch i to, o czym przede wszystkim powinienem był wspomnieć — nowiuteńka wytworna liberia ze srebrnymi guzikami, na których widniała pięciopałkowa korona, a poza tym kamizelka i spodnie. Ten zabłąkany kosz musiał należeć do jakiegoś wielkopańskiego lokaja.

Rozerowie pisali do Zarządu Kolei, ogłaszali wszelkimi drogami i sposobami zamienione przedmioty, lecz nigdy już rzeczy ich nie powróciły; toteż mieszczański umysł, szukający we wszystkim korzyści, zwrócił się do pięknej wytwornej liberii.

— Posłuchaj, Kryśka! Jeżeli już mamy ten piękny *Anzug* dla kamerdynera, dlaczego nie mielibyśmy przyjąć chłopca, na którego by właśnie pasował?

— Jak sobie chcesz, Janosz.

Wkrótce znalazł się wyrzucony z klubu ziemian fagas, który nadawał się do liberii: tylko zgolenie wąsów nastroczało nieco trudności. Żorz (naprawdę nazywał się Gyuri Sabo i pochodził z Komarom) nie chciał rozstać się z wąsami. Lekarz domowy, doktor Włada, którego proszono o radę, kurczowo trzymał się twierdzenia, że lokaj w pończochach i z wąsami jest niemożliwym zjawiskiem.

Ponieważ prawdziwy mieszczanin nigdy nie wyrzeknie się tego, co już raz posiadał, a pończochy posiadał już rzeczywiście, Żorz musiał pójść na ustępstwo w sprawie wąsów. Po wielu targach rozstał się z nimi za pięćdziesiąt pięć forintów. Pan Rozer chciał zaokrąglić sumę do pięćdziesięciu, lecz Żorz uporczywie trzymał się swojej ceny.

— Piątaka muszę przecież dać golarzowi — rzekł wzdychając załośnie. — Niech ten niktzemnik przez całe życie pamięta, co zniszczył tego dnia.

Człowiek ten, ubrany w liberię, wyprzystojniał i nabrał godności. Jakież to było imponujące, gdy stanął na progu i skłonił się przed mamą Rozerową. Jakież inne powietrze, niezwykle i wytworne, owiało ciasne pokoje, zastawione obitymi rypsem meblami w lnianych pokrowcach.

Meble te jakby wstydliwie kurczyły się i płaszczyły pod spojrzeniem Żorża i przez otwarte okna wpływała jakaś wykwintna woń.

Zacnych mieszczan, którym nie zawrócił w głowie zdobyty milion, odurzył blask srebrnych guzików Żorża. Dosłownie bali się go, gdy nadchodził z wyrazem milczącej pokory na zimnej, nieruchomej twarzy, stąpając cicho i bezszelestnie nieco kołyszącym krokiem, jak lokaje markizów na scenie; poczciwi ludzie drżeli i niespokojnie spoglądali na swoje stroje w obawie, czy Żorż nie znajdzie w nich czegoś do skrytykowania. Pan Rozer nie miał już odwagi wysypywać na podłogę popiołu z fajki, gdyż Żorż pewnego razu na widok popiołu mimo woli rzekł: „Tfu!” Pani Rozerowa, która lubiła leżąc na kozetce czytać drobne ogłoszenia w *Neues Pester Journal*, gdy słyszała kroki zbliżającego się lokaja, zalękniona przybierała odpowiednio wielkopańską pozę.

Krępował ich wprawdzie, lecz jednocześnie pobudzał drzemiące w nich uczucia.

Bali się go, a jednak cieszyli się nim jak niezwykłą zabawką, która została wynaleziona dla dorosłych dzieci, a kiedy się już tą nowością nasyčili, zaczęło się w nich budzić inne nieodparte pragnienie.

— Co jest wart wytworny kamerdyner — pewnego dnia z westchnieniem powiedziała Krystyna do męża — jeśli nikt o nim nie wie i nikt go nie widzi?

— Nie rozumiem ciebie — wyjąkał pan Janosz, chociaż doskonale rozumiał.

Cały dzień zastanawiał się nad czymś, stękał, sapał, wieczorem zaś odezwał się:

— Co byś powiedziała, Krystyno, gdybym postarał się o piękny powóz i podczas każdej przejażdżki Żorż siedziałby na kozle?

Oczy kobiety zabłysły.

— Ach, Janosz, to byłoby cudownie!

Po tygodniu mieli już wspaniałą powóz i parę jabłkowitych koni, a następnej niedzieli pojechali z Żorżem do lasu miejskiego.

Byli szczęśliwi, lecz trwało to krótko.

— Cóż to jest warte — wybuchnął pewnego razu pan Rozer — że siedzimy w pięknym powozie, że ludzie podziwiają nasz zaprzęg i naszego lokaja, skoro nawet nie wiedzą, komu zazdroszczą, ani my nie wiemy, kto nam zazdrości.

Była to prawda. Rozerowa jednak znalazła na to lekarstwo.

— Wiesz, Janosz, trzeba byłoby tak urządzić, żeby odwiedzali nas znajomi.

— Chyba masz słusność — rzekł poważnie starszy pan.

— No, i żeby lokaj podawał do stołu.

— Oczywiście.

— A dlaczego nie mielibyśmy dawać proszonych obiadów?

— Oczywiście, no oczywiście. Urządzajmy prozione obiady, żono.

Czoło damy zachmurzyło się.

— Nie, nie! Jak to sobie wyobrażasz? Przecież w takim razie potrzebny byłby kucharz.

— Ech, Kryśko. Tak gadasz, jakby na świecie był tylko jeden kucharz i służył u Rotszylda, skąd nie dałoby się go ściągnąć. Będziemy mieli kucharza, Kryśko. Jeśli ja ci mówię, to będziemy mieli.

— Ach, Janoszu, to prawdziwie wielkopański gest!

Teraz jednak zachmurzyło się czoło pana Rozera.

— Tere fere! Oboje głupstwa gadamy, duszko. Przecież na przyjęcia nie tylko potrzebny jest lokaj, sam obiad, lecz także wytworni znajomi, a tych nie można kupić za pieniądze.

Rozerowa zamyśliła się.

— W drodze powrotnej z Karlsbadu jechałam pociągiem z niejakim Karolem Boborem,

emerytowanym pułkownikiem, i z jego małżonką. Tacy mili ludzie! Byli bardzo uprzejmi dla mnie i myślę, że przysliby do nas na obiad, gdybyśmy ich ładnie zaprosili.

— No więc! — zawołał nagle pan Janosz rozradowany. — Zbierzmy razem wszystko, co posiadamy! Teraz przypomniałem sobie, że poseł do parlamentu Gedeon Bibithy przyszedłby również.

— Kto to jest?

— Z jego lasu kupowałem drzewo na klepki. To człowiek zadłużony, lecz jest posłem, a bez posła, bez jednego prawdziwego, żywego posła, moje dziecko, nie można sobie nawet wyobrazić naprawdę eleganckiego obiadu.

— Masz zupełną rację — powiedziała z gorącym przekonaniem mama Rozerowa. — A do jakiego stronnictwa należy?

— Niestety do partii rządowej.

— Ach, to nic, Janosz, może nawet lepiej. Kto wie, czy nie mógłby się postarać o jakiś order dla ciebie; wspaniale wyglądałby na fraku podczas naszych obiadów.

Pan Rozer zaczerwienił się aż po same uszy:

— Nic nie mów, Kryśka, nic nie mów... — i mrużąc wstydliwie oczy, dłonią zakrył żonie usta.

*Dictum — factum* \*, proszone obiady zostały zadecydowane. Oczywiście wszystko nie poszło tak łatwo i prosto; przecież do mieszkania, którego urządzenie stanowiły stare wyświechtane patriarchalne meble, nie można było zapraszać tak wybitnych osobistości — trzeba było zamówić w Wiedniu nowe garnitury mebli tak wspaniałe, że oczywiście nie można ich było wsadzać do tych ciasnych nor, należało przebudować całe piętro, wymówić lokatorom i z czynszowych mieszkań zrobić wytworne przestronne salony, a wszystko to wymagało dużo czasu, dużo troski, dużo pieniędzy.

Stało się więc zadość życzeniom Rozerów. Rzeczywiście odbywały się u nich obiady, w których brał udział emerytowany pułkownik Bobor ze swoją piękną młodą małżonką; czasami także zjawiał się poseł, lecz to zawsze wymagało dużego zachodu. Resztę gości stanowili chrzestni rodzice zmarłych dzieci Rozerów i członkowie ich rodzin. Spośród naszych znajomych można tam było spotkać Pala Szartoryego, który widząc to wszystko kiwał głową i rozpuszczał w kołach mieszczańskich wiele sarkastycznych historyjek o tych sławnych obiadach.

Dawni znajomi Rozerów również nie szczędzili złośliwych uwag na temat ich megalomanii: „Wariaci, marnują przyszłość córki. Żaden wielki pan i tak nie ożeni się z nią, chyba dla pieniędzy, co jest przecież bardzo przykre. Odeszli stamtąd, gdzie ich szanowano, i poszli tam, gdzie ich wyśmiewają”. Trzeba zresztą stwierdzić, że te obiady nie sprawiały Rozerom wielkiego zadowolenia. Wręcz przeciwnie.

Pułkownik miał trudności finansowe i gdy była mowa o drożyznie na targach budapeszteńskich, często i chętnie mawiał:

— Powinienem mieszkać w Gratzu, lecz jestem zbyt biedny na to, żeby wyżyć w takim żebraczym nieście.

W tym zdaniu mieściła się szekspirowska mądrość, a pan Rozer, choć nie był człowiekiem wykształconym w naukach, dobrze zrozumiał, o co chodzi, gdyż pułkownik Bobor bardzo lubił od czasu do czasu prosić swoich znajomych o drobne pożyczki, których nigdy nie zwracał.

Co prawda pułkownikostwo Boborowie doskonale wyglądali przy stole, gdyż pułkownikowa, pani Maria, była piękną kobietą, miała wspaniałe rudawe włosy, mlecznobiałą cerę, ponętne czerwone wargi i postawę jak Maria Teresa; pułkownik zaś prezentował się imponująco

\* Powiedziane — zrobione (łac.).

w galowym mundurze z orderami. Jednakże drogo kosztowali oni Rozerów.

Na początku miało to nieco uroku. Po załatwieniu pierwszej przyjacielskiej pożyczki pułkownik przeszedł na „ty“ z Rozerem. Sprawilo to Rozerowi wielką przyjemność, lecz to „ty“ przeistoczyło się wkrótce w nie ustające źródło przykrości, bo teraz pułkownik jeszcze swobodniej mógł napisać lub powiedzieć: „Rozer, stary kumplu, daj no prędko pięćdziesiąt forintów“. Z okazji drugiej większej pożyczki pułkownikowa przeszła na „ty“ z Rozerową, co bezsprzecznie ogromnie uszczęśliwiło panią Krystynę. Z czasem wszyscy członkowie obu rodzin mówili sobie po imieniu. Boborowa — Rozerowi, Bobor — Rozerowej, a wszyscy — pięknej, zgrabnej, dorastającej Annie Rozer i młodemu Rozerowi, co ze strony Bóborów było przypieczętowaniem takiego niezwykle intymnego stosunku, przy którym pewnego rodzaju wspólnota majątkowa staje się rzeczą naturalną na podstawie następującego rozumowania:

„Rozerowie mają więcej niż potrzebują, my zaś mniej niż nam potrzeba; w tych warunkach byłoby niktymnością ze strony Rozerów, gdyby nam nie pomagali“.

Toteż pomagali, bo jakby wyglądały obiady bez pułkownikostwa? Urządzania obiadów nie można było już przerwać, zakrakałoby ich przecież całe miasto. Nie, nie, tego Janosz Rozer nie uczyni, raczej umrze. A pułkownikowa była niezastąpiona. Taka urocza, taka wytworna i olśniewająco piękna (Anna może się od niej wiele nauczyć). Pułkownikowa niejedno widziała, dużo wiedziała, o wielu rzeczach słyszała i nic nie wyszło jej z pamięci, raczej umiała nawet coś jeszcze dodać. Nie, pułkownikowej nie dałoby się zastąpić na tych przyjęciach.

Ach, te przekłete obiady! Ile przysparzały goryczy! Ile przykrości! Bodajby nigdy nie był zrodził się ten pomysł!

Pułkownik Bobor, gdy tylko powstawała najdrobniejsza różnica zdań, rzucał z pychą:

— Ostatni raz jesteśmy u was, Rozer, ostatni raz!

Wtenczas trwoga ogarniała całą rodzinę Rozerów, a pani Krystyna boleśnie wznosiła oczy do nieba.

Wiele trudu nastęczało także ściągnięcie posła Bibithyego. Trzeba go było cztery razy zapraszać, żeby raz przyszedł. Nie, to nie jest życie, a w każdym razie nie wielkopańskie życie. Pan Rozer często wpadał w gniew i chodząc tam i z powrotem po pokoju wykrzykiwał:

— Nie, to nie jest w porządku... nie, Krystyno, to nie jest w porządku!

Sytuacja stała się jeszcze trudniejsza, gdy pewnego dnia Gedeon Bibithy został cesarsko-królewskim szambelanem i następnej niedzieli wymówił się od obiadu twierdząc, że nie ma czasu nawet dla swoich najbliższych krewnych, a w pewnym wielkim towarzystwie głośno powiedział w obecności pułkownikowej:

— Do diabła z tymi obiadami Rozerów! Kiedyż wreszcie ci poczciwi ludzie dadzą mi spokój!

To oświadczenie świeżo upieczonego szambelana szybko rozeszło się wśród mieszczańskich znajomych, usłyszano je „Pod Bukietem Kwiatów“ na Placu Józefa, dotarło do ich dzielnicy, wreszcie do starych kamratów i partnerów Rozera, którzy pytali go drwiąco:

— Cóż się tam dzieje z Bibithym?

— Kiedy zobaczysz się z Bibithym?

Te gbury bez wychowania, którzy igłą, dłutem i za pomocą innych narzędzi zarabiali na chleb, bardzo dobrze umieli kłuć słowami i świetnie potrafili wplatać do rozmowy: „Bibithy, przyjaciel od serca naszego Rozera“ i inne podobnie uszczyplive i zgryźliwe powiedzenia, którymi tak wyprowadzali Rozera z równowagi, że jak zranione dzikie zwierzę uciekał z dawnych ulubionych kątów i zgrzytając zębami kłął w domu:

„Byłem głupi, że wdałem się w takie rzeczy. Lecz teraz nie mogę się wycofać. Zabiłby mnie wstyd. Trzeba coś wymyślić. Muszę znaleźć jakiś atut, jakiś wielki atut, który zamknie usta tym drwiącym złośliwcom“.



Nocami, gdy zapalał swoją piankową fajkę (bo w dzień nie miał odwagi jej palić z powodu Żorża) jego niespokojna myśl wciąż krążyła koło tego tematu. Krążyła wiecznie po dzielnicy za Muzeum Narodowym, między dumnymi pałacami o frontonach zdobnych w herby; widział kroczące po schodach damy w jedwabiach, rozsiewające delikatną woń rezedy, a wśród nich swoją Kryskę. Potem fantazja jego robiła większy krok i wślizgiwała się do wspaniałych książęcych zamków, do pałaców, o których tyle czytał w gazetach; ściany były tam obwieszane portretami pradziadów z szablą u boku i pięknych prababek, wodzów, najwyższych dostojników kraju i kardynałów uwiecznionych legendą; potem (tymczasem fajka zaczynała wygasać) jego wzburzona dusza wlatywała do samego tronu królewskiego i dawała się unieść oślepiającej myśli, co sam by zrobił, gdyby był królem... no, zrobiłby to, jak Boga kocham, zrobiłby to, że poszedłby na obiad do Rozerów... wtedy, gdy wcale by go nie oczekiwano, gdy nawet nie myśleliby o tym, zjawiliby się pewnego razu: — A ku-ku! Jestem, jeżeli chcecie mnie przyjąć.

Przy takiej lub podobnej słodkiej myśli pan Rozer zwykł zasypiać, toteż według mojego skromnego zdania nie można się dziwić, że przedwczoraj, gdy byliśmy u niego w sprawie kupna domu dla Pierwszego Węgierskiego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, wystąpił z taką dziwną propozycją, skierowaną za naszym pośrednictwem do jaśnie pana hrabiego.»

## VI

### „DELIKATNA” SPRAWA

— To wszystko — powiedział żak Radovan i odłożył foliał.

— Dobrze to wykocypował nasz przebiegły mecenas — zauważył Zrinyi, który z wielkim zainteresowaniem słuchał do końca dziejów chorobliwej manii wielkości Rozerów. — Bardzo zabawni ludzie. Na Boga, są tak komiczni, że można płakać ze śmiechu. Idź jutro, Radovan, i zawiadom Rozera, że w niedzielę ja i Juranicz będziemy u nich na obiedzie. Dobrze, Juranicz?

— Życzenie Zrinyiego jest rozkazem — odpowiedział piękny chorwacki szlachcic z ukłonem.

— A ta mała blondyneczka to nic? Lörinc, Lörinc, zacerwieniłeś się!

— Te żarty niegodne są poważnych rycerzy — burknął Alapi.

— Ech, głupstwo. Laslo Kun był królem i też nie wstydził się podobnych rzeczy.

— Ale został za to uduszony\*.

Radovan wziął kapelusz i oddalił się, by zakomunikować wiadomość Rozerom. Gdy pozostali sam na sam, Alapi zrobił poważną minę.

— Przyszedłem w tamtej sprawie.

— Tak, dzisiaj po południu będzie konferencja w Kasynie Narodowym, lecz niewiele z tego rozumiem. O co właściwie chodzi?

— Było to tak — zaczął Alapi. — Może ze dwa tygodnie temu pewnego wieczora zajrzeliśmy z Juraniczem do „Orfeum“, popiliśmy tam trochę wina, kilku znajomych przysiadło się do naszego stołu, rozmawialiśmy wesoło, gdy wtem przechodził ten głupi szczeniak baron Michał Perjeszy. Ktoś zawołał, żeby przysiadł się do nas. Odpowiedział na to z pychą: „Nie siadam do stołu, przy którym nie każdy człowiek jest koszerny”. „Któż tu nie jest koszerny?” — pytają. — „Pan Alapi” — mówi i idzie dalej. Pytam moich sąsiadów, co to znaczy, że ja nie jestem koszerny; tłumaczą mi jedni lepiej, drudzy gorzej, aż wreszcie zrozumiałem, że to miało znaczyć, jakobym nie był uczciwym człowiekiem. „Ejże, włóczęgo z piekła rodem! — wołam wściekle.

\* Król Laslo Kun zginął zamordowany w 1290 roku.

— Dajcie prędko szablę!” Lecz szabli nie było pod ręką, a baron także znikł. Współbiesiadnicy uspokoiли mnie, zaproponowali, żebym rano posłał do niego sekundantów, bo taki jest zwyczaj; ci ustalą, kiedy i gdzie mamy się bić i spiszą protokół. Pytam, co to jest ten protokół? Mówią mi, że przy każdym pojedynku trzeba coś takiego spisać, bo to jest dowodem, że honor człowieka jest w porządku.

— Bzdura! — wtrącił Zrinyi. — Przecież w takim razie powinniśmy byli zmartwychwstać z całymi bibliotekami.

— Posłałem więc rano Juranicza i Pataczicza do barona; baron wyznaczył dwóch ludzi, którzy oświadczyli moim wysłannikom, że baron nie będzie się bić ze mną, bo mam nieuregulowaną sprawę. „No, jeśli nie chce bić się ze mną — rzekłem — niech włoży spódnice i wacha w domu rozmaryn przy matce”.

— A potem?

— Potem sprawa ucichła, aż przedwczoraj w gazetach ogłoszono, że chcą mnie wybalotować z kasyna.

— Co to znaczy wybalotować?

— Ja także nie wiedziałem, więc się spytałem; powiedziano mi, że to znaczy tyle, co wyrzucenie z kasyna.

— Przecież to nie jest ważne. Bo jeżeli tam nie pójdziesz, nie mogą cię stamtąd wyrzucić. Ci dzisiejsi ludzie to wielkie osły. Ja już trochę, zwąchałem, o co im chodzi. W parę dni po naszym przybyciu portier z mojego hotelu przynosi mi kartkę z zagiętym różkiem, na której widzę nazwisko pewnego znajomego ministra. „Po co mi ten papier?” — pytam portiera. „Pan minister złożył panu wizytę”. „Mnie? Przecież całutki dzień byłem w domu i żywego ducha nie widziałem.” Portier w śmiech: „No, naturalnie, minister nie był tu osobiście, lecz przysłanie karty to zupełnie to samo, a jeżeli pan hrabia chce go rewizytować, to może tak samo posłać mu bilet wizytowy z zagiętym różkiem.” Czy kto słyszał taką bzdurę, żeby dwa papierki spotykały się zamiast dwóch ludzi? Ja już skombinowałem, Gaszparze, jak to ma być: twoje nazwisko napiszą na karteczce i wyrzucą ją z kasyna; doprawdy mają śmieszne zwyczaje.

W tej chwili odezwał się w drugim pokoju telefon; ponieważ nie było w domu Radovana, który jedyny znał się na tej diabelskiej skrzyneczce, Zrinyi zawołał jednego z halabardzistów, bo jak kiedyś w domu w Czaktorni lub Sigetvarze — teraz również przed jego drzwiami w banku stało dwóch halabardzistów.

— Idź no, Michał, zawołaj kogoś, żeby przyjął telefon.

Po krótkiej chwili wszedł Mor Zrinyi w głębokich ukłonach.

— W kasynie oczekują pana hrabiego w sprawie Alapiego; proszą, żeby pan raczył natychmiast przyjść.

— Siadajmy więc, Gaszparze, do powozu, po drodze opowiesz mi resztę.

Rzeczywiście, „sprawa Alapiego” poruszyła wszystkich, a publiczność, która kocha takie wypadki, z wielkim zainteresowaniem oczekiwała dzisiejszej rozprawy sądu honorowego. Bo wielka zwierzyna, która ma tutaj paść, to prawdziwa rozkosz dla publiczności. Zupełnie tak jak byki w Hiszpanii, które padają z ręki toreadorów. Rzeźnik także zabija wiele byków, lecz te nie są wiele warte — ważne są tylko te, które padają na arenie.

Sprawa Alapiego oparła się o sąd honorowy, ponieważ młody baron Perjeszy odmówił zadośćuczynienia, utrzymując, że Alapi ma jeszcze nie załatwioną sprawę.

Oświadczenie to szybko rozeszło się w kołach gentlemanów. Ma nie załatwioną sprawę! Hura! Gdzie jest? Gdzie się podziewa? Dawajcie go tu!

Nieroby rzuciły się na taką nie załatwioną sprawę jak sępy. Wkrótce dogrzebali się. Pewna gazeta jakieś dwa miesiące temu, jeszcze w miodowych dniach zjawienia się rycerzy, napisała, że

Gaszpar Alapi właściwie nie zginął pod Sigetvarem, lecz jakimś sposobem uszedł, gdyż w roku 1572, więc grubo po zgonie Zrinyiego, był głównodowodzącym wojsk chorwackich i wziął do niewoli osławionego „króla chłopskiego”, Gubeca. Później Alapi został nawet banem Chorwacji. Jest więc rzeczą niemożliwą, by ten pan zmartwychwstał pod Sigetvarem. Nie ma on nic wspólnego z Sigetvarem. Pan Alapi jest według wszelkiego prawdopodobieństwa sprytnym oszustem. Jeżeli zaś jest rzeczywiście prawdziwym Gaszparem Alapim, to kpi ze swoich przyjaciół, którym każe wierzyć, że zginął wraz z nimi, ponieważ w tej chwili jest to dla niego korzystniejsze; a jeżeli zginął razem z nimi i zmartwychwstał, to widocznie wcale nie jest Alapim.

Komunikat ten poszedł w zapomnienie, uszedł jakoś uwadze wtenczas, gdy wśród wielkiego ogólnonarodowego entuzjazmu Zrinyi wraz ze swymi rycerzami gładko został przyjęty do Kasyna Narodowego. Aż nagle baron Perjeszy odkrywa całą sprawę, która leży teraz na prosekcyjnym stole sądu jakby oczekując sekcji; jest tu także sprawa konfliktu z Perjeszym, a więc jednocześnie już dwie nie załatwione sprawy.

Dyskutowano z nadzwyczajnym zapalem i ogniem. Bibliotekarz kasyna chwycił się za głowę, wydawało mu się, że zwariował i ma jakieś dziwne wizje, gdy wielcy panowie w jaskrawo kratkowanych spodniach przychodzili tu, szukali starych kronik i ksiąg historycznych, zagłębiając się w nie z zapalem i namiętnością. Niektórzy, najbardziej zawzięci, złożyli wniosek o wybalotowanie.

Zwolennicy Zrinyiego, nie pozbawieni jeszcze pietyzmu, byli przeciwni skandalowi i żądali, żeby przede wszystkim specjalny sąd honorowy dokładniej zbadał sprawę; formę można łatwo znaleźć. Wychodzili z założenia, że Alapi, który w XVI wieku nie był przyzwyczajony do czytania gazet, nie zauważył inkryminowanego komunikatu. Przyjaciele jego również nie czytali gazet, więc nie mogli mu o tym wspomnieć; stało się to na samym początku, można więc przyjąć, że obraźliwa wiadomość rzeczywiście do Alapiego nie doszła. Prawdą jest natomiast, że dane historyczne poważnie go obciążają, co sprawia ogromnie przykre wrażenie nawet na najbardziej zrównoważonych członkach kasyna; szczególnie trudny do naprawienia jest fakt, że Alapi nic sobie nie robił z wypadku z Perjeszym, zamiast od razu sprawę oddać pod sąd honorowy.

Na razie wniosek wybalotowania został cofnięty i gdy Perjeszy również wyraził na to zgodę, ukonstytuował się sąd honorowy. Jednym z członków tego sądu został Zrinyi; przybył późno i pośpiesznie udał się do sali rozpraw, zostawiając przed drzwiami Alapiego, na wypadek gdyby potrzebne były jego wyjaśnienia.

— Już czekają tam na ciebie — rzekł hrabia Kriczi, wysmukły młodzieniec, który spieszył w stronę garderoby. — *Der arme Kerl, dieser Alapi!* \*

— Dlaczego mu współczujesz? Co mu się może stać? — zapytał niedbale Zrinyi.

— Zdyskwalifikują go, *Bruder*.

— A w czym mu to zaszkodzi? Co to ma za znaczenie? Bo ja się nie orientuję w tym zamęcie pojąć.

— Nikt już nie będzie się mógł z nim bić.

— Przecież to dobrze dla niego, wariacie. Człowiek, który sam może bić, a z nim nie mogą się bić. Słyszczę to już po raz drugi. Miejcie wreszcie rozum, nie gadajcie takich rzeczy!

Hrabia Kriczi wzruszył ramionami, zrobił zdziwioną minę i poszedł schodami w dół, Zrinyi zaś znikł w sali obrad.

Wszyscy czterej sędziowie siedzieli już tam przy stole z pompatyczną powagą, jaką nadaje twarzom to nowoczesne prawo miecza. Drugim sędzią z ramienia Alapiego był György Czaky,

\* Biedny człowiek, ten Alapi (niem.).

który właśnie wczoraj powrócił z Sepesz. Ze strony przeciwnika sędziami byli dwaj arystokraci, przewodniczył zaś białowłosy starzec, sławny żołnierz.

Gdy Zrinyi wszedł, wszyscy wstali na powitanie, jakby chodziło o króla incognito. Tylko aroganckie gołowąsy w rodzaju Kriczego odważały się zwracać do niego poufale. Tacy mają na wszystko odwagę; lecz Zrinyi rzeczywiście zachowywał się jak prawdziwy król: był serdeczny, naturalny, bezpośredni, a jednak pełen godności.

— Dzień dobry, panowie! Czego chcecie od mojego dzielnego Alapiego? — pozdrowił ich wesoło, zajmując miejsce przy stole. — Co wam zawinił?

— Zaczynamy więc, proszę panów — powiedział przewodniczący. — Rozpatrzmy przede wszystkim pierwszą nie załatwioną sprawę, gdy Alapi został nazwany oszustem.

I zaczął czytać z gazety komunikat pod tytułem „Pseudo-Alapi”.

Zrinyi słuchał uważnie.

— Bezczelność! — wybuchnął wreszcie podniecony. — Nie ma w tym ani jednego słowa prawdy! Był z nami, razem poszedł do ataku, razem z nami zginął i razem z nami zmartwychwstał.

— Widziałeś go zabitego? — zapytał spokojnie przewodniczący.

— Nie mogłem widzieć, bo wypadliśmy z zamku w tak gęstym dymie, że nie widziałem nawet własnej szabli, którą ciąłem w prawo i lewo.

— Ty również nie widziałeś, Czaky?

— Mnie od razu na moście trafiła śmiertelna kula, więc nie mogłem widzieć.

— Tak wygląda sprawa. A teraz posłuchajcie historii.

Przed przewodniczącym leżał stos książek, z których zaczął czytać, że Gaszpar Alapi uszedł z Sigetvaru i w roku 1572 został dowódcą Kaniży, potem zaś w 1574 roku był wraz z Györgyem Draszkwiczem banem Chorwacji.

— Niemożliwe! — stwierdził zaskoczony Zrinyi. — Cóż to za zwariowani kronikarze pisali te książki?

— Każde twierdzenie oparte jest na wiarygodnych dokumentach i danych — odparowali sędziowie ze strony Perjeszyego. — Komu człowiek ma wierzyć, jeżeli nie historii?

Zrinyi lekceważąco machnął ręką i z niedowierzaniem pokręcił głową.

— No, to zobaczmy, co te książki piszą o mnie?

Przewodniczący uśmiechnął się, otworzył leksykon Pałlasza i odczytał zamieszczone tam wiadomości o Zrinyim.

Wódz z ogromnym zdziwieniem kiwał głową.

— Niech diabli porwą te wasze narzędzia. Okropne, że owe małe pchełki (myślał o literach) chwytają nasze czyny. Lecz mimo wszystko nie wierzę w winę Alapiego. To niemożliwe. Przecież jest moim siostrzeńcem, człowiekiem otwartym i szczerym, więc chyba wspomniałby mi o tym, zresztą w takim razie nie mógłby przecież razem z nami zmartwychwstać. Poczekajcie, pomówią z nim, przechadza się po ulicy.

— To zbyteczne — zauważył przewodniczący. — Nie jest sprawą istotną, czy Alapi zginął pod Sigetvarem, czy później.

— To prawda — stwierdził György Czaky — gdyby nawet tak było, stałby się jeszcze bardziej godnym synem ojczyzny, bo my już gniliśmy w ziemi, a on jeszcze wciąż z szablą w ręku walczył za ojczyznę.

— Jak to?! — zawołał Zrinyi. — Nie jest więc istotne, czy artykuł mówi prawdę, czy nie?

— Nie. Istotne jest to — ciągnął dalej przewodniczący — że Alapi nie wyzwał tego dziennikarza.

— Tak jest! To najważniejsza rzecz! — potwierdzali sekundanci Perjeszyego.

— Ale skoro on nic o tym wszystkim nie wiedział... — zaoponował György Czaky.

— To wszystko jedno — zareplikował łysy sędzia z orlim nosem. — Zasada jest zasadą, sprawa niestety należy do takich, które dyskwalifikują oskarżonego.

— Cóż to znaczy? — gwałtownie przerwał Zrinyi. — Wy tłumaczcie mi, proszę.

— Ktoś, kto ścierpi coś podobnego, nie jest dżentelmenem ani rycerzem i nie ma już prawa żądać od innego dżentelmena zadośćuczynienia z bronią w ręku.

Zrinyiemu krew uderzyła do głowy, skronie mu pulsowały.

— Alapi nie jest rycerzem! — wybuchnął, a głos jego drżał z pasji — Alapi, który był ze mną w setkach bojów i ćwiartował Turków, stoczył szlachetny pojedynek z Bejem Zulfikarem, zwanym „Mieczem Sułtana”, Alapi, który zwyciężył olbrzyma, hrabiego Janosza Szalma, przepołowiwszy mu czaszkę, który cztery dni i trzy noce od Budy do Kemleka bez przerwy siedział w siodle, bezustannie bijąc się z oddziałami wroga? I to nie jest rycerz?! — Roześmiał się drwiąco, a śmiech jego potoczył się jak wodospad. — Ach tak, Alapi nie jest rycerzem. Lecz wy, którzy brzuchami leżycie na suknie bilardowych stołów, od czasu gdy tylko puściliście matczyne fartuszki, i nie widzieliście nigdy innych bohaterów poza tymi, którzy są namalowani na kartach, wy oczywiście, wy wszyscy jesteście rycerzami!

To mówiąc podniósł swą straszliwą pięść i z taką wściekłością uderzył w mahoniowy stół, że ten rozpadł się na dwoje; popielniczki, podstawki z zapalkami i wielkie foliały podskoczyły, po czym z brzękiem i trzaskiem pospadały na podłogę.

Sam zaś kopnął krzesło, na którym siedział, i wyszedł pełen straszliwej furii.

— Miklosz, nie wychodź! — wołali za nim skonsternowani sędziowie.

— Boję się — rzucił już w drzwiach, wymachując olbrzymimi rękami — że połamię was na drzazgi!

Zrinyi wyszedł z gmachu, nikt nie miał odwagi pójść za nim, by go zatrzymać.

— Nie radziłbym teraz do niego podchodzić — tłumaczył im spokojnie Czaky — w złości jest jak tygrys, w dobrym nastroju zaś łagodny jak baranek.

Nie można było dalej prowadzić konferencji.

— Poczekajmy aż Zrinyi ochłonie — rzekł przewodniczący. — Może jutro znów się zbierzemy.

Wyjście rozgniewanego Zrinyiego nie uszło uwagi zebranych w innych salach i ciekawscy ruchliwi bywalcy kasyna wpadli do sali obrad.

— *Was gibt's denn?* \*

W różny sposób komentowano zachowanie się i wybuch Zrinyiego.

— Nie zna się na kodeksie honorowym — wykwekał jakiś panek o gruszkowatej twarzy i zapuchniętych czerwonych oczach.

— To nie uchodzi w kasynie — oburzał się inny wymachując monoklem — *Er muss einen anständigen Ton annehmen.* \*\*

— *Sapristi*, może chcecie Zrinyiego także zdyskwalifikować?

I prawdopodobnie jeszcze długo głądziliby i gadali, gdyby nie było tam ogromnego Györgya Czakyego, który ciekawie przyglądał się ludziom i przedmiotom, bo dzisiaj był tu pierwszy raz i chciał dowiedzieć się o wszystkim.

\* Co tu się dzieje? (niem.)

\*\* Powinien zachowywać się przyzwoicie (niem.).

Alapi tymczasem przechadzał się po ulicy Kossutha. Przechodnie, którzy teraz tłumnie spacerowali po tej dobrze polewanej ulicy, obojętnie popychali to w jedną to w drugą stronę chudego drobnego pana o wystającej lewej łopatce. Lecz nic go nie obchodziło. Na wystawach sklepowych widział tyle cudownych rzeczy, że nie mógł się napatrzeć. Poza tym lubił wynalazki. Jego żywy umysł nie mógł się uspokoić, póki nie dotarł do sedna rzeczy. Na kilka godzin przykuwały jego uwagę najprostsze wyroby przemysłowe, takie nawet, na które dziś już nikt nie patrzy, bo każdy zna je od urodzenia i ich istnienie uważa za rzecz naturalną. Lecz Alapiego nawet korkociąg wprawiał w zdumienie, a co dopiero szkatułka na zapalki połączona z lichtarzem albo łyżwy marki Halifax (Święty Boże, do czego to może służyć?). Tutaj to, a nieco dalej co innego. Tysiące i tysiące dziwnych przedmiotów. Na wystawie sklepu z bielizną zobaczył pancerz z materiału, z dwiema wypukłościami wielkości jabłek w okolicy piersi. Co do diabła! Czyżby teraz kobiety chodziły na wojnę? (Rzeczywiście noszą to wojując z mężczyznami.)

Słowem, czas mijał mu szybko, dobrze się bawił; spotkał także kilku znajomych z Sigetvaru. Na ulicy Grenadierów wpadł na niego rycerz Krzysztof Nagy, ten, który w ubiegłym miesiącu ożenił się z kupcową. Biedny Krzysztof nie był w najlepszym humorze; żalostnie zwisały mu wąsy. Przyznał się, że porzucił kobietę, bo mu zbrzydła. Pewnej nocy — opowiadał — tak się stało, że obudził się, nie pamięta z jakiego powodu, i chciał zapalić świecę, lecz — nie mając zapalek — po omacku podszedł do łóżka żony, gdzie na nocnej szafce zawsze leżały zapalki. Szukając ich po ciemku, zrzucił coś, co z hukiem i brzękiem upadło na podłogę. Zapalił zapalkę, schylił się po to, no i, Synu Boży, zadrżał na całym ciele — była to sztuczna szczeka kobiety. — A właśnie zakochałem się w niej z powodu jej pięknych białych zębów — powtarzał z wielką goryczą biedny Krzysztof.

Ledwie się z nim Alapi pożegnał, gdy od franciszkanów nadszedł drugi znajomy, kapelan Janosz Vinnyoi, niosąc przed sobą swój okrągły brzuch.

— Poczekaj, bracie! — zawołał na przywitanie Alapi — nie widziałem cię chyba ze sto lat. Po raz ostatni rozmawialiśmy chyba koło Dombovaru. No, jak się masz, bracie, co porabiasz?

Tego również wypytał szczegółowo o wszystkie kłopoty. (Dlatego właśnie Alapiego lubili jego ludzie.) Jakie kłopoty mógł mieć ksiądz? Księża mają rozum. Vinnyoi, gdy tylko przybył do Pesztu, zgłosił się do franciszkanów i żył tam — według własnego określenia — jak pająk. Przez ten czas nauczył się grać w karty, a gdy nudziło mu się u franciszkanów, szedł do Budy do braci szpitalników, aby sprawdzić postępy w nauce. Tam był także chętnie widziany.

— Więc wcale nie pracujesz, Joannes?

— Troszeczkę zajmuję się oświatą. To także przynosi nieco pieniędzy na karty.

— Oświatą? W jaki sposób?

— W szkole sąsiedniego klasztoru przerabiam dla pensjonarek wiersze i historyjki. Poprawiam wielkich poetów i pisarzy: Owidiusza, Petrarke i innych.

— Co też ty opowiadasz!

Alapi patrzył na księdza z niedowierzaniem. Na ustach zawsze błąkał mu się złośliwy cierpki uśmiech. Lecz teraz był on może słuszny, bo mnicha uważano w Sigetvarze za głupiego klechę, który *nec ideam habet* \* o poezji.

— Nawet podczas przechadzki pracuję nad tym — ciągnął dalej dawny kapelan zamkowy. — Właśnie w tej chwili pięknie poprawiłem jedną strofę.

Alapi był ogromnie zaciekawiony i Vinnyoi musiał wyrecytować cały ustęp:

\* Nie ma pojęcia (łac.).

Kwiat róży dałem swojej ukochanej  
Lecz ona się dąsa, odwraca oczęta;  
— Oddaj mi różę — mówię rozniewany —  
zapukam w okno innego dziewczęcia.

— Ta strofa, mój panie, jest częścią wiersza wielkiego poety, którego młodzież musi znać, nazwiska jakoś nie mogę sobie przypomnieć; ale nie można tego było dać w ręce młodym skromnym dziewczątkom, więc w moim tekście ozdobiłem wiersz tak, żeby te delikatne ptaszyny mogły go czytać:

Kość tłustą dałem swojemu pieskowi,  
Lecz on się dąsa, odwraca oczęta,  
— Oddaj tę kostkę — mówię rozniewany —  
zapukam w okno innego szczenięcia.

— Że też potrafiłeś tak pięknie to wymyślić! — śmiał się Alapi.

— To nic trudnego, mój panie — zauważył z dumą kapelan — tylko wszędzie na miejsce białogłowy trzeba było wstawić psa.

W tej chwili Alapi poczuł czyjąś ciężką rękę na ramieniu. — Zrinyi — powiedział poznając go po wadze ręki i odwrócił się. Był to rzeczywiście Zrinyi, zdenerwowany i zły; nie zwracając uwagi na kapelana wziął Alapiego pod ramię.

— Chodź, chodź, natychmiast muszę z tobą porozmawiać.

Dysząc ciągnął go szybko za sobą przez ulicę w stronę banku i wymachiwał w powietrzu laską niby szablą. Długo nic nie mówił, lecz wreszcie już nie mógł milczeć i zaczął na ulicy:

— Dlaczego, Gaszparze, ukryłeś przede mną, żeś nie zginął pod Sigetvarem?

— Że ja nie zginąłem pod Sigetvarem? — powtórzył Alapi zmieszany, z namysłem...

— Cóż to, Gaszparze? Zmieszales się? Więc to jednak prawda?

— Nie wiem — wyjąkał Alapi i małe niebieskie oczka nieprzytomnie wlepił w Zrinyiego. — Może masz rację? Czy coś podejrzewasz, Mikloszu?

— Wyczytali to w kasynie z wielkich ksiąg historycznych.

— Co?

— Że uszedłeś z życiem, że zostałeś dowódcą Kaniży, a potem wraz z Gyurim Draszkoiczem, tym piegowatym, byłeś przez czas jakiś banem Chorwacji.

— Na Boga, to prawda! — ryknął Alapi uderzając się w czoło. — Jakże to było, jak... Niech tylko uporządkuję myśli...

Tak dziwne było zachowanie małego wątlego człowieka, że przechodnie na ulicy Wiedeńskiej przystawali lub oglądali się za nim.

— W książkach piszą — mówił dalej Zrinyi — że pewnego razu jako dowódca wojsk stanów chorwackich wziąłeś do niewoli jakiegoś chłopskiego króla Gubeca.

— Tak, tak, kazałem nikczemnika łamać kołem. Wszzechmogący Boże! Rzeczywiście tak było.

— Dlaczego więc nie przyznałeś się, dlaczego nie mówiłeś mi o tym?

— Nie mogłem wiedzieć.

— Jakże? Czyżbyś tego nie pamiętał?

— Pamiętałem, lecz wydawało mi się, że to sen, jakieś majaczenie, albo że dawno słyszana historia pozostała w mojej pamięci tak żywo, jakbym ja sam brał w niej udział. Często zdarza się

coś podobnego. Wszystko mi się pomieszało. Wydawało mi się, to prawda, że przeżyłem tamten dzień pod Sigetvarem, lecz obawiałem się, że wyśmieją mnie, jeżeli opowiem o tym. A zresztą, czyż nie zmartwychwstaliśmy wszyscy razem? Czy mogłem przypuszczać, że to, co mi się śniło, jest prawdą?

— Rzeczywiście, to niepojęte. Ale w takim razie dlaczego zmartwychwstałeś razem z nami?

— Tak, to prawda, książki nie kłamią; wszystko tak było; zaczynam już sobie przypominać szczegóły: pod Sigetvarem dostałem się w ręce Turków, a gdy wyzdrowiałem, krewni wykupili mnie; długo potem leżałem, gdyż pod Sigetvarem otrzymałem siedemnaście ran.

— Siedemnaście ran! Do pioruna! — wykrzyknął Zrinyi. — Z pewnością siedemnaście rycerskich ran przyjęto w niebie tak samo jak śmierć poniesioną za ojczyznę. Rozumiem już teraz, dlaczego Opatrzność kazała ci zmartwychwstać razem z nami.

Wielki bohater, który jeszcze przed chwilą wrzał z wściekłości, roztkliwił się i serdecznie podał rękę Alapiemu:

— Jesteś dzielnym rycerzem, mój Gaszparze. Lecz ci dzisiejsi ludzie z morskiej pianki chcą ciebie po prostu pożreć za to, że masz złe maniery i stale im mówisz nieprzyjemne rzeczy. W kasynie twoja sprawa stoi bardzo źle.

Alapi uśmiechał się jak dziecko, które nie ma pojęcia o niebezpieczeństwie. Podobnie jak Zrinyi uważał to wszystko za jakieś żarty, za pogrózkę. Mieli wrażenie, że tamci ich straszą wymachując drewnianą strzelbą.

A przecież doprawdy bardzo źle stała sprawa zajścia Alapi contra Perjeszy. György Czaky, który zebrał dokładne informacje, przyszedł do banku z nosem spuszczonej na kwintę:

— Powinniśmy także coś przedsięwziąć przed jutrzejszą rozprawą, bo zwolennicy Perjeszowego wszelkimi sposobami preparują nastrój członków kasyna przeciwko Alapiemu.

Wraz z Czakym przyszło kilku nowych przyjaciół Zrinyiego. Wszyscy twierdzili, że nie wystarczy udowodnić, iż Alapi jest dzielnym, porządnym człowiekiem, rycerzem bez skazy jak sam sławny Lancelot, bo tu chodzi o formy. Formy i zawsze tylko formy. Istota rzeczy nie ma żadnego znaczenia, lecz formy są święte. Dzisiejsi ludzie są podobni do rycerzy tak jak wypchane ptaki do żywych. Właśnie oglądał je dzisiaj Alapi w witrynach sklepowych. Jeżeli pięknie trzymają dzioby, jeżeli mają ładne upierzenie, to są doskonałe; nic nie szkodzi, że w środku mają pakuły zamiast krwi — są bez zarzutu, jeśli chodzi o formę. Bądźcie ostrożni, bo tymi formami zabijają Alapiego. Więc przeciwko formom trzeba walczyć również formami, bo ludziom imponują tylko formy. Wobec tego dobrze będzie poradzić się jakiegoś mądrego człowieka znajdującego się na rzeczy, na przykład Ödöna Gajariego albo hrabiego Keglevicza.

György Czaky zgodził się i natychmiast poszedł do Keglevicza; ten wysłuchał sprawozdania o sytuacji i mniej więcej znając szczegóły zważył wszystkie fakty, jak doskonały kucharz, który bada rozłożone przed nim produkty i zastanawia się, co by można z tego ugotować; potem nagle wesoło klasnął językiem:

— Zagadnienie jest bardzo proste. Na jutrzejszej rozprawie trzeba powiedzieć, że zajście Alapiego z tym redaktorem jest czymś zupełnie anormalnym i nie może być podciągnięte pod żadną regułę.

— Dlaczego?

Keglevicz chytrze się uśmiechnął.

— Bo mogą zaistnieć fizyczne trudności, by Alapi mógł żądać zadośćuczynienia za wszystkie obrazy.

— Jak to?

— Przypuśćmy, że jakiś historyk, który już dwieście lat temu umarł, napisał o Alapim, że jest



łotrem.

W jakim sposobie mógłby Alapi teraz zażądać satysfakcji? Czyż to nie byłoby rzeczą niemożliwą? A co jest niemożliwe, przestaje być niehonorowe. Z tego zaś mamy prosty wniosek, że Alapi jest osobą anormalną. A jeżeli jest anormalny, to nie mogą obowiązywać go normalne reguły i kodeksy.

Czaky omal nie wyskoczył ze skóry z radości i pośpiesznie zaniósł swoim sprytną radą.

Na rozprawie sądu honorowego, która odbyła się następnego dnia, argument ten rzeczywiście pomógł. Sędziowie, zwolennicy Perjeszyego, byli zdumieni. To prawda, łysa czaszka sędziego mocno się napociła, widać było, że się męczył, lecz nie mógł wydusić żadnego kontrargumentu. Prędzej z kamienia wapiennego można wykrzesać iskrę, niż z takiej głowy. Tak czy inaczej, chcieli nagiąć prawdę do swoich pojęć (dlatego są sędziami) i dowodzili używając wszelkich chwytów, że jednak ich strona nie jest obowiązana pojedynkować się z Alapim.

Drugi sędzia ze strony Perjeszyego zachorował w nocy — trzeba więc było zastąpić go innym; był nim baron Fryderyk Harkanyi. Ten to przynajmniej sympatyczny wróg (albo sędzia — bo to wszystko jedno); co chwila sypał wesołymi anegdotami.

— Te już słyszałem — zauważył Zrinyi.

— Gdzie? Od kogo? — spytał zawstydzony Harkanyi.

— Jeszcze w Czaktorni, od tamtejszego proboszcza.

Sędziowie uśmiechnęli się złośliwie, a Zrinyi łaskawie zrewanżował się nową anegdotą.

— Świat wasz jest taki — rzekł jowialnie, myśląc o argumentach poruszanych w rozprawie — jak w latach mojego dzieciństwa, kiedy jednocześnie panowali cesarz Ferdynand i Janosz Zapolya. Ferdynand mianował wojewodę na moje województwo i to samo zrobił Janosz; wojewoda Ferdynanda zwołał zebranie wojewódzkie w Kaposzvarze i zamianował wicewojewodę, starostów, wójtów; nie inaczej postąpił drugi wojewoda. Odtąd w każdej wiosce jeden człowiek był zwolennikiem Zapolyi, a sąsiad jego stał po stronie Ferdynanda. Jeżeli więc Paweł i Gaweł należeli do różnych obozów i posprzeczaali się, to każdy z nich wnosił skargę do swojego starosty. Wynikało z tego wiele śmiesznych nieporozumień. Gdy zaś należeli do tej samej partii i poszli powiedzmy do starosty Zapolyi, wówczas ten, który przegrał sprawę, natychmiast przechodził na stronę Ferdynanda, gdzie potem bezwzględnie wygrywał, sprawę przed tamtym sędzią. Dlatego wydaje mi się, że was tak dobrze znam, jakbym już kiedyś spotkał się gdzieś z waszą sprawiedliwością.

Po długiej dyskusji przewodniczący, siwy staruszek, były wojskowy, uznał słusność argumentów Alapiego i powzięto uchwałę, że baron Perjeszy jest obowiązany dać zadośćuczynienie Gaszparowi Alapiemu.

Wiadomość o pojedynku wzbudziła ogromne zainteresowanie nie tylko w wytwornym towarzystwie, lecz wszędzie. Do diabła, to coś nowego! Pojedynek z eks-nieboszczykiem! Z rycerzem z czasów Zrinyiego, który zresztą wygląda jak chory kot albo jak zdrowy czeladnik krawiecki (to była uwaga Kriczego). No i ten Perjeszy, ten miły baron Miszka! Doprawdy do pozazdroszczenia (także uwaga Kriczego). *Mon Dieu*, co za rekord! Posiekać rycerza z epoki renesansu, coś w rodzaju Gotfryda de Bouillon w miniaturze.

Gazety opisywały każdy szczegół tego wydarzenia. Ci paserzy papieru ubóstwiają krew. To wielcy faryzeusze. Na widok krwi hałasują, rozpaczają, mieszają do tego własne łzy i atrament, lecz kochają, niewymownie kochają krew — byle cudzą.

Belzebub także pomaga dziennikarzom. Podsunął im pod nos wielką sensację.

Pojedynek na szable odbył się w sali szermierczej, a ponieważ chodziło o lekką obrazę — więc do pierwszej krwi. Nikt nie pomyślał, że może się stać nieszczęście. Baron Miszka już dwa lata temu uzyskał tytuł Mistrza Klubu Szermierczego, więc nie jest kurczęciem. Alapi także zna

się na fechtunku, jeżeli jeszcze nie zapomniał, pokażą parę brawurowych cięć i skończy się to wszystko jakimś skromnym draśnięciem.

Przeciwnicy stanęli naprzeciwko siebie. Alapi z początku tylko żartował z młodym baronem, nawet cofał się, potem jakby znudziło go to i po chwili zamachnął się; klinga błysnęła, zakreślając osobliwy zygzak, którego Alapi rzekomo nauczył się od jakiegoś Araba przeszło trzysta lat temu. Jednym leciutkim cięciem, z gracją, z jaką można elegancko przekroić jabłko, począwszy od lewej skroni przez lewe oko i podniebienie, rozciął czaszkę Perjeszyego, tak że wewnątrz jej otworzyło się jak biblioteka, oko wypłynęło, a straszliwe ostrze nie zatrzymało się, lecz utorowało sobie drogę aż do obojczyka i przecięło główną arterię. Żywi ludzie nigdy jeszcze nie widzieli niczego podobnego. W wąskich ramionach tego chuderlawego człowieka mieszkała niebywała siła.

— Chodźcie! Prędko!

Nadbiegli lekarze z. gąbkami, plastrami i igłami.

Gaszpar Alapi natomiast opuścił szablę i spokojnie zwrócił się do sekundantów Perjeszyego.

— *Manu propria* \* — rzekł ze swoim cierpkim uśmiechem. — Mam nadzieję, że teraz już panowie uznają, że jestem prawdziwym Gaszparem Alapim z Kemlek.

Sekundanci patrzyli na niego w milczeniu szklistymi oczami jak na jakiegoś nadprzyrodzonego potwora.

Lekarze zrobili wszystko, co możliwe, lecz nie było ratunku; wezwane pogotowie zastało już tylko trupa.

Całe miasto było poruszone. Wieść o wypadku rozeszła się jak ogień i po godzinie mówiono już o tym nawet w niskich domkach u podnóża góry Gellerta i wśród drwali ścinających drzewa pod miastem:

— Wielcy panowie znowu powariowali. Znowu zarżnęli jednego ze swoich.

— Głupia zabawa. Mają przecież lasy pełne zwierzyny, mogliby mordować sarny czy jelenie.

W śródmieściu przy ulicy Korony przed drzwiami sklepów stały grupkami drobne, szczuplutkie szwaczki — żywe róże wśród sztucznych kwiatów — i wzdychały:

— Ach, mój Boże, jakież to był piękny chłopak!

Gazeciarze sprzedawali nadzwyczajne wydanie dzienników wykrzykując: „Śmiertelny pojedynek!” Na Kasynie Narodowym wywieszono żałobną flagą. Do kularów parlamentu wieść doszła przez doktora Gyulę Rosenberga i natychmiast zaczęto się zastanawiać, co zmarły pozostawił. Ponieważ był tylko prezesem Związku Miłośników Psów Myśliwskich, dyskutowano, kogo wybrać na jego miejsce. Jak za każdym razem, gdy zwalniało się jakieś stanowisko, tak i teraz wszyscy od razu pomyśleli o Karolu Hieronymim — potem dopiero życzliwe serca zwróciły się ku mniej dostojnym osobistościom.

Do dnia pogrzebu (był wyznaczony na sobotę po południu) współczucie przybrało ogromne rozmiary — częściowo dzięki dziennikom, które w swoich artykułach rozdmuchały ten wypadek; (wystarczy tylko wymienić kilka tytułów: „Średniowieczna brutalność“, „Cięcie martwego rycerza“, „Chorwacki siłacz“) częściowo zaś dlatego, że opowiadano wruszające szczegóły. Śmierć zresztą nosi powiększające szkła i jeżeli kogoś nagle porywa, to z wielkiego pośpiechu przeważnie zostawia je przy nieboszczyku. Przez te szkła zmarły wydaje się piękny, mądry, niedościgniony. Okazuje się, że był geniuszem, miał wspaniały gest. Bolesna myśl porusza struny serc, a za nią rodzi się nieco gorczy. Od prawdy żywego człowieka silniejsza jest prawda zmarłego — w jego na wieki zamkniętych oczach wyraźnie jaśnieje szczerłość. Zresztą jest to najpiękniejsze ze wszystkich ludzkich kłamstw.

\* Własnoręcznie (łac.).

Wiele setek wieńców przykryło trumnę, którą nieprzebrane tłumy odprowadziły na cmentarz: krewni zmarłego, jego narzeczona, panowie z kasyna i gromady ulicznych nierobów. W całym tym tłumie nikt nie dałby grosza za opinię barona. A jednak na tym polega pogrzeb z wielką pompą — jest ukoronowaniem wielkich karier, wielkich ambicji, wspaniałych dróg życiowych. Tego nie można kupić za żadne pieniądze: rusza kondukt, do którego przyłączają się stare babki, czeladnicy szewscy, bezrobotni kelnerzy i chłopcy od rzeźnika. Od szynkwasów karczem, koło których przechodzi pochód, odrywają się starzy robotnicy dniówkowi i także człapią za sunącą falą ludzką; posługaczki i kucharki proszą o wychodne i również mieszają się ze skłębionym tłumem, gdzie każde zdanie jak iskra zapala, podnieca i niepokoi podatne umysły.

— To doprawdy okropne, że dawni Węgrzy zaczynają mordować dzisiejszych.

Tłum sunie powoli i uroczyście za trumną, jakby była jego własnością. Ludzi tych przepaja mgliste uczucie, jakieś wrażenie, więcej — świadomość, że teraz coś się dzieje.

A potem? Potem skończy się pogrzeb, pochowają zmarłego, na ziemi zostanie o jeden garb więcej i o jednego zjadacza chleba mniej; o jednego zjadacza chleba, jednego pana lub jednego sługę. Lecz to już wszystko jedno.

Wielcy panowie rozchodzą się do domów, płacząca narzeczona mdleje, rodzice szlochają, motłoch zaś roztkliwia się nad tym — wchłaniając ogólny nastrój, jak bibuła rozlany tłuszcz. W tym nastroju tłum zbiera się przed bankiem Zrinyiego i zaczyna demonstrować.

— Precz z Alapim! Precz ze Zrinyim!

Całe szczęście, że Opatrzność nie śpi. Policja natychmiast zjawia się na miejscu i rozpędza tłum.

## CZĘŚĆ DRUGA

### VII

#### POEZJA

Sroki! Wy, miłe gadatliwe stworzenia, pofruńcie dziś w stronę domu przy ulicy Zielonej, gdzie mieszkają Rozerowie. Czy widziałyście już kiedy tak wesoło dymiący komin, czy widziałyście już kiedy człowieka kroczącego z kościoła do domu z taką pychą jak pan Rozer? Po drodze przystaje, serdecznie gawędzi ze znajomymi, lecz niedługo, tylko minutę lub dwie, póki nie zdąży powiedzieć: „Ach, muszę spieszyć do domu, bo oczekuję na obiad hrabiego Miklosza Zrinyiego“.

Już na początku tygodnia zaczęło się to ich wielkie szczęście; jego i mamy Rozerowej. Zadysponować obiad, zamówić *scampi* z Fiume, kawior z Orszowy, ser z Fogaraszu, biały chleb z Rima-Sombat, winogrona z Wenecji. Rozer miał pewnego znajomego — wielkiego smakosza, dawnego adiutanta jakiegoś pruskiego księcia, znanego *bon vivanta*. Ten emerytowany stary robak skosztował już wszystkiego, co dobre na świecie. Jego to odnalazł pan Rozer gdzieś na ulicy Wielkiej Łąki i różnymi pytaniami wyciągnął od niego, jakie trunki uważa za najbardziej wielkopańskie.

— To rzecz względna — powiedział cmokając wargami Ritter von Schmitt. — Ojciec mój, świętej pamięci Ritter Ulrich von Schmitt, przygotował kiedyś w Suezie szklanekę herbaty swojemu przyjacielowi, Sir Ralphowi Abercambre'owi, który dowodził wojskami angielskimi wypierającymi Francuzów z Egiptu. Ojciec mój był szczwanym lisem, panie Rozer! Do przyrządzenia tej szklanki herbaty zdobył po odrobinie wody z Gangesu, Tamizy i Nilu; wziął ją

ze zbiorników statków, które stamtąd przybyły i stały na kotwicy w Suezie. Potem dodał jeszcze mleka kokosowego z Australii oraz amerykańskiego cukru trzcinowego i w ten sposób reprezentowane były w tej filiżance wszystkie pięć części świata. Zapewniam pana, że ta herbata nie była lepsza od innej, lecz sir Abercambre na pewno wysączył ją z wielką rozkoszą.

Kapitan Schmitt napomknął jeszcze o wielu innych cudownych trunkach i napojach, zanim zgodzili się na *Pommery-sec*, *Mouton-Rotschild* i *Chablis*. Oczywiście nie zaszkodzi także trochę tokaju. Lecz szczodrym zadośćuczynieniem za największe trudy pana Rozera i pani Rozerowej była słodycz tej chwili, gdy wreszcie ku ogromnemu zdziwieniu zebranych Żorż wszedł do salonu (bo Rozerowie dla większego efektu właśnie tylko swoim gościom nie zdradzili wielkiej tajemnicy) i zameldował uroczyście i dostojnie:

— Hrabia Miklosz Zrinyi i porucznik Lörinc Juranicz.

— Ach! — uleciało ze wszystkich warg. Piękna pułkownikowa Boborowa cichutko pisnęła, lica jej zapłonęły jak ogień. Mama Rozerowa, przestraszona, dotknęła swojej fryzury i jak ongiś za panieńskich czasów, pośliniwszy palce przygładziła włosy. Żorż rzucił na nią srogie spojrzenie. Rozer wypadł naprzeciw gości półprzytomny. Biedna mała Ania zaś, na którą nikt nie zwracał uwagi, zbladła jak ściana.

— Witajcie! Ach, witajcie!

Pułkownik stanął na baczność, jakby oczekiwał wejścia głównodowodzącego generała.

Najbardziej czarującą cechą Zrinyiego było to, że gdziekolwiek wszedł, wydawało się, iż zawsze tam przebywał. Był niezwykle sympatyczny. Miał lekkie młodzieńcze ruchy, był bardzo prosty w obęjściu, a jednak cała jego postawa wskazywała, że jest wielkim panem, prawdziwym oligarchą.

— No, więc przyszedłem — rzekł jeszcze w przedpokoju, uśmiechając się i kordialnie potrząsając ręką pana Rozera. — Jeżeli obiad będzie dobry, to spiszemy umowę na dom.

Twarz pana Rozera promieniała.

— Ach, proszę o tym w ogóle nie wspominać... Bardzo proszę. Wszyscy wyśmieliby mnie, gdyby się o tym dowiedzieli. Jakież to wielki zaszczyt, jakie prawdziwe szczęście. Pogodzimy się przecież. W każdym razie pogodzimy się. Tylko proszę o tym nie wspominać.

Był tak niesłychanie zmieszany, że zamiast przepuścić gości przodem sam poleciał naprzód jak pudel i znacząco poruszając wielkimi brwiami głośno zawołał do pańienek (były tam jeszcze i dwie córki Pala Szartoryego):

— No, przyszedł piękny młodzieniec! Hm...

Nie myślał, że Juranicz także słyszy jego okrzyk i że właśnie stanął za nim. Zrinyi witając się z panią domu powiedział jej kilka uprzejmych słów — biedaczka nie wiedziała co ma zrobić: przebiegała między krzesłami, chcąc wybrać najpiękniejsze (notabene w salonie wszystkie były jednakowe, pokryte żółtym jedwabiem), potem podniosła jedno, dmuchnęła na nie, strzepnęła chustką pył, choć wcale nie było zakurzone, i dopiero podsunęła Zrinyiemu prosząc, aby usiadł.

Przez ten czas obaj goście zdążyli zapoznać się ze wszystkimi, z pułkownikiem Boborem również. Zrinyi gorąco uściśnął mu rękę, nauczył się już przecież kilku współczesnych frazesów i nabrał trochę poloru.

— Wiele słyszałem o pana bohaterskich czynach — powiedział serdecznie.

Na to stary gburowaty pułkownik zaczerwienił się ze szczęścia i schyliwszy głowę powiedział z trudem:

— Ja o pańskich także.

Lecz ogarnęło go zdumienie, gdy zobaczył, że Zrinyi zmierza wprost do jego małżonki, z którą zaczyna rozmawiać jak ze starą znajomą. Do stu beczek prochu! Co to ma znaczyć? Zielonooki potwór zazdrości podsuwał mu różne kombinacje. Czy nie jest to przypadkiem jakaś

znajomość z lat młodzieńczych? Ech, przecież Zrinyi żył trzysta lat temu, Mariszka zaś ma dopiero trzydzieści cztery lata. A jednak znają się — to niezaprzeczalny fakt. Nie do pojęcia!

Starł się do nich zbliżyć, aby dowiedzieć się, o czym rozmawiają, ponieważ z daleka usłyszał tylko kilka słów:

— Co za niespodzianka! Jak się pan tu znalazł? — pytała piękna pułkownikowa, a oczy jej i twarz pałały, rude włosy zaś zdawały się iskrzyć.

— Bo tym razem ja coś zgubiłem — odpowiedział wesoło Zrinyi.

— Ciekawa jestem co? — kokieteryjnie przechyliła głowę do tyłu.

— Proszę zgadnąć?

— Czemu pan raczej nie powie, że mam znaleźć?

I filuternie opuściła oczy.

— Chętnie bym to powiedział — śmiał się Zrinyi — ale...

— Przecież ja bym chętnie i zgadła, i znalazła — śmiała się w odpowiedzi piękna dama — ale...

— Ach, żeby nie było tak dużo tych „ale“, tych rozbójników na trakcie, którzy utrudniają, ograbiają...

— Moje „ale“ nie jest nikczemne — przekomarzała się pułkownikowa wachlując się kokieteryjnie pomarańczowymi rękawiczkami. — To po prostu tłusty kanonik, który straszy, że trzeba by zbytnio się schylić.

— Niech diabli wezmą tego kanonika, dla mnie jego wielebność jest tylko przydrożnym zbójcem.

Był to dziwny dialog, nikt nie rozumiał jego istoty, lecz miało się wrażenie, że spotkały się dwie klingi damasceńskie i jedna o drugą krzesze iskry.

Zrinyi czuł się w swoim żywiole. Wydawało mu się, że jest Harun al Raszydem, który ze swoim wezyrem Giofarem szuka przygód na przedmieściach Bagdadu. Potem odwrócił się, właśnie w chwili gdy nadchodził pułkownik, spostrzegłszy zaś, że Lörinc Juranicz znalazł już dziewczynę, spotkaną w lasku, zbliżył się do Ani Rozer i zwyczajem starszych panów uszczypnął ją w policzek:

— Mój dzielny Juranicz zawsze czuje, gdzie na niego czyha największe niebezpieczeństwo.

Twarz Ani zapłonęła, z białej róży stała się czerwoną.

— Długo się chłopak martwił z pani powodu.

Ania przymknęła oczy i długie rzęsy jak jedwabne frędzle zadrżały na jej słodkiej buzi.

— Ach, mój Boże! Drwi pan ze mnie — wyszeptwała.

— Umarli nie kłamią, piękna panienko.

Potem kolejno zamienił kilka słów z każdym gościem. Palowi Szartoryemu, który był już starym znajomym, opowiedział, jak wyglądał dawny Peszt (bo stary Szartory wciąż wzdychał za starym Pesztem), potem dyskutował z doktorem Władą i kapitanem Schmittem, który także był obecny. Wszystko to trwało zresztą zaledwie kilka minut, bo Żorż zameldował, że obiad podany, goście więc przeszli do jadalni i zasiedli do stołu. Na honorowym miejscu siedziała pułkownikowa obok Zrinyiego, z drugiej zaś strony bohatera — pani domu, dalej pułkownik Bobor, potem różne matki chrzestne zmarłych małych Rozerów na zmianę z panami: kapitanem Schmittem, Palem Szartorym i dr Władą; Juranicz zaś został ulokowany między Anią a jedną z córek Szartoryego, Zofią.

Już po zupie w jakiś niepojęty sposób mały pantofelek pułkownikowej omyłkowo zabłądził i zetknął się z nogą Zrinyiego; pomyłka ta utrzymała się nieprzerwanie przez cały obiad aż do sera, zaś bohaterski obrońca Sigetvaru był uradowany, że zwyczaj ten nie zaginął. Dopiero niedawno (rok przed obroną Sigetvaru) podczas wytwornego obiadu u hrabiego Szalma w Bratysławie tak

samo szelmowsko wypełniał sobie czas w towarzystwie Urszuli z Kaniży. Istnieją więc nieśmiertelne zwyczaje. Ludzkość zmienia się tylko w górnych regionach, na powierzchni, którą widać przy świetle słońca, lecz wiecznie niezmienna zostaje tam, gdzie jej nie widać — pod stołem.

Czeka nas jednak jeszcze opis wielu wydarzeń, nie możemy więc bardziej szczegółowo opisywać tego obiadu — będzie się dużo jeszcze mówiło o nim u państwa Szartorych i u chrzestnych rodziców zmarłych dzieci Rozerów. Faktem jest, że wszystko dobrze poszło; menu było wyśmienite, usługa zawrotnie sprawna, niczym u króla. Zrinyi wpadał w coraz lepszy nastrój, potrafił kilku słowami zjednać sobie każdego, a zwłaszcza pułkownika Bobora, który siedział naprzeciw niego i z którym prowadził długie dyskusje.

— W jakich bitwach brał pan udział, pułkowniku?

— Byłem w bitwie pod Sadową.

— No, i cóż się tam stało?

— Skończyło się przegraną i wycofaliśmy się.

— Dziwię się, że mogło dojść do czegoś podobnego, skoro pan tam był.

Bobor dumnie podkręcał siwego wąsa.

— Do stu piorunów, ja sam nie rozumiem, jak to się stało. Lecz jeden człowiek, to zawsze tylko jeden człowiek!

Przy poobiedniej kawie pułkownik Bobor oświadczył, że Zrinyiego uważa za najwspanialszego człowieka po Napoleonie I, a kto odważy się w to wątpić, tego przekroi na dwie równiutkie połówki. I oczami nabiegłymi krwią rozejrzał się po towarzystwie jak rozwścieczony lew, gdyż po winie stawał się nieobliczalny.

Wspaniałe wina podzialały zresztą na wszystkich. Juranicz śpiewał stare węgierskie piosenki, które ogromnie się podobały. Ania Rozer przechylona przez poręcz fotela słuchała w rozmarzeniu i wciąż spoglądała na palec prawej ręki, na mały ślad, który pozostał po pierścionku, po małym pierścionku z zielonkawym topazem — przed chwilą jeszcze tam był, a teraz go nie ma. Czy to nie sen, że teraz nie ma pierścionka na palcu? Patrzy, przygląda się. Nie, to nie sen. I znów patrzy. Ach, jednak to nie jest sen. W czasie obiadu ktoś chwycił jej rękę i — jak to było zwyczajem w dawnych czasach — zręcznie zdjął z palca ten malutki pierścionek z topazem. Jednakże nie jest to ładny postępek.

Doktor Włada był zachwycony głosem Juranicza i zatrzymał krzątających się Rozerów, aby wyrazić im swój entuzjastyczny zachwyt.

— Co za piękny głos! Ach, to cudowna rzecz! Chciałbym wiedzieć, gdzie człowiek może doznać podobnej rozkoszy? Słuchać pieśni, które rozrzewniały dziadów naszych pradziadów. Zabawa godna królów! Proszę przyjąć moje najszczerze gratulacje z powodu dzisiejszego obiadu, który udał się tak wspaniale! Jadałem nawet u książąt — lecz w porównaniu z tym obiadem wszystko błędnie!

Rozerom nie trzeba było prawić pięknych komplementów, tak jak nie trzeba dolewać wody do Dunaju; już zupełnie nie mogli sobie dać rady ze swoją dumą, omal że ich nie rozsadała.

— Doktorze, doktorze — szeptała Rozerowa — temu Juraniczowi podoba się Ania. Nie myli mnie wzrok, doktorze, choć jestem tylko głupią kobietą. Ten człowiek szaleje za naszą Anią!

— I cóż to za jeden, ten Juranicz? — przerwał pan Rozer.

— Wielki pan, magnat chorwacki, płynie w nim krew banów i wojewodów. Przodkowie jego mieli zamki, on sam także, lecz teraz oczywiście nic nie ma.

Rozer z dumą walnął się w pierś:

— Ale za to ja mam. Tak!

Szcęście Rozerów potęgował fakt, że w przedpokoju oczekiwało kilku dziennikarzy, którzy

przyszli dowiedzieć się szczegółów dzisiejszego obiadu i prosili pan Rozera, by podyktował wszystko, co Zrinyi mówił przy obiedzie. Czy nie opowiedział jakiej anegdoty z dawnych czasów? Czy nie robił jakichś krytycznych uwag o dzisiejszych stosunkach?

— Ach, Boże! — wykrzyknął pan Rozer i oczy jego błyszczały jak dwa rozżarzone węgle. — Ileż on u nas mówił! Lecz nic nie pamiętam, moi panowie. Mam bardzo złą pamięć. Głowę mam pełną nazw roślin, to — jak wiadomo — jeszcze z czasów kiedy byłem aptekarzem; ja nie wstydzę się mówić o tym, że kiedyś zacząłem od niczego. Ach, ile Zrinyi opowiadała. Te przekłete nazwy roślin tak zapełniają mi głowę, że już nic się w niej nie mieści. Lecz moja żona ma wielki talent do takich rzeczy...

Mówiąc to otworzył drzwi do salonu i zawołał głośno, żeby wszyscy słyszeli:

— Kryśka, Kryśka, chodź tu, moja kochana. Przyszli dziennikarze. Chcą napisać o dzisiejszym obiedzie.

Pani Kryśka przyczłapała jak śpiesząca się kaczką, koronki jej czarnego czepka łopotały i fruwały na lewo i na prawo. Tyle naopowiadała dziennikarzom, że można było zapełnić dziesięć szpalt, po parę razy powtarzała przy tym błagalnie:

— Proszę nie zapomnieć, mój złoty, o kompotach. Bardzo mu smakowały moje kompoty. Powiedział, że nawet w domu u rodzonyj matki takich nigdy nie jadł. A przecież jego matka, z domu Ilona Karłowicz, w dwóch państwach — tak powiedział — słynęła jako gospodyni.

W tym szale zachwytyw i radości bolało tylko Rozerów, że nie mogą pokazać się całemu światu. Lecz może i na to znalazłaby się rada. Gdyby tak na przykład doktor Włada zaproponował przejażdżką dla zdrowia powozem po lasku miejskim. Trzeba doktora namówić.

Włada zgodził się i rzeczywiście udało się nakłonić gości do przejażdżki, jeden tylko pułkownik Bobor sprzeciwiał się mówiąc, że kropla winka po kawie, takie maleńkie *post kaffanum* jest lepsze dla zdrowia niż całe to świeże powietrze. Sprytny doktor i na to znalazł radę.

— Wie pan co, mój pułkowniku, my obaj wsiądźmy do jednego powozu, ja pod płaszczem przemycę flaszkę szampana, a w kieszeni dwie szklanki i tam gdzieś w lasku się trącimy, pod kopułą Pana Boga.

— Niech tak będzie. To wcale nienajgorsza myśl.

Ponieważ innych przeszkód nie było, sprowadzono powozy i cała karawana ruszyła w drogę. W familijnej karocy siedziała mama Rozerowa z córką i Juraniczem. W drugim powozie Zrinyi z pułkownikową, w trzecim pan Rozer ze swoimi córkami chrzestnymi — pannami Szartory, w czwartym doktor Włada z pułkownikiem. Stary Szartory i kapitan Schmitt pozostali w domu, by pograć w domino.

W lasku miejskim panował straszliwy zamęt, tłum kłębił się jak zawsze w letnie niedzielne wieczory. Zachodzące słońce rozsiewało ostatnie promienie, niby płynnym złotem zalało drzewa i trawę, igrało w strumieniu wody bijącej z fontanny i rozgrzało policzki pułkownikowej nadając im barwę pięknej dojrzałej brzoskwini; zajrzało do karocy Rozerów, złotą wstążką zabłysło na perkalowej sukience Aneczki i lekko połaskotało jej ramiona, które pod czerwoną parasolką wyglądały jak śnieżnobiały korzeń królewskiego grzyba. Jednocześnie odwiedziło powóz doktora Włady i szybko zagrzało swymi gorącymi promieniami szampan (teraz mogą go już wypić), i wreszcie jak ktoś, kto zrobił swoje, zgasło, znikło jakby w teatralnej zapadni.

Powiał chłodny balsamiczny wiaterek. Raz i drugi nawrócili na rondzie, wreszcie mama Rozerowa kazała zatrzymać powozy i zaproponowała małą przechadzkę wśród drzew.

Nasze znajome pary szybko mieszały się z tłumem. Być w tłumie obcych ludzi równa się niemal samotności. Sami przechadzali się Zrinyi i piękna pułkownikowa, sami — Juranicz i Ania. O czym mówili? Bóg jeden wie. Mówili także o pogodzie. Krytykowali damskie kapelusze, podobne do kakadu. Patrzyli na niebo i na sunące po nim chmury (szczególnie mała Ania wciąż

na nie patrzyła), do myśli ich wkradło się coś z szeptu drzew i z zapachu kwiatów... Potem doszli do starego grobu, który już właściwie nie jest grobem, tylko wielkim kamieniem z wyrytym na nim jednym smutnym słowem: *Fuit* \*.

— Jakim mógł być człowiek, który tutaj leży? Nikt już nawet nie zna jego nazwiska, a przecież mówią, że on ofiarował miastu ten lasek. Po co? Gdyby teraz wstał, nie znałby ani jednego człowieka na tym świecie.

— O, niech pan spojrzy, jakaś maleńka lampka pali się na grobie!

— To robaczek świętojański — zaśmiał się Juranicz; schylił się i podniósł go.

Ania jeszcze nigdy w życiu takiego nie widziała. Prawie bolało ją to rozczarowanie. Byłoby doprawdy pięknie, gdyby Bóg zapalił lampkę dobremu człowiekowi, który darował miastu ten wielki ogród.

— Niech pan pokaże!

Juranicz podał jej robaczka, lecz panienska przestraszyła się i wyrzuciła go.

— Ej, panno Aneczko! — żartował Juranicz — tak się pani obchodzi z moimi robaczkami? Teraz już tym bardziej nie oddam pierścionka.

— Ależ proszę mi go oddać.

— Proszę oddać mojego robaczka.

— Proszę poczekać, póki nie znajdę innego...

— Proszę poczekać, póki nie przyniosę innego pierścionka w zamian za tamten.

Na ten temat toczyła się naiwna rozmowa, piękniejsza jednak niż dyskusje największych mędrców świata, a gwiazdki zapalające się na niebie wtórowały jej wesołym mruganiem.

Chyba nie potrzebuję wspominać, że Zrinyi zupełnie inaczej i o czym innym rozmawiał z piękną panią Boborową, sprytną ponętną kobietą, która z pewnością nie przestraszyłaby się robaczka świętojańskiego, a jak sądził Zrinyi — także czego innego, i bardzo obojętnie przyjmowała mruganie gwiazd. Po Mlecznej Drodze ostatecznie nie da się jeździć, a Wielkiej Niedźwiedzicy nie można by nawet podać na stół.

Lecz jak było tak było. (Nie wolno dotknąć niczyjego honoru.) Piękne niedzielne popołudnie musiało się jednak skończyć. Powozy zawróciły do Rozerów, tam Zrinyi pożegnał się i chcąc się zrewanżować zaprosił Rozerów na obiad do Kasyna. Potem, jakby dopiero na widok Bobora przyszło mu to na myśl, zwrócił się do niego:

— Wielkim zaszczytem byłoby dla mnie, pułkowniku, gdyby pan również nie wzgardził żołnierzem pochodzącym z dawnego świata.

Pułkownik skłonił się z uśmiechem. (Potworny był, gdy się uśmiechał.)

— Czuję się bardzo zaszczycony! — zagrzemiał takim głosem, jakby wydawał rozkaz całemu oddziałowi.

Rewanżowy obiad udał się wspaniale i gdy Rozerowie w oznaczonym dniu pojechali karocą do Kasyna, serce pani Krystyny biło tak szybko, że omal nie pękło.

— Janoszku, kto by uwierzył, że kiedyś będziemy tu na obiedzie!

Lecz pan Rozer już tkwił w megalomanii aż po szyję. Nic go nie dziwiło.

— Świat musi się kręcić, Krystyno. Do diabła, musi się kręcić. A to, co mogło się stać z innymi, to może się też wydarzyć z Rozerami.

Obecni byli również pułkownikostwo, ale to nie przyszło tak łatwo. Pułkownikowi potrzebny był nowy mundur galowy, a wobec tego i nowa pożyczka.

— Pomóż mi w moich chwilowych trudnościach, Rozerku, jeżeli już przez ciebie wpadłem w

\* Był (łac.).



taki galimatias. To twój obowiązek, Rozer. Honorowy obowiązek. Tak powinien postąpić prawdziwy dżentelmen.

Otoczenie, dobry szampan i nastrój w tym luksusowym lokalu, uniżone miny lokajów, ich lekko zgarbione postacie, barwy dywanów, ornamenty na talerzach, rokokowe krzesła, kozetki i w ogóle wszystko tak podnieciło Bobora, że w końcu siebie samego zaczął uważać za magnata i zaprosił całe towarzystwo na obiad do swego skromnego domu, na co pan Rozer z przerażeniem puścił widelec z ręki.

— Ależ Karolku, Karolku!

Pułkownik rozgniewał się:

— Chcesz mi rozkazywać? Ty z piekła rodem! Rozerku, nie zawracaj głowy, bo będę się gniewał. Czy nie mogę robić tego, co chcę? Czy na Węgrzech nie ma wolności? Do stu piorunów!

Pan Rozer zamilkł i z kolei odbył się obiad u Boborów, oczywiście w oparciu o nową pożyczkę.

Wszystko to było jednak pożyteczną inwestycją, bo każdy obiad rodził nowe obiady, każdy nowy obiad wymagał złożenia nowych wizyt i gdy nadeszła zima, przedstawione w tym rozdziale osoby prawie nie mogły się bez siebie obejść. Zrinyi przeważnie spędzał wieczory u pułkownikostwa, czasami szedł z nimi do teatru. W całej dzielnicy zbudziły się dziwne podejrzenia. Kiedy stary pułkownik wpadał do sklepu po zakupy albo szedł ulicą chwiejnym, lecz dumnym krokiem, subiekci śmieli się za jego plecami i mówili:

— Idzie stary rogacz!

On zaś słysząc uwagi o częstych odwiedzinach Zrinyiego i frywolne ostrzeżenia: „Panie pułkowniku, warto uważać na piękną małżonkę” — uśmiechał się i mówił:

— Głupstwo. Do stu piorunów! Po prostu ciągną do siebie dwaj starzy żołnierze, Karol Bobor i Miklosz Zrinyi. Dwaj starzy żołnierze. To wszystko. Stary żołnierz potrafi jeszcze uważać, do stu moździerzy — umie uważać — lecz stary żołnierz już nie potrafi atakować. W tym sęk. Jeden stary żołnierz robi to, co potrafi (tu uderzył się w piersi), a drugi stary żołnierz robi to, czego nie potrafi. I tyle.

Bobor rzeczywiście pilnie czuwał. Nigdy nie można było zastać pułkownikowej samej i bardzo rzadko udawało się zamienić z nią jakieś poufne słówko. To może właśnie najbardziej podniecało Zrinyiego i z maleńkiej iskry rozniecało wielki płomień.

Najłatwiej stosunkowo mógł emablować pułkownikową wśród obcych, zwłaszcza gdy ktoś zajął się jej mężem, jak to bywało u Rozerów czy też u niego; bank bowiem kupił pałacyk Rozerów przy ulicy Nadora i Zrinyi zamieszkał tam z początkiem zimy, prowadząc prawdziwie królewski dom. Żak Radovan był specjalnie pouczony, jak obchodzić się z pułkownikiem. Zwykle wciągał go do dyskusji lub pił z nim; te dwie rozrywki pułkownik najbardziej lubił.

Po karnawale przybył jeszcze jeden gościnnie dom, w którym wszyscy bywali. Pułkownikowa nieraz nawet zjawiała się tam sama. A mianowicie Lörinc Juranicz założył własne ognisko domowe. W pierwszą niedzielę adwentu poprosił o rękę Anny Rozer i nie dostał kosza. Podczas karnawału odbyło się wspaniałe wesele. Zrinyi był drużbą, Boborowa starościna wesela, a rycerze Zrinyiego, którzy w ten radosny dzień zjechali się ze wszystkich stron kraju, tańczyli na tym weselu do upadłego. Nawet pan Gaszpar Alapi nabrał takiego humoru, że uczynił coś, czego nigdy w życiu nie czynił — zatańczył czardasza z mamą Rozerową. Chwacki Pataczicz zaś już nad ranem chwycił cygańskiego skrzyпка zębami za pas od spodni, podniósł go w górę i na wzór Pała Kiniziego \* tańczył i wybijał hołubce, trzymając go cały czas w zębach.

\* Jeden, z wodzów wojsk węgierskich w czasach króla Matiasza, XV w.

## VIII

### WYWIADOWCA-AMATOR

Budapeszt jest miastem epidemii. (Próżno szanowny pan Szartory kiwa głową.) Nie tylko odwiedzają nas wszystkie zakaźne choroby: tyfus, cholera, dżuma, zaraza morowa i Bóg wie co jeszcze, ale nawet choroby oczu mają tu charakter epidemiczny: Kiedy nadchodzi fala pojedynków, wszyscy nagle kłócą się ze wszystkimi i gdzie by nie rzucić okiem, wszędzie widać mężczyzn, którzy w charakterze sekundantów chodzą parami po ulicach mocno gestykulując. Ludzie z daleka poznają po minach, w jakiej sprawie ci panowie idą, i ustępują im jak księdzu, który w asyście ministrantów śpieszy do umierającego. Gdy nadchodzi fala samobójstw, ludzie zaczynają sobie strzelać w łeb masowo, prawie bez powodu i nic na to nie poradzą ani artykuły, ani felietony. Jak pasja, to pasja. To już jest w powietrzu — mówią laicy. Powietrze rodzi pewne skłonności, pewnego rodzaju gorączkę. Jakże to? Dlaczego? Nikt nie wie. Tak jest, bo tak jest. Nagle na przykład wszyscy zaczynają przychodzić do „Gerbaud“ \* i dosłownie biją się o miejsce; a w następnym sezonie nikt tam nie chodzi — chociaż może kuchnia jest jeszcze lepsza. Wszystko to są epidemie.

A co się stało na wiosnę? W gazetach coraz częściej czytało się o zaginięciu ludzi, których rodzina nadaremnie szukała i nie mogła znaleźć ani żywych, ani martwych. Przepadł handlarz drzewa z województwa trenczyńskiego, który przyjechał do Pesztu na dwa dni. Wszelki ślad po nim zaginął. Wkrótce potem znikł tutejszy bankier, w jakiś dziwny sposób, jakby go ziemia pochłonęła. Próżno szukała go rodzina i policja. Potem zaginął pewien adwokat. Tego nawet nie szukano. To nieważne, diabeł widocznie zabrał go żywcem.

Kiedys po Wielkanocy subiekci ze sklepów przy ulicy, na której mieszkali Boborowie, zauważyli, że już od kilku dni nie widać „starego rogacza”. Takie samo spostrzeżenie zrobili stali goście kawiarni „Pod Zielonym Pasterzem”. Bobor codziennie przychodził tam na godzinę, wypijał kieliszek wypalanki i czytał gazety. Bywali tutaj także Pal Szartory i kapitan Schmitt. Prędzej można było przypuszczać, że kiedys po nocy nie nastąpi ranek, niż to, że Karol Bobor nie przyjdzie do kawiarni. Co mogło się stać staremu?

Najwidoczniej umarł.

Jedynie to było prawdopodobne, bo nawet kelnerzy z kawiarni „Pod Zielonym Pasterzem” nie myśleli, że Karol Bobor mógłby nie umrzeć; rzadko się zdarza, żeby śmierć kogoś ominęła.

Pal Szartory natomiast twierdził, że gdyby Karol Bobor umarł, on by na pewno dostał zawiadomienie. Pokłócili się o to i postanowili zobaczyć, co się dzieje w domu pułkownika.

Poszli więc do mieszkania Boborów, gdzie otworzyła im drzwi młoda służąca. Zapytali, czy pan pułkownik jest w domu.

— Nie ma go. Wyjechał.

— Dokąd wyjechał?

— Nie wiem. Nic nie wiem. Tyle, że czwarty dzień nie ma go w domu.

— A pani pułkownikowa?

— Pani jest w domu i właśnie przyjmuje gościa.

— Jakiego gościa?

— Pan hrabia Zrinyi...

Pal Szartory i kapitan Schmitt spojrzeli na siebie i rzekli:

— No, to nie wejdziemy, moje dziecko, powiedz jaśnie pani, że byliśmy tu, aby się

\* Wytworna restauracja i cukiernia w Budapeszcie.

dowiedzieć, co się dzieje z panem pułkownikiem.

Sprawa wisiała tak przez kilka tygodni, lecz pierwszego, gdy pułkownik nie zjawił się po emeryturę, jego towarzysze broni udali się do pułkownikowej, która oświadczyła, że nie wie, gdzie się podział jej mąż. Pewnego ranka poszedł do miasta, nic nie powiedział i nie wrócił na obiad. Odtąd go nie widziała.

— Czy zawiadomiła pani policję?

— Po co? Policja i tak go nie odnajdzie.

— A co pani o tym myśli? Gdzie on może być?

Pułkownikowa wzruszyła ramionami:

— Nie mam pojęcia.

— Czy ma gdzieś krewnych, do których mógłby się udać?

— Nie wydaje mi się. Zresztą stamtąd także powinien by napisać.

W ciągu następnych dni setki razy musiała odpowiadać na takie pytania, gdyż pod tytułem „Zniknięcie pułkownika” ukazała się w gazetach wiadomość o tajemniczym zaginięciu Bobora, rozmaicie zabarwiona, i odtąd pięknej Boborowej reporterzy nie dawali spokoju.

Wiadomość wywołała wielką wrzawę, gdyż na przestrzeni krótkiego czasu była to czwarta czy piąta sprawa tego rodzaju. To jednak dziwne! Lekarze robili poważne miny. „Znamy się na tym. To jest także choroba, rzadko spotykana epidemia. Pewnego rodzaju instynkt wędrowniczy (wymienili także łacińską nazwę, lecz zapomniałem jej), pewien rodzaj peregrynacji, który najczęściej zdarza się u kotów. Pójdą sobie, ukrywają się, giną bez jakiegokolwiek powodu. Potem znów zjawiają się po miesiącach, po latach. Nikt nie wie, gdzie były. Wśród ludzi też się to zdarza. Budzi się u tych peregrynusów wewnętrzny, tajemniczy przymus, jakaś siła rozkazująca, której źródłem są komórki mózgu i nerwy. I to, co może zjawiać się u jednostki, może także pojawiać się w gromadzie. Epidemiczne symptomy tej choroby nie wykluczają takiej możliwości”.

Gazety jednakże nie ujęły sprawy z naukowego punktu widzenia, a ponieważ pułkownik pozostawił czarującą żonę, szelmy reporterzy chętnie zajmowali się tym tematem i starali się naświetlić go ze wszystkich stron, nie żałując przy tym złośliwych aluzji. Publiczność — ten żarłoczny, stugębny, łakomy potwór — chciwie pochłaniała wiadomości, a kluby i salony zasypała lawina plotek.

— To jednak dziwne, że żona nie zawiadomiła policji.

— Mówi, że nic nie wie.

— Czyżby?

— Dziwne, że nawet nie bardzo się smuci. Miał sześćdziesiąt osiem lat.

— Mogłaby przynajmniej okazać trochę smutku.

— Właśnie to, że nie okazuje, przemawia za nią. Gdyby była winna, to z pewnością by okazywała.

— Ach, jakże trudno poznać się na kobiecej chytryści.

Różne rzeczy opowiadano *pro* i *contra*, obracały się złe i dobre języki, wreszcie sprawa tak nabrzmiała, że policja musiała zareagować — chociaż już poprzednich wypadków nie zdołała wyjaśnić. Od wielu miesięcy bicz drwin chłostał policję. Wywiadowcy pocili się i klęli; od czasu sprawy Lajosza Benickiego nie zdarzyły się podobne wypadki. Kursowały przeróżne wersje. Mówiono na przykład, że ktoś wykrada ludzi, by w tak niewinny sposób zażartować z policji. Znalazły się też dziwaczne umysły, które kombinowały: Stary pułkownik znał wiele ważnych tajemnie wojskowych, nie wykluczone więc, że carscy agenci porwali go i zabrali wprost do Petersburga. Przecież pułkownik mógł być dla nich niebezpiecznym człowiekiem”.

A więc policja musiała wmieszać się do sprawy i przesłuchać piękną małżonkę. Ta nie

powiedziała nic nowego. Całe jej zeznanie wyglądało w ten sposób:

Boborowa: Dziesiątego kwietnia byliśmy na zabawie u Janosza Rozera, który wydał przyjęcie z okazji mianowania go radcą królewskim. Wróciliśmy stamtąd o północy i następnego dnia spałam do jedenastej. Gdy obudziłam się, zapytałam o męża Służąca odpowiedziała, że już przed godziną wyszedł z domu.

Komendant policji: Czy u Rozerów nie zaszło nic, co mogłoby podniecić szanownego małżonka? Lub może istniała jakaś inna okoliczność, która mogłaby służyć za punkt wyjścia do dalszych poszukiwań? Może pani zechce opowiedzieć szczegółowo przebieg zabawy.

Boborowa: Nie, chyba nic takiego tam nie zaszło. Mąż mój spokojnie się bawił i grał w karty.

Komendant: Z kim grał w karty?

Boborowa: Grał w pikietę z kapitanem Schmittem.

Komendant: Mąż pani wygrał, czy przegrał?

Boborowa: W drodze do domu napomknął, że przegrał.

Komendant: Ile przegrał?

Boborowa: Mówił, że jedenaście forintów.

Komendant: Czy w drodze powrotnej był w dobrym humorze?

Boborowa: Tak, w doskonałym.

Komendant: Czy w czasie przyjęcia nie zdarzył się jakiś przykry epizod?

Boborowa: Przeciwnie, wszyscy mieli wspaniały humor, zresztą nic w tym dziwnego. Stary Rozer już dawno pragnął dostać jakieś odznaczenie, a teraz hrabia Zrinyi zdobył mu tytuł radcy królewskiego. Cała rodzina pławiła się w szczęściu. Podczas jednego toastu pan Rozer oświadczył, że wszystkie swoje kapitały obraca na zakup akcji Banku Zrinyiego.

Komendant: To nieistotna okoliczność. Kto tam był jeszcze?

Boborowa: Hrabia Zrinyi; Pataczicz, Alapi, Juranicz z małżonką, kilku innych rycerzy z Sigetvaru, kapitan Schmitt, Szartory z córkami i kilka starszych pań, które zwykle tam bywają.

Komendant: Proszę mi jeszcze odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy pułkownik nie pozostawił jakiegoś listu, karteczki lub innego znaku?

Boborowa: Nie.

Tylko takich wyjaśnień udzieliła piękna pani — a to właściwie tyle co nic. W baranim rogu nie jest ciemniej niż w sprawie Bobora. Policja zmobilizowała swoich najzdolniejszych detektywów, lecz nadaremnie. Żądni nowych wiadomości reporterzy rubryk policyjnych dzień w dzień słyszeli to samo: nie ma wyników.

Słyszając to, reporter dziennika „Peszteński Gąsior”, Miksza Perenyi, rozgniewał się i bezczelnie, jeszcze w pokoju radcy policji, wpakował na głowę włochaty cylinder i zawołał od drzwi:

— No, to ja się tym zajmę, jeżeli panowie nie potrafią!

Co Miksza Perenyi raz powie, to jest murowane. Tylko to, co napisze, często nie posiada tak zwanej „jakiegokolwiek podstawy”. Poza tradycyjną nienawiścią, jaka istnieje między policją a prasą, pchnęło go do tej ważnej decyzji ogłoszenie podane do dzienników przez królewskiego radcę Janosza Nepomucena Rozera, że ten, kto przyniesie wiadomość o jego przyjacielu, otrzyma sto złotych forintów nagrody.

Perenyi był to chudziutki maleńki człowieczek z twarzą przypominającą kakadu; nogi miał jak żuraw, nos trochę skrzywiony, lecz węch taki, jak pan Lecoq w powieści Gaborieau, umysł zaś wyostrzony i giętki jak najwspanialsza klinga.

Natychmiast zabrał się do swego zadania. Przede wszystkim postarał się o fotografię pułkownika, potem zbadał teren, z którego pułkownik musiał wyruszyć w swoją tajemniczą drogę. Boborowie mieszkali w dwupiętrowym żółtym domu przy ulicy Arad. Jest to długa,

brudna, źle wybrukowana ulica ukryta za Aleją Andraszyego. Opuszczona, zaniedbana, niewiele się tam buduje, handel zamiera. Wielki oligarcha jest zawsze niebezpieczny. Jak rekin zjada małe rybki, tak Aleja Andraszyego wchłania żywotność i ruch okolicznych ulic. Tu wszystko jest ciche i małomiasteczkowe.

Żeby odnaleźć nic, Perenyi musiał przede wszystkim zbadać, dokąd udał się Bobor, gdy wyszedł z domu, albo przynajmniej, w którą stronę wyruszył. Lecz na to nie było żadnych danych. Sklepikarze z sąsiedztwa nie potrafili udzielić bliższych wskazówek, dowiedział się jednak przy tej sposobności, że pułkownik jest w trudnych warunkach materialnych, że hrabia Zrinyi bardzo często spędza tam wieczory i że stare paniusie z ulicy Arad wiele na ten temat plotkują.

Wobec tego Perenyi uchwycił się pewnej hipotezy. Wyobraził sobie, że jest Boborem, który wyrusza z domu, idzie kawałek przed siebie, ponieważ jednak bruk jest bardzo zły, a jemu dokuczają w jednej nodze podagra, skręca w pierwszą przecznicę i wychodzi na asfalt Alei Andraszyego. Jeżeli hipoteza ta jest słuszna, prosty wniosek, że na najbliższym postoju wsiada do dorożki.

Było piękne majowe popołudnie. Aleją płynął tłum w kierunku lasu miejskiego. Wielcy panowie jechali fiakrami, mniejsi panowie szli piechotą; przechadzka o tej porze jest prawdziwą przyjemnością. Jednokonki nie miały powodzenia. Dla nich dobra jest tylko zima i deszcz. Dorożkarze nienawidzą słońca jak największego wroga. Teraz także łazili trzymając w rękach baty, robili uwagi o przechodniach i przeklinali ludzkość, która jest tak stworzona, że buty niszczy, ale nóg nie zdziera. Dorożkarze są poza tym dobrymi obserwatorami i umieją czytać z oczu. Zaledwie Miksza Perenyi zjawił się na widnokręgu, wszyscy się instynktownie poruszyli.

Miksza Perenyi rzeczywiście szedł w ich stronę. Rozbiegli się jak błyskawice, aby zdjąć torby z obrokiem z łbów wychudzonych szkap. Można sobie wyobrazić, jakie to przykre uczucie dla biednego zwierzęcia.

— Nie rozchodźcie się — powiedział Miksza Perenyi — raczej zbierzcie się tutaj koło mnie. Niech podejździe każdy, kto chciałby dostać duży napiwek!

Któż by nie chciał dostać dużego napiwku? Wszyscy przyczłapali, chociaż nie mieli wielkich złudzeń, bo z takiej zapowiedzi nie zwykli rodzić się pieniądze, tylko jakieś głupstwa. A Miksza Perenyi także nie wyglądał na kogoś, kto by miał sypać złote talary z niedomkniętej dłoni.

Pan Miksza wyjął z kieszeni fotografię starego pułkownika i spytał:

— Który z was woził tego pana?

— Starego pułkownika? Wszyscy go woziliśmy. Można powiedzieć, że to skapiradło. Zawsze płaci tylko ściśle według taryfy.

— Dobrze, dobrze, ale kto woził go ostatnio?

Znalazło się trzech, którzy wieźli pułkownika po raz ostatni, trzy albo cztery tygodnie temu. Oczywiście nie pamiętali dnia.

— Teraz będzie decydowała pora dnia — pomyślał Perenyi i zaczął wypytywać, o której to było godzinie. Dwóch wiozło go po południu, tylko numer sto trzydziesty ósmy mówił o przedpołudniu.

— Aha, więc to od was czegoś się dowiem — powiedział Perenyi — czy możecie mi powiedzieć, dokąd zawieźliście pułkownika?

— Wysiadł przy ulicy Długiej i wszedł do jakiegoś domu.

— Pod którym numerem?

— Tego nie wiem.

— Moglibyście pokazać ten dom?

— Tak mi się zdaje.

— To chodźmy.

Perenyi wszedł do dorożki i wkrótce stanęli przed oznaczonym domem.

— To tu — powiedział woźnica.

— Żeby to diabli wzięli! To jest przechodni dom. Czy wiecie na pewno, że tutaj wszedł?

— Tak, tu wszedł i stąd wyszedł, potem zapłacił i odesłał mnie.

Perenyi wszedł na podwórze domu. Na środku zobaczył bazar z zabawkami, a dokoła sklepiki złotników, szewców i włoskich sprzedawców pomarańcz. Perenyi podrapał się w głowę. Nie ma podstawy do żadnych dalszych domysłów. Jego oczy wyżyła wkrótce jednak spostrzegły żołnierza inwalidę, który siedział na krześle opartym o ścianę koło jednego ze sklepików. Na oparciu krzesła wisiała mała tabliczka, na której prostymi białymi literami było napisane: „Isztvan Molnar, kapral ranny w bitwie pod Sadową“; obok krzesła leżały szczotki i pudełka z pastą. Za parę groszy potrafił zakurzone buty przechodniów niezwykle zręcznie przemieniać w błyszczące lakierki. Siedział obojętnie na krześle i przyglądał się nogom przechodniów, nic go poza tym nie interesowało; uparcie tkwiło w nim zakorzenione przekonanie, że najważniejszą częścią ciała ludzkiego są nogi, czego — jeżeli zważymy, że brał udział w bitwie pod Sadową \* — nie można mu brać za złe. Jeżeli natomiast weźmiemy pod uwagę, że on sam miał jedną nogę drewnianą, możemy uważać jego stanowisko za rzeczowe i altruistyczne.

Na widok inwalidy Perenyiemu błysnęła iskierka nadziei. Żołnierz ma zwyczaj przyglądać się żołnierzowi, szczególnie kapral pułkownikowi. Może zauważył, dokąd poszedł Bobor?

Zapytał więc inwalidę pokazując fotografię pułkownika:

— Czy nie widzieliście kiedy tego pułkownika?

— Owszem, nawet dość często.

— Przychodził do tego domu?

— A przychodził tu, biedaczysko.

I ręką wskazał mały lombard w lewym rogu podwórka.

Na twarzy reportera zakwitł zwycięski uśmiech, gdy zaś zobaczył swoje odbicie w wystawie sklepowej złotnika, miał ochotę zawołać do własnego uśmiechniętego oblicza: „Maksiu, Maksiu, jakież ty jesteś mądry!”

Staremu żołnierzowi dał kubańskie cygaro, potem wszedł do lombardu, gdzie stary Żyd w zielonej jarmułce siedział za przegrodą wśród różnych gratów, niby papuga w klatce. Przed kratą stał przystojny młody człowiek, któremu widocznie stary rail jakieś małżeństwo (gdyż ubocznie i tym się zajmował).

— Widzi pan, wy chrześcijanie wszyscy jesteście tacy. Powiadacie: nie żenię się, bo jestem biedny. To jest wprost śmieszne, jak działa mózg „goja“.

Przecież właśnie dlatego trzeba się ożenić. Bo młodość to jest kapitał, *das muss man escomptieren*. \*\* To marnotrawstwo być starym kawalerem. U Żydów rzadko się spotyka starych kawalerów. W ogóle ich nie ma. Bo Żyd jest mądry i wie, co jest najkorzystniejsze.

Właściciel lombardu udzielając fachowych porad małżeńskich, jednocześnie przez szkło powiększające badał szlif szmaragdu jakiegoś pierścienia i teraz dopiero spostrzegł Perenyiego.

— Czego pan sobie życzy?

— Chciałbym pomówić z panem o pewnej ważnej sprawie — rzekł Perenyi, oczyma wypychając młodego człowieka na dwór.

Tamten zabrał się i wyszedł. Stary o papuziej głowie zawołał jeszcze za nim:

\* Złośliwa uwaga autora, gdyż jak wiadomo pod Sadową wojska węgierskie uciekły z pola bitwy.

\*\* Trzeba to zdyskontować (niem.).

— Niech się pan namyśli, szanowny panie. Starego Salomona zawsze tu szanowny pan znajdzie. Stary Salomon siedzi tu od ósmej do ósmej, a pan, panie szanowny, czego sobie życzy?

— Jestem Miksza Perenyi.

Papuzia głowa tylko mrugnęła oczami na znak, że słyszy.

— Zna mnie pan chyba?

— Nie miałem przyjemności.

Na to już Perenyi nie mógł powstrzymać rozpierającej go pychy.

— Co, nie zna mnie pan? Nie zna pan Mikszy Perenyiego? Wielkiego Maxa Perenyiego? Fe! Wstydz się pan, jest pan pospolitym człowiekiem. Uważać się za porządnego Żyda i nie znać Perenyiego? Czy warto jest wyróżniać się i wybijać wśród was?

Człowieka o papuziej głowie znużyło to bezcelowe gadanie i wtrącił:

— Cofam więc to, co powiedziałem. Powiedzmy, że znam pana.

Lecz na to detektyw-amator zapłonął jeszcze większym ogniem.

— Co, znacie mnie i nie zrywacie z głowy tej zielonej mycki? Kiedy stoi przed wami sam król reporterów i mówi w imieniu „Peszteńskiego Gąsiora”, przed którym drżą nawet ministrowie! A taki zwyczajny robak nawet nie zdejmuje swojej zielonej mycki!

— No to już zdejmę, tylko przejdźmy do sprawy — rzekł niecierpliwie stary.

Reporter operował metodą psychologiczną: był zdania, że należy rozmówcę zastraszyć i mówić do niego z góry, bo wiedział, że ludzie tego typu są podejrzliwi i małomówni. Teraz wyjął z kieszeni fotografię i powiedział:

— Niech pan spojrzy na tego starego oficera i opowie nam (bo Perenyi zawsze używał *pluralis majestatis*, wyobrażając sobie, że obok niego stoi cały „Peszteński Gąsior”), kiedy był tu ostatni raz i w jakiej sprawie. Niech pan uważa, bo ta odpowiedź zadecyduje, czy „Peszteński Gąsior” strąci pana do najgłębszego kotła w piekle, czy wzniesie aż pod gwiazdy, zależnie od tego, czy informacje będą dobre czy złe.

Stary Żyd zastanowił się chwilę, ile też w przeliczeniu na gotówkę może być warte to, co on mógłby powiedzieć; zdecydował jednak, że to nie może mieć żadnej wartości, więc odrzekł:

— Ten pan często bywał w moim sklepie. Miewał trudności gotówkowe i wtedy przynosił albo srebrną tabakierkę, albo złoty łańcuszek, albo jakąś damską biżuterię, za które zawsze otrzymywał parę forintów.

Wszystkie jego kosztowności znam od wielu lat. Bo to jest człowiek punktualny i każdego pierwszego wykupywał to, co przynosił tu w ciągu miesiąca. Wydaje mi się, że wkrótce musi przyjść.

— A kiedy był tu po raz ostatni?

— Jakiś miesiąc temu — odpowiedział właściciel lombardu. — Zaszedł wtenczas szczególny wypadek. Na Boga, dopiero teraz przypomniałem sobie. Przyniósł damską broszkę z brylantem, mówiąc, że to własność jego małżonki, i swoją srebrną tabakierkę. „Pick, dziś potrzebuję dużo pieniędzy” powiedział.

— Czy był w złym humorze?

— W doskonałym. Śmiał się. Mówił, że w nocy był na zabawie, że przegrał w karty i dlatego przyniósł dwa przedmioty. Zapytałem, jakiej mu potrzeba sumy? „Okolo trzydziestu forintów” — odpowiedział. Obejrzałem broszkę i powiedziałem mu: „Mogę pod to dać pięćset”. Uczciwy stary oficer zmieszał się. „Pick, pan zwariował, przecież cena srebra spadła, a na szpilce jest niewiele złota”. „Ale jest brylant — wyjaśniłem. — Ten brylant to ładna sztuka”. Oficer wytrzeszczył oczy i zbeształ mnie. „Pick, jest pan wielkim osłem, zbankrutuje pan, przecież to nie jest prawdziwy brylant”. Wtenczas jeszcze raz przyjrzałem się broszce i zapewniłem, że to jest taki sam prawdziwy brylant, jak ja jestem prawdziwy Pick, i jeżeli mi nie wierzy, niech każe

zbadać któremukolwiek złotnikowi. Stary oficer, wzburzony, bez słowa wybiegł ze sklepu zabierając swoją własność i dotąd nie powrócił.

Serce reportera mocno biło. „Maksiu, jesteś na właściwym tropie”. Z wdzięcznością poklepał starego Żyda po ramieniu.

— Porządny z pana człowiek, kochany panie Pick, lecz proszę powiedzieć nam jeszcze jedną rzecz: dokąd pułkownik mógł pójść, gdy stąd wyszedł?

— Pewnie do jubilera.

— Może do tego na tym samym podwórku?

— Prawdopodobnie.

Perenyi teraz już z namiętnością wyżyła popędził do jubilera naprzeciwko i tam rozwarła się przed nim ogromna perspektywa. Jubiler pamiętał pułkownika, który przyniósł mu do oceny brylantową broszkę.

— Ana ile pan ją ocenił?

— Na osiemset forintów.

— I co wtenczas powiedział pułkownik?

— Zbladł i zaklął. Potem wyjął: „To niemożliwe! Broszka należy do mojej żony, a ja wiem...” — „Lecz ja chyba lepiej wiem — odpowiedziałem. — Znam ten brylant i tę broszkę, bo sam zrobiłem ją na zamówienie hrabiego Miklosza Zrinyiego za tysiąc forintów”. Pułkownik zawył jak dzikie zwierzę i wybiegł ze sklepu, nawet zostawił tu swoje reniferowe rękawiczki.

Przed Perenyim zaczęło świtać. A więc: szukaj kobiety i jej kochanka. Już jest nić, niezawodna nić. Bobor na pewno poszedł do Zrinyiego albo posłał mu sekundantów i tam należy szukać dalszego ciągu. Perenyi zapłacił dorożkarzowi czekającemu na ulicy, potem wszedł do kawiarni i napisał list do redakcji.

*„Szanowny Panie Redaktorze. Jestem na dobrym tropie w sprawie Bobora. Zebrałem ogromnie ciekawe szczegóły. Będę mógł przyjść dopiero późnym wieczorem. Proszę o zarezerwowanie trzech czwartych kolumny. Pułkownikowa zdemaskowana. Ogromna sensacja. Nieprawdopodobny rekord. Dla policji wielka figa. Dobrze byłoby wydrukować dodatek nadzwyczajny. Hrabia Miklosz Zrinyi także jest zamieszany w tę tajemniczą sprawę. Teraz idę do niego do banku. Nie mogę przerwać śledztwa. Zaliczkę proszę zostawić u zastępcy redaktora”.*

Perenyi posłał przez miejskiego posłańca list do redakcji „Peszteńskiego Gąsiora” na ręce redaktora odpowiedzialnego, a sam w przyspieszonym tempie pobiegł do banku Zrinyiego przy ulicy Nadora i kazał wręczyć swoją wizytówkę samemu prezesowi.

Nazwisko Perenyiego poruszyło w Zrinyim wiele dawnych miłych wspomnień, przecież właściwie istniało pokrewieństwo między Szubiczami (jak ongiś zwali się Zrinyiowie) a Prinyimi (jak ongiś nazywali się Perenyiowie), kazał więc Miksę Perenyiego natychmiast wprowadzić, lecz wchodząca postać wzbudziła w nim mocne podejrzenie.

— Czy pańska rodzina dawniej nosiła nazwisko Prinyi? — zapytał rzuciwszy badawcze spojrzenie.

— Nie; Kohn — odpowiedział serdecznie Perenyi.

— Tak? A czego pan sobie życzy?

— Jestem reporterem „Peszteńskiego Gąsiora”, panie hrabio.

— Pięknie, pięknie, ale czego pan chce?

— Przepraszam najmocniej, jestem detektywem-amatorem i dla naszej gazety zajmuję się wyjaśnieniem sprawy zniknięcia pułkownika Bobora. „Peszteński Gąsior” był dotychczas najlepiej informowaną gazetą i będzie nią nadal.



— Ale wciąż jeszcze nie wiem, czego pan chce?

— Chcę odnaleźć pułkownika Bobora. I zdobyłem pewne dane, dzięki którym staje się dla mnie oczywiste, że jedynie pan hrabia może mi dopomóc w osiągnięciu tego szlachetnego celu.

Na wargach hrabiego drgał ironiczny uśmiech.

— Więc pan mniema, że przy mojej pomocy może go pan odnaleźć?

Reporter bezczelnie wyszczerzył zęby.

— Tak, bo dowiedziałem się, że jaśnie pan hrabia był łaskaw ofiarować pani pułkownikowej Boborowej brylantową broszkę. (Zrinyi ściągnął brwi, ale sprytny Perenyi widząc to zaraz przeszedł na inny ton.) — Jaśnie pan hrabia ma wielki gest, a pani pułkownikowa jest piękną kobietą. Jak Boga kocham, warta jest tego. (Zrinyi jeszcze bardziej ściągnął brwi, Perenyi zaś szukał trzeciego tonu.) Więc sprawa tak wygląda, przepraszam uniżenie, że ten idiota złotnik opowiedział o tym pułkownikowi, a ten, nieco wzburzony, przyszedł dokuczać jaśnie panu hrabiemu.

— Pan widocznie dużo wie — rzekł hrabia. — A teraz chciałby pan wiedzieć tylko, gdzie jest pułkownik Bobor?

— Tak jest, proszę uniżenie.

— Więc zaraz się pan dowie.

Hrabia nacisnął dzwonek, na dźwięk którego weszli dwaj halabardziści — ogromni rycerze, z których każdy miał około dwóch metrów wzrostu.

— Zakujcie w łańcuchy tego wyskrobka i zabierzcie go na dół.

Perenyi krzyczał, wrywał się, kopał, drapał, gryzł, lecz żelazne dłonie dwóch olbrzymów wkrótce go tak przygniotły, że nawet ruszyć się nie mógł. W jakimś przedpokoju zakuto go w kajdany, potem jeden z rycerzy wziął go na ręce i bocznymi schodami zaniósł do piwnicy, gdzie łańcuchami przykuto go do żelaznego kółka wmurowanego w ścianę. Było tam więcej takich żelaznych kółek i więcej więźniów. Na zmianę stali tam pod ścianą: więzień i kasa pancerna, potem znów więzień i znów kasa pancerna.

Panował gęsty półmrok, tylko u góry przez mały, otwór sączyło się trochę światła ze ślepego podwórka. Perenyi z początku nie mógł nic rozróżnić, ale po chwili zauważył, że poruszyła się jakaś bezkształtna masa — to sąsiad z głośnym brzękiem łańcuchów podszedł, by się przedstawić:

— Jestem pułkownik Bobor.

## IX

### KATASTROFA

List Perenyiego zelektryzował redakcję „P. G.“. Zastępca redaktora wesoło pobrzękiwał nożycami, „Chłopcy, jutro będziemy mieli wspaniały numer”. Wszystkie stalówki zrobiły się twarde jak stal i rażno skrzypiały po papierze. Ministrowie zostali oskalpowani, a w stopę głównego intendenta wbito kilka kolców. Pewien młody dziennikarz ugryzł wojewodę, kierownik działu stołecznego jak rozwścieczony byk rzucił się na partię Szartoryego; policji zaś połamie nogi Perenyi, jak tylko się zjawi.

Lecz doskonały nastrój powoli zaczął się psuć, gdyż Perenyi nie przychodził; minęła godzina dziesiąta i jeszcze go nie było, co więcej — do północy także się nie zjawił. O drugiej w nocy trzeba było zamknąć numer, a Mikszy Perenyiego wciąż jeszcze nie było. Pomimo że czekała na

nego zaliczka. To doprawdy dziwne. Telefonowali wszędzie, gdzie tylko Perenyi miał zwyczaj obracać się w nocy, lecz nie było ani śladu po nim. Niepojęte, gdzie się podział Perenyi.

Zdumienie było jeszcze większe, gdy Perenyi nazajutrz nie zjawił się ani w redakcji, ani we własnym mieszkaniu. To już nie są żarty. Coś się musiało stać, Redaktor odpowiedzialny miał złe przeczucia... albo raczej dobre. Bo gdyby współwinni w sprawie pułkownika zabili reportera „Peszteńskiego Gąsiora” za jego poszukiwania — to dopiero byłaby bezcenna reklama dla gazety. Wziął więc list Perenyiego i pojechał z nim wprost do głównego komendanta policji Tamten wzruszył ramionami, robił różne miny i w końcu powiedział, że to co pisze Perenyi, jest wręcz niemożliwe, lecz mimo to natychmiast poczyni właściwe kroki, po czym, pozwoliwszy odpowiedzialnemu redaktorowi odejść, uczynił cztery czy pięć kroków w kierunku kanapy — może to właśnie były owe „właściwe kroki” — i położył się, by odbyć swą zwykłą popołudniową sjęstę.

Jednakże po godzinnej smacznej drzemce mimo woli pomyślał o liście Perenyiego. Hm, że niby hrabia Zrinyi może być zamieszany w tę sprawę, że Perenyi osobiście poszedł tam — i odtąd go nie ma. (Ach, niechby Zrinyi z niego żywcem ściągnął skórę!) Hm. Sprawa przedstawia się całkiem realnie. I byłoby to zgodne z informacjami, jakie posiada policja.. Boborowa przed kilku dniami opuściła swoje ubogie mieszkanie przy ulicy Arad i zajęła całe piętro pewnego pałacu przy Wielkim Bulwarze, urządzone z wielkim luksusem przez hrabiego Zrinyiego. W nocy często stoi przed domem powóz hrabiego. Jednym słowem podejrzania są niewątpliwe, lecz czy celowe jest, żeby policja wtykała nos w sprawę Zrinyiego? Co nakazuje takt? Bo najważniejszą rzeczą jest takt. Prawda? Węgry są krajem taktu i lepiej popełnić dziesięć grzechów niż jeden nietakt.

Główny komendant policji zrobił jednak tyle, że pojechał do ministra spraw wewnętrznych i złożył meldunek. Minister spraw wewnętrznych był zdania, że niech lepiej policja tymczasem nie wtrąca się, on zaś osobiście porozmawia ze Zrinyim.

I jeszcze przed udaniem się do klubu odwiedził bohatera Sigetvaru w towarzystwie drugiego ministra.

Po krótkiej rozmowie, gdy pogodnie palili cygara, w zręczny sposób wplótł do rozmowy sprawę Bobora i reszty zaginionych.

— Nic o nich nie wiesz?

Zrinyi chytrze uśmiechnął się i na pytanie odpowiedział pytaniem.

— Może cię któryś z nich interesuje?

— Istotnie, i bardzo byłbym ci zobowiązany, gdybyś mi powiedział, co wiesz o jednym czy drugim.

— Są tu u mnie — odpowiedział Zrinyi naiwnie i niewinnie — i aby ci zrobić przyjemność, bardzo chętnie uwolnię któregoś.

Minister spraw wewnętrznych podskoczył nerwowo i zbladł jak ściana.

— Mówisz, że są tutaj? Jak to rozumiesz? Gdzie są?

— Tam na dole, w piwnicy.

— Uwięzieni?

— Przykuci łańcuchami — odpowiedział Zrinyi beztrąsko.

W tej chwili już i drugiemu ministrowi krew zastygła w żyłach.

— Na miłość Boską, dlaczego robisz takie rzeczy?

— Naprzykrzali mi się, a niektórzy byli wprost bezczelni. — Oczy Zrinyiego zabłyśły. — A ja takich rzeczy nie ścierpię.

Ministrowi spraw wewnętrznych włosy stanęły dęba na głowie, twarz tak załapała się potem, że można by ją wyżąć.

— No, z tego będzie piękny spektakl. (Myślał o interpelacjach, jakie padną w parlamencie.) Cała Europa będzie mnie za to winić. (Myślał o gazetach i o tym, co będą pisały.) Szczęście tylko, że nie ma wśród nich ani jednego Żyda.

— Ależ jest już, jest — szczerze wyłożył na talerz Zrinyi — Wczoraj kazałem uwięzić reportera pewnej gazety.

Zupełnie niezrozumiałe były dla Zrinyiego przestraszone miny obu ministrów i ich lamenty. Przecież nie zrobił nic złego. Wszyscy ludzie, których kazał uwięzić, zawinili przecież wobec niego. On nikogo nie karze bezpodstawnie. Jest miękki jak masło, można go niemal na chleb smarować, tylko nie cierpi bezczelności. Wyrzucają mu, że z każdym zażaleniem nie zwraca się do władz. Lecz przecież chyba nie może ich niepokoić byle głupstwem? Czy nie jest wygodniej dla władz, gdy ktoś sam własne sprawy załatwia?

— A gdzie wolność osobista? — lamentował minister. — A gdzie praworządność? Wierzę ci, że dawniej tak robiłeś, ale dziś świat jest inny, dziś nie można tak postępować. Węgry są krajem prawdziwej wolności.

Lecz w tym momencie Zrinyiego opuściła już zimna krew.

— To nazywacie wolnością? — rzekł drwiąco. — W ubiegłym tygodniu pojechałem z flintą na Szwabską Górę i zabrali mi moją flintę, bo nie miałem pozwolenia na broń. Potem wykupiłem pozwolenie na broń, lecz znów mi nie było wolno strzelać, bo nie miałem terenu do polowania; wynająłem więc teren do polowania, wystrzeliłem z flinty i zabiłem zająca, i za to mnie ukarano, bo o tej porze roku nie wolno strzelać do zającego. Wtedy napisałem do ciebie zażalenie i za to znowu mnie ukarano, bo na podaniu nie było znaczka za pięćdziesiąt grajcarów. I wy to nazywacie krajem prawdziwej wolności?! Wstyd doprawdy!

Ich ekscelencje mimo przykrej sprawy, której zgubne następstwa nie dadzą się łatwo zatuszować, nie mogli bez uśmiechu słuchać tego średniowiecznego rozumowania.

A przecież to wcale nie był powód do śmiechu, lecz twardy orzech do zgryzienia i jeszcze z tego może wyniknąć wielka burza, jeżeli się zrzęcznie sprawy nie wygładzi. Ministrowie wymienili ze sobą znaczące spojrzenia.

Oni już znają wzajemnie swoje spojrzenia. Natychmiast obaj wstali i odeszli do niszy okiennej, aby się naradzić.

— Co robić?

— Może zobaczyć więźniów?

— Za żadne skarby świata. Jeżeli ich zobaczymy i nie uwolnimy w tym samym momencie, jesteśmy zgubieni; jeżeli zaś uwolnimy ich, zanim Zrinyi zdoła się z nimi ułożyć, to on będzie zgubiony.

— Musimy to zakomunikować Banffyemu.

— W każdym razie trzeba.

Zabrali ze sobą Zrinyiego do klubu, gdzie panował wyjątkowy ruch. Ul liberałów był przepełniony, bo rano wybuchł skandal w parlamencie. Niesłychany incydent. Wszyscy oniemieli. Jeden z posłów skrytykował ministra. Z pewnością zwariował. Bo nie można sobie wyobrazić, żeby ktoś mając zdrowy rozum zadzierał z ministrem. I do tego, żeby go krytykował. Najstarsi mamelucy \* nie pamiętają podobnej aberracji. Wieczorem wszyscy pośpieszyli do klubu, bo każdy był ciekaw, co się stanie. W Sparcie nie istniała ustawa o karze za ojcobójstwo, bo tam nigdy się nie zdarzało ojcobójstwo. I tu nie było precedensu, bo dotąd jeszcze żaden z mameluków nie podniósł głosu przeciwko ideom własnego ministra. Można więc sobie wyobrazić, jak zaciekawieni byli wybitni członkowie klubu, którzy przechadzali się po rdzawych

\* Nazwa nadana na Węgrzech w XIX w. posłom, którzy ślepo głosują po stronie rządu.

dywanach. Czekali na coś nadzwyczajnego, na jakieś nadprzyrodzone zjawisko. Na co? Tego jeszcze nie wiedzieli, lecz spodziewali się czegoś, bo jednak coś musi się stać po tym zamachu. Może oczekiwali samego zamachowca i chcieli rozkoszować się lodowatym chłodem, z jakim zostanie przyjęty, aby potem móc się również oburzać z powodu tego chłodnego przyjęcia. Pozerzy zrzucili świąteczne maski i zwyczajem zwykłych śmiertelników mieszały się z szarakami, a karierowicze, którzy wesoło krążyli wokół ministrów jak ćmy koło lampy, teraz zwrócili oczy ku niebu i głosem pełnym trwogi i niepokoju lamentowali:

— Co za czasy i co za ludzie! Mój Boże, co za ludzie!

Wejście Zrinyiego z dwoma jeszcze ministrami zwróciło ogólną uwagę. Znow materiał do zgadywania! Co to może być?

Szukano Banffyego. Nie trudno go znaleźć. Musi być tam, gdzie zebrała się największa grupa. Jest to tak pewne jak fakt, że pestka jabłka musi być w samym jego środku.

Zaledwie powiedziano Banffyemu kilka słów, zaczął śmiać się całą twarzą. Śmiało się wszystko: czoło, wąsy, nos i nawet kark. Prawdziwa twarz dyplomaty.

Można sądzić, że zakomunikowano mu radosną wiadomość i dlatego tak się śmieje, lecz ci, którzy go lepiej znali, natychmiast odgadli, że za tym śmiechem tygrysa coś się ukrywa. Ale co — nie podobna było dociec.

Ręką dał znać i niezwłocznie wycofali się gęsiego przez czytelnię do pokoju ministrów, którego okna wychodziły na ulicę Doroty i w którym zapadło wiele ważkich decyzji jeszcze za czasów, kiedy nogi starego Deaka stapały po klepkach tej posadzki.

Banffy zatrzymał się w czytelnicy i złapał kogoś spośród molów książkowych:

— Proszę cię, przyslij tu starego Tisę!

Wkrótce przykuszykał do nich Tisa. No, to już musi być ważna sprawa. Rodziły się najdziwniejsze przypuszczenia.

— Może Zrinyiego mianują banem Chorwacji?

— Nie jest przecież wariatem, żeby porzucić bank dla stanowiska bana!

— A może chcą z niego zrobić dyrektora teatrów?

— Ale skądże, przecież właściwie nie widział jeszcze teatru.

— No właśnie dlatego!

— A może chcą, by został posłem do parlamentu?

— Nie, bo nie zapłacił podatków — zauważył Menyhert Katanghy.

— I nie jest obywatelem węgierskim, bo urodził się w Chorwacji — dodał Mor Mezei.

W tym czasie w pokoju ministrów głowili się koryfeusze. Sprawa jest ciężka. Niedobrze byłoby ją zatuszować, bo potem wszystko może wyjść na jaw. Lecz nie zatuszować także nie jest dobrze, bo w takim razie wyjdzie na jaw natychmiast.

Zrinyi jeszcze teraz niewiele sobie robił z całej sprawy i uważnie obserwował twarze ministrów podejrzewając, że to wszystko jest jakimś wesołym żartem i że chcą go po prostu zastraszyć. Nadaremnie odczytano mu odpowiednie ustawy kodeksu karnego. Zrinyiemu imponował jednak Tisa i bardzo go zaskoczyło, że Tisa również uważa uwięzienie kilku ludzi za ciężkie przestępstwo.

— Popelniłeś wielki błąd, lecz może jeszcze da się go naprawić.

— Ależ proszę cię — bronił się Zrinyi — przecież to tylko od was zależy, a wy chyba przyznajecie mi rację.

— Od nas zależy? — rzekł jeden z ministrów. — Przeceniasz nasze siły i naszą władzę.

— No to chociaż powiedzcie, kogo się boicie?

— Gazet, ustaw, opinii publicznej.

— Przecież powiedzieliście mi, że król ma milion żołnierzy.

— To prawda.

— A jednak boicie się książek i papierków?

— Takie są czasy. XIX wiek. Ty tego nie rozumiesz. Praworządne państwo, przyjacielu. Musimy tak postępować, żeby wszyscy mieli równe prawa i prawa każdego były chronione.

— Do diabła z tym wszystkim! Za moich czasów tylko jedną osobę trzeba było respektować — osobę króla, a i to nawet było niewygodne. Lecz mieć wzgląd na szesnaście milionów ludzi, to już jest nie do wytrzymania, to istne piekło.

Jednak powolutku zmiękł i przyjął radę Tisy, szczególnie gdy dali mu do zrozumienia, że jeżeli sprawa wyjdzie na jaw, rząd także będzie miał przykrości. Wówczas zgodził się.

Jednakże Tisa — wielki zwolennik dyskusji i debat który całe życie lubił kompromisy — tym razem także zaproponował kompromis w sprawie więźniów.

— No dobrze, więc co mam zrobić? Czego żądacie ode mnie?

— Każ ich nocą kolejno przyprowadzić do swego pokoju i z każdym oddzielnie dojdź do porozumienia. Potem także po kolei wypuszczaj ich na wolność, lecz oczywiście — o ile to możliwe — weź od nich pisma, w których potwierdzą, że przebywali w twoim domu z własnej woli.

— Zrobię to dla was — powiedział z głębokim westchnieniem Miklosz Zrinyi — choć miałbym raczej ochotę poćwiartować policjantów, których przysłałibyście, aby mnie aresztować.

Nigdy w życiu nie czuł się tak pokonany, tak bezradny jak teraz. Widział, jak jego autorytet maleje coraz bardziej. W głosie ministrów, w ich zachowaniu się było coś protekcyjnego, co go głęboko raniło... Ta wielkoduszność wzburzyła w nim każdą kroplę krwi. Duma wielkiego oligarchy chciała w nim wziąć górę, lecz opanował się.

Banffy wyciągnął z kieszeni cygaro, koniec jego odciął małą gilotynką i tymi słowami zakończył naradę:

— Załatwione. Nic nie widzieliśmy, nic nie słyszeliśmy i o niczym nie wiemy.

Po czym rozeszli się, lecz przed wyjściem z gabinetu Daranyi odciągnął Zrinyiego na bok, by jeszcze go trochę pomęczyć.

— To był błąd z twojej strony, Mikloszu. Ty z twoimi tradycjami powinieneś żyć zupełnie inaczej. Pozwól, żebym na jedno zwrócił ci uwagę. Widzisz, jesteś tu już blisko rok i jeszcze nie byłeś w Berlinie. Przecież takt wymaga, żebyś podziękował cesarzowi niemieckiemu za słowa, które powiedział wznosząc toast na twoją cześć. Czy nie mam racji?

Zrinyi z roztargnieniem mruknął pod nosem, że nie myśli o takich sprawach.

— Ale widzisz, mógłbyś zrobić karierę, gdybyś odpowiednio wykorzystał sytuację.

— Daj spokój, proszę cię. Dla mnie wystarczającą karierą jest wypad z Sigetvaru — zauważył Zrinyi z godnością. — Mnie to zupełnie wystarcza.

— No tak, to było piękne, piękne — odpowiedział Daranyi swoim zwykłym pochlebczym tonem, przechodząc znów na „pan“ — pan hrabia może być zadowolony, ale przecież są także inne rzeczy na świecie. Czy wie pan o tym? Istnieją orderzy Św. Stefana, barany ze złotym runem stoją w królewskiej stajni i tak dalej \*. Tak, tak, dzielny wodzu, przecież ja panu życzę jak najlepiej. — I z miłym uśmiechem opuścił zgębnionego bohatera, lecz zrobił dwa kroki i powrócił, aby poufale szepnąć mu do ucha:

— Żebyś chociaż nie uwięził tego żurnalisty, bo on, jeżeli się nawet z nim ułożysz, wszystko wypaple. Zobaczysz, że z tym będziesz miał kłopoty.

Zrinyi sam uważał to za prawdopodobne.

— Czy nie byłoby dobrze — powiedział z wahaniem i wyraziście spojrzął w oczy ministrowi

\*Aluzja do orderu Złotego Runa.

— gdyby... wiesz... tak w tajemnicy...

— Co w tajemnicy?

— Gdybym kazał ściąć mu głowę...

Daranyi zatrwożony cofnął się, jakby nastąpił na węża; jego słodki jak syrop uśmiech zlodowaciał.

— Na miłość boską, co ty gadasz! Miej rozum, Mikloszu! Nie ściągaj na siebie i na nas nieszczęścia. Nie myśl o takich absurdach.

Stojąc w drzwiach jeszcze mu serdecznie pogroził:

— Panie Zrinyi, bądź mądry i taktowny!

Magnat o wielkim nazwisku pochylił głowę jak żubr i przeszedł przez salę klubową w stronę drzwi. Wszędzie, którędy przechodził, mamelucy pozdrawiali go powstając, a w jednej grupie zaczęto zastanawiać się, jaka kategoria diet powinna przysługiwać dowódcy twierdzy Sigetvar. Zrinyi nie przystanął ani na chwilę, chociaż Gergely Kapucan czał się, by uzyskać bankową pożyczkę dla swoich wyborców w Boronto. Zrinyi pośpieszył do domu i natychmiast wezwał Michała Sebeniego, radcę prawnego banku. Radovana zaś posłał po Pataczicza i Alapię. W nocy będą mieli robotę.

Zacni panowie nie mogli sobie wyobrazić, co Zrinyiemu strzeliło do głowy, że w nocy ich wzywa.

Chyba nie ma zamiaru urządzać nocnego zebrania? Jednak wszyscy się zeszli i Zrinyi szczegółowo przedstawił im istotę sprawy i życzenia rządu. Pan Michał Sebeni przejął się, reszta zaś nie wzięła sprawy zbyt serio.

— A teraz — zwrócił się Zrinyi do radcy prawnego — proszę to uporządkować. Moi chłopcy po kolei przyprowadzą więźniów, a pan mecenas potarguje się z nimi i weźmie od nich pisma; tylko proszę uważać, żeby tam gdzie nie dopisali „VC“, co oznaczałoby, że *vi coacta*\*. Zresztą zna się pan na tym lepiej niż ja.

— Obawiam się, że to będzie kosztowało bardzo dużo — lamentował Sebeni.

— Nie szczczędźcie pieniędzy.

— Tak, ale właśnie chodzi mi o sytuację materialną pana hrabiego. (Istne chmury zebrały się na twarzy poczcziwego Michała Sebeniego, gdy poruszył ten temat.) Nie mamy pieniędzy, panie hrabio. (Subtelnie używał liczby mnogiej, bo przecież sam miał ich dosyć.)

— W banku są. A gdy zabraknie, to król znów każe wydrukować.

— Lecz trzeba się z tego rozliczyć, panie hrabio.

— To już moja rzecz, panie Sebeni.

— Jak pan sobie życzy, panie hrabio.

— Wy zaś, Pataczicz i Alapi, starajcie się ich przekonać. Szczególnie ty możesz być użyteczny, Pataczicz, gdy pokażesz im swoje olbrzymie pięści i zagroisz, że wygnieciesz z nich dusze, jeżeli nie będą trzymali języka za zębami.

— Proszę to już mnie pozostawić.

— Z adwokatem, sędzę, łatwo dacie sobie radę. Chciał mnie szantażować szelma i teraz osiągnął cel, lecz temu handlarzowi drzewem, który się tak bezczelnie zachowywał, dobrze będzie jeszcze trochę dać po twarzy. To także pozostawiam tobie, Pataczicz. Myślę, że przez te policzki ugoda nie wiele podrożeje. Natomiast z dziennikarzem obejdźcie się delikatnie, to jest chłopaczek miękki jak bawełna; obiecujcie mu miesięczną pensję z warunkiem, że będzie ją otrzymywał tak długo, póki milczy. Najtrudniej będzie z pułkownikiem. Jest bardzo rozgoryczony w więzieniu, a będzie jeszcze bardziej rozgoryczony, gdy się rozejrzy w dziennym

\* Pod przymusem (łac.)

światle. Przecież rozumiecie... Więc z nim chciałbym zrobić taki układ, że otrzyma jakąś ładną sumkę, powiedzmy pięćdziesiąt — sześćdziesiąt tysięcy forintów...

— Przecież to cały majątek... — syknął Michał Sebeni.

— Nie zazdroście mu. Biedaczysko bardzo kocha swój brzuch i żonę, lecz własny brzuch pewnie bardziej. Potrzebuje pieniędzy. Z nim trzeba się tak ułożyć, żeby natychmiast wywędrował z kraju.

— A żonę żeby naturalnie tutaj zostawił! — wtrącił Alapi.

— Alapi, nie bądź źle wychowany. To przecież oczywiste.

Zrinyi wydał swoim ludziom polecenia, oni zaś do rana wszystko uporządkowali; adwokat i handlarz drzewem zgodzili się tanio, ucieszeni, że będą wolni, a handlarz nawet jeszcze dziękował. Miksza Perenyi zaś był zachwycony, że całą noc i cały dzień mógł spędzić w tak strasznym miejscu i gdy go spytano, czego żąda za przeżyte cierpienia, roześmiał się:

— Gdybym miał pieniądze, chętnie bym jeszcze dopłacił, dla mnie to jest warte cztery artykuły i jeden felieton. Uszczęśliwię swoją gazetę.

— O, bracie! Nie wolno ci o tym pisać.

— A kto mi zabroni?

— My.

— No, to nie wypuszczajcie mnie. Odnajdzie mnie kiedyś policja.

— Owszem, wypuścimy, a pan jednak nie napiszesz złożywszy wprzód przysięgę i pisemne zobowiązanie na to.

— No, to w takim razie podyktuję.

Kiedy jednak Michał Sebeni wyjaśnił dziennikarzowi, że za milczenie będą mu wypłacać po trzysta forintów miesięcznie, nagle posmutniał i stał tak zmieszany, milczący, niezdecydowany — jak osioł, przed którym zwisają dwie wiązki siana, jedna bardziej apetyczna od drugiej, a jemu wolno sięgnąć tylko do jednej.

— No, to będę milczał — jęknął wreszcie i na czoło wystąpiły mu perliste krople potu.

Przybijmy to! zawołał wesoło Pataczicz i tak ścisnął mu rękę, że dziennikarz zaczął krzyczeć i jęczeć, a na wszystkich pięciu palcach koło paznokci ukazała się krew.

— Jeśli pan przypadkiem coś piśnie — zakończył Pataczicz — to ja pana trochę pomacam. Bóg mi świadkiem!

O wiele trudniej było przeprowadzić sprawę Bobora. Stary pułkownik wszedł wściekły jak dzik, pobrzękując łańcuchami.

— No, czego ode mnie chcecie, nikczemne draby średniowieczne?

Aż strach było patrzeć na niego; twarz pułkownika wskutek długiego pobytu w więzieniu nabrała dziwnego koloru mchu i obrosła siwą szczecina, oczy miał przekrwione i opuchnięte.

— Gdzie jest ten nikczemny łotr, który nazywa siebie Zrinyim, niech go zmiażdżę, tego nicponia — charczał wygrażając pięściami. — Jeśli jest szlachcicem i rycerzem, niech bije się ze mną na śmierć i życie.

Pataczicz podszedł do pułkownika i spokojnie położył mu rękę na ramieniu. Pod ciężarem tej ręki kości Bobora zaczęły trzeszczeć i przeszył go taki ból, że zawył. Bóle artretyczne w porównaniu z tym były zabawką.

— Wolnego, przyjacielu — rzekł Pataczicz. — Zrinyiego tu nie ma i Zrinyi jest zbyt wielkim panem, aby sobie zaprzętać głowę takim starym niedołęgą.

— Jestem emerytowanym pułkownikiem cesarsko-królewskiej armii — wystękał stary, czując wciąż jeszcze ból w kościach.

— To także coś znaczy. Lecz Zrinyi jest bohaterem na miarę cesarów, zdobywców świata. Milcz pan zatem i ani słowa więcej. Jeżeli zaś chce pan rozsądnie gadać, to możemy dojść do

porozumienia. I pieniądze będzie pan miał i wolność.

Tu Michał Sebeni wtrącił się do sprawy i zaproponował Boborowi, że skłonni są dać mu jakąś okrągłą sumkę, jeżeli wyjedzie za granicę i będzie uważał całą sprawę za niebyłą.

Bobor przecząco potrząsnął głową i tupnął:

— To niemożliwe. Do diabła! Nie i nie! Muszę się zemścić!

— A jeżeli dostanie pan dużo pieniędzy? Panie pułkowniku, niech pan patrzy rozsądnie na sprawy tego świata. Jeżeli nie chce pan pieniędzy, to ich pan nie dostanie: pójdzie pan z powrotem do piwnicy. I jaka będzie korzyść z tego? Ma pan nadzieję, że pana znajdą? No, więc przypuśćmy, że policja pana znajdzie, ale czy to może zaszkodzić hrabiemu Zrinyiemu? Przecież chyba pan wie, że sprawy wielkich panów wygładzają inni wielcy panowie. Wtedy również tylko sobie pan zaszkodzi takim stawianiem się.

Pułkownik bezradnie stęknął, co oznaczało, że te wywody uważa za słuszne.

— Ile więc dostałbym pieniędzy? — zapytał obrzucając ich nienawistnym spojrzeniem.

— Powiedzmy trzydzieści tysięcy forintów za przykrości, których pan doznał.

— Bagatela.

— Na wojnie więcej pan cierpiał i mniej dostał.

— A moja żona? — syknął.

— Jabłko jest okrągłe — odpowiedział Pataczicz — i należy do tego, do kogo się potoczy.

Był to bardzo przykry i dziwny targ. Przez kobietę. (Ach, żeby tak kobiet nie było na świecie!) W Boborze płonęły dwa uczucia: chęć zemsty na Zrinyim i miłość do żony. Wreszcie zmęczony przeciągającymi się pertraktacjami, zastraszeniem i słuchaniem mądrych rad, już prawie skłonny był zrezygnować z zemsty i zgodzić się; miał wrażenie, że jednak żona pozostała mu wierna. W miarę jak opuszczała go chęć zemsty, z łagodniejszym sercem zwracał się do małżonki. Tak, lecz Zrinyi życzył sobie, żeby Bobor wyjechał z pieniędzmi do Gratzu, a nawet do piekła, gdzie zechce, lecz żonę pozostawił własnemu losowi lub wziął z nią rozwód. Trzeba było sprawę tak prowadzić, żeby Bobor zrozumiał, że zawiódł się na żonie, trzeba było w odpowiedni sposób, powolutku, wyznać to i owo, dać do zrozumienia, że ta kobieta już nie jest godna przywiązania tak dzielnego dżentelmena, jakim jest pułkownik Bobor, więc lepiej, żeby przestał o niej myśleć. Ta kobieta zrobiła już za duży krok, aby mogła teraz cofnąć swoją drobną nóżkę i stanąć znów przy boku męża. Nawet nie mieszka w dawnym mieszkaniu, lecz...

Słowem w ten sposób trzeba go było przygotować. Gdy już z jednej strony podbudowali sprawę, to z drugiej waliła się. Przez chwilę pułkownik bliski był wybaczenia Zrinyiemu wszystkiego, lecz gorąco pożałował żony (no, a przecież ludzie mówią, że w tym wieku mężczyzna umie już tylko wydymać pierś). Była i taka chwila, że odrzuciłby kobietę, ale gorzał żądzą zemsty nad Zrinyim. A pragnienie to było tak bezmierne, jak pragnienie wielbłąda na Saharze.

Wreszcie, już prawie o świcie, zawarto ugodę i gdy Zrinyi obudził się w południe, zameldowano mu, że w piwnicy nie ma już ani jednego więźnia, że wszyscy podpisali zobowiązania.

— Ileście zapłacili Boborowi?

— Pięćdziesiąt tysięcy forintów.

— To nawet nie jest tak dużo.

— Na Boga, nie — drwił Alapi — mniej więcej za taką sumę król Zygmunt zastawił miasta prowincji Sepesz wraz z domami, ziemią uprawną, kobietami i wszystkim. A przecież doprawdy piękne były te kobiety z Sepesz!

Sprawa więc została zatuszowana; Bobor wyjechał do Włoch i wszczął proces rozwodowy, który Michał Sebeni prowadził na koszt Zrinyiego. Piękna kobieta już się teraz nie certowała i po kilku tygodniach wprowadziła się do gmachu bankowego, żeby dzielić chleb codzienny ze



Zrinyim, który utrzymywał dla niej specjalny ekwipaż, sprowadzał suknie z Paryża i dał do obsługi cztery pokojówki: jedna ją czesała, druga ubierała, trzecia zabawiała, czwarta jej czytała.

Wszystko to kosztowało bardzo dużo; Zrinyi sypał pieniędzmi, gdzie tylko się zjawił, hojnie rozdawał je również swoim dawnym żołnierzom: każdy z mieszkających w Peszcie ciągnął z niego na miejscu, inni, z prowincji, dostawali pieniądze pocztą.

W dobrze poinformowanych kołach Pesztu podawano sobie z ust do ust wieści o rozrzutności Zrinyiego i trwonieniu pieniędzy oraz różne szczegóły dziwnej gospodarki. Wieści te bardzo dyskredytowały Ziemskie Towarzystwo Kredytowe. Zupełnie otwarcie mówiono o tym w kasynie i na giełdzie.

— To się źle skończy.

Akcje spadały. *Pester Lloyd* zaś pisał: *Die Kurse haben sich abgebröckelt* \*. Wszystko zaczęło iść na opak. Przygasające szczęście rzucało ponure cienie na drogę rycerzy z Sigetvaru.

Pewnego dnia Pal Szartory burknął do starego Rozera:

— Wielce szanowny panie kumie, czas byłby spławić akcje!

— Teraz zbyt nisko stoją — odpowiedział pan radca królewski. — Teraz nie można.

— Będą stały jeszcze niżej, wielce szanowny panie kumie.

Radovan, który już zaczynał mieć pewne pojęcie o rachunkowości, pewnego razu — oczywiście tylko w cztery oczy — powiedział Alapiemu:

— W diabelny sposób odwrócił się ten świat. Teraz nasz pan tak już stoi, jak sułtan Soliman pod Sigetvarem. Właściwie jest już martwy, tylko my nie mamy odwagi tego wymówić.

Mądry Alapi smutnie pokiwał głową.

— Tak, możliwe, że to prawda.

Burzył się już nie tylko świat finansów. Szemrała także opinia publiczna. Worki z pieniędzmi skakały, jak posolone żabie udka. Zwykli ludzie zaś z innego powodu warczeli jak rozjuszony psy.

Osoby, które wydostały się z lochu, nie złożyły skarg w sądzie, nie napisały do gazet o swoich przejściach i „Peszteński Gąsior” także milczał, a jednak nieoficjalnie zdarzenia te stały się powszechnie znane i wieść o nich rozchodziła się coraz szerzej, oczywiście ukwiecona, powiększona, rozdmuchana przez fantazję. Każdy o tym wiedział, każdy w to wierzył, lecz nie pisano na ten temat. Są rzeczy, o których nie można pisać bez podania konkretnych nazwisk i danych. Albo nawet można napisać, lecz jest to niewskazane. Na grobie Perjeszyego dopiero raz zazieleniła się trawa, jeszcze wszyscy pamiętali straszliwe cięcie Gaszpara Alapiego.

Pisane niesprawiedliwości nie działają tak silnie na umysły jak niepisane. Przede wszystkim część oburzenia publicznego wchłania farba drukarska, a dopiero reszta dostaje się publiczności. Publiczność chciwie pożera tę resztkę i przechodzi nad nią do porządku dziennego. Natomiast przemilczane skandale podniecają publiczność. Żąda ich, mówi o nich, przyczepia się do nich, oburza się i dziesięcioma pazurami chciałaby je odgrzebać. Napisanymi skandalami publiczność mniej się interesuje, nic do nich nie dodaje, nie uzupełnia ich i nie rozpowszechnia, bo przecież są już w gazecie. Skandale napisane żyją tylko jeden dzień, tak długo jak gazeta. Lecz nienapisane skandale są nieśmiertelne, gdyż głosicielem ich jest każdy; żyją na ustach ludzi, podniecają serca, rozgrzewają krew i rozogniają skronie.

Zagadka bankowej piwnicy wzburzyła opinię publiczną. Jest to przecież tak straszne, że prawie nie można w to uwierzyć. Z początku wydawało się nie do wiary. W końcu XIX stulecia! Może to tylko bajka? Lecz potem dowiadywano się szczegółu za szczegółem. Oczy i usta zestawiały je z sobą. Ktoś słyszał o czymś od dozorczy Zrinyiego, ktoś zanosił więźniom

\* Kursy się załamały (niem.).

żywność, jeden widział to, drugi owo, ktoś inny słyszał jeszcze coś innego. Czwarty spotkał w Monte Carlo Bobora, który miał pieniędzy jak lodu. — Wycierpiałem się za to — narzekał stary pułkownik i coś niecoś wymknęło mu się z ust: — Lecz w kraju ani mru, mru, do pioruna, bo mnie przekupili, a ja jestem uczciwym człowiekiem: dżentelmen może się targować, ale gdy się już zgodzi, to dostarcza towar i basta. Do widzenia panu, ja nic nie powiedziałem!

Opinia publiczna kręciła się, szemrała, tupała i kłapała zębami: jednakże to niesłychane, że gazety nie piszą o takich sprawach. Wszystko gotowe są przemilczeć. Są przekupione. Oczywiście, gdy jakiś biedny urzędniczyna zdefrauduje pięć forintów albo gdy główny komendant policji każe wezwać do siebie jakiegoś dziennikarza, robią z tego wielką hecę; lecz jeśli wielki pan dla swego widzi mi się każe wtrącać do więzienia uczciwych ludzi, na to gazetom brak dwóch kropli atramentu.

Wstyd i hańba, że takie rzeczy mogą dziać się na oczach pół miliona ludzi w samym sercu Pesztu, przecież włosy stają dęba, krew się burzy na myśl, że coś podobnego może się zdarzyć w cywilizowanym kraju! Doprawdy niepotrzebni nam byli ci panowie, szkoda, że zmartwychwstali. Kto umarł, niech już leży cicho. Po co wyleźli z grobu? Żeby sprawić tyle kłopotów? A rząd? Można powiedzieć — doprawdy śliczny rząd! Nawet okiem nie mrugnie. A co dopiero ta kupa głupich posłów, którzy na widok dwóch pcheł robią z nich trzy słonie i cztery interpelacje. Lecz teraz, gdy mają prawdziwego słonia z prawdziwą zbrodnią, nagle zachowują się, jakby pajak zasnuł im wszystkim usta pajęczyną.

Nastroje bezlitośnie obróciły się przeciwko Zrinyiemu. Gdzie się podziały entuzjastyczne wiwaty, którymi witano ich przed rokiem? Gdzie jest wielka księga historii, żeby ją otworzyć teraz, gdy ludzie zaczynają się wściekać? Gdzie jest Parka, która na swoim niewidzialnym wrzecionie z resztek przędzy snuła nić życia Zrinyiego? Wrzecziono musiało wpaść w ręce jakiejś wstrętnej czarownicy, która obrzydliwą śliną zwilża złotą przędzę. Wszystko szło źle, bank również. Ponościł coraz to nowe straty. Już układając statut popełniono katastrofalny błąd. Był zbyt liberalny. Głupstwem było, na przykład, że postanowiono uważać ubezpieczenia za ważne nawet w wypadku samobójstwa. Kto do diabła widział coś podobnego? Jakiś ziemianin, który obligacje Węgierskiego Banku Kredytowego na sześćset tysięcy forintów konwertował w Ziemijskim Towarzystwie Kredytowym, po spłaceniu pierwszej raty kwartalnej palnął sobie w łeb. Do tego rodzaju przykrości należało jeszcze dodać rozrzutność Zrinyiego i jego wielkopańskie trwonienie pieniędzy.

Nie odmawiał pożyczki żadnemu sympatycznemu człowiekowi, który zwracał się do niego, i wobec doświadczonych dyrektorów zachowywał się wprost brutalnie, nie tolerując najmniejszego sprzeciwu; nadaremnie zwracano mu uwagę, że petent jest zadłużony i pieniądze są w niebezpieczeństwie.

— Ma bardzo uczciwą twarz — mawiał w takich wypadkach krótko. — Należy udzielić pożyczki.

Ogromne pieniądze pochłaniał nie tylko wielkopański tryb życia Zrinyiego i rachunki za stroje Boborowej, lecz również jego ekscentryczna namiętność zbierania broni, siodeł, strzelb. Nie potrafił się od tego odzwyczaić. Jakby jeszcze wciąż wybierał się na wojnę. Jeżeli usłyszał, że gdzieś za granicą robią szable o wspaniałych klingach lub piękne siodła, natychmiast zamawiał ich dwieście lub trzysta sztuk. Gdy z tego powodu robiono mu zarzut, tylko wzruszał ramionami:

— Doprawdy sam nie wiem po co, zamówiłem to tylko tak, z przyzwyczajenia.

Pieniądze uważał za nic i z bezgraniczną lekkomyślnością podnosił z banku tysiące zastępując je własnymi weksłami. Uważał, że papier, który on podpisał i zostawił, jest tyle samo wart, co ten przez niego wzięty, za który mógł otrzymać w sklepach wszystko, czego żąda. Dlatego właśnie dziwił się z początku kupcom. Nigdy nie mógł zrozumieć, na czym polega istota weksła.

Dlaczego jeżeli ktoś podpisze swoje nazwisko na małym kawałku papieru, na kartelusku wielkości dłoni, ma to być poważniejszym zobowiązaniem niż to samo — wypisane na większym papierze, na którym wszystko jest opowiedziane jasno i szczegółowo.

Wraz z nadejściem marnych czasów zmarniał także nastrój Zrinyiego. Niezadowolone kwaśne miny, bezustanne złe prognozy wytrącały go z równowagi. Akcjonariusze szemrali, grozili i żądali przyspieszenia walnego zebrania. Urzędnicy w biurze także byli zatroskani. Mor Zrinyi powiedział mu prosto w oczy:

— No, no, to walne zebranie! Ależ tam dopiero będzie heca! Jak Boga kocham, nie chciałbym być w skórze pana hrabiego.

Tego to już za wiele! Mor Zrinyi nie chciałby znaleźć się w skórze Miklosza Zrinyiego! Rozewrzyj się, matko ziemio, i połknij znów biednego Miklosza Zrinyiego!

Nie minął dzień, żeby nie przyszedł do banku jakiś akcjonariusz stękać, kwękać, grozić, że będzie tak, że będzie owak. Wielka awantura wyniknie z tego walnego zebrania.

Tylko poczciwy Rozer przychodził jak zawsze jednakowo uprzejmy, pokorny, pełen szacunku; chociaż dosłownie cały jego majątek spoczywał w akcjach banku, zawsze myślał tylko o swoich obiadach; po każdym obiedzie, który się odbył, o następnym, który będzie jeszcze piękniejszy, jeszcze bardziej nastrojowy, jeszcze bardziej wytworny.

— W niedzielę będą urodziny mojej żony.

— Przyjdziemy — powiedział Zrinyi.

— Bardzo, bardzo dziękuję, jestem bardzo szczęśliwy, lecz...

— Co poza tym, kochany panie radco?

— Nie mam odwagi powiedzieć, choć to tylko zależy od pana hrabiego, od jednego jedynego słowa i...

— No, tylko odważnie!

— Pan hrabia chyba wie, jakie są kobiety. Krystyna... moja żona... jak każda kobieta ma długie włosy i krótki rozum... ach, lecz ja się żenuję... na honor, żenuję się... Może lepiej wcale nie powiem.

I wstydliwie ugniatał w rękę cylinder (od czasu bowiem gdy został mianowany radcą królewskim nosił cylinder).

— Panie Rozer, przecież może pan mieć do mnie zaufanie.

— Krystyna chciałaby mieć na obiedzie jednego ministra — wyrzucił z siebie nagle, jak ktoś, kto miał przyjąć pigułkę; połknął ją i dziwi się, że już po wszystkim.

Zrinyi, pomimo wielu kłopotów, nie mógł powstrzymać śmiechu.

— No, postaram się o jednego z mniejszych.

— Dla mnie to obojętne, właściwie dla Krystyny obojętne, niech będzie nawet taki malutki jak mój mały palec. Lecz chodzi o to, żeby mogła powiedzieć... przecież łaskawy pan już rozumie.

Lecz coraz mniej było tych pogodnych chwil. Od rana do wieczora Zrinyi miał same przykrości. Pułkownik Bobor depešował z Monte Carlo, że przegrał całą gotówkę i jeżeli Zrinyi nie przyśle mu pieniędzy — wycofa sprawę rozwodową i zażąda powrotu żony. Holenderscy finansisci również pisali przykre listy. Widocznie złe wieści już dotarły do Holandii i tam także postanowiono przyspieszyć walne zebranie. W klubie liberałów, w kasynie, wszędzie, gdzie tylko postawił stopę, przyjaciele zwracali mu uwagę znacząco i poufnie.

— Mocno cię zaatakują na walnym zebraniu. Powinieneś to uprzedzić.

Oczywiście należałoby to uprzedzić. On sam także o tym myślał. — Tak, tak, uprzedzę to.

Gdy wreszcie wyznaczono dzień walnego zebrania (pierwszy rok gospodarczy banku trwał szesnaście miesięcy), Zrinyi zaczął się zamykać na całe godziny w swoim gabinecie i pisać listy. Dawniej zak Radovan załatwiał takie sprawy, ale teraz nawet on nie był wtajemniczony. Po

pewnym czasie Radovan zobaczył, że na kopertach widnieją nazwiska rycerzy Zrinyiego, którzy rozproszyli się po całym kraju i oddawali się różnym mieszczchańskim zajęciom.

Po czterech czy pięciu dniach Zrinyi znów stał się dawnym spokojnym Zrinyim, przechadzał się wesoło elastycznym krokiem, lecz był wciąż jakiś tajemniczy. Widać było, że coś tai, że coś przygotowuje. Wieczorem przed walnym zebraniem kilku urzędników pozostało w biurach banku, żeby za wszelką cenę przygotować potrzebne dokumenty, surowe bilanse, księgi, rozliczenia, dane liczbowe — nawet gdyby mieli pracować do rana. Zrinyi jednak przepędził ich do domu.

— Pan dyrektor tak zarządził — tłumaczyli się — praca jest pilna.

— A ja rozkazuję, żebyście poszli do domu.

— Cóż więc zrobimy z dokumentami?

— Ta bazgranina nie będzie potrzebna — odpowiedział krótko Zrinyi.

Urzednicy odeszli i kiwali głowami, lecz oczywiście dopiero na klatce schodowej.

Mor Zrinyi opowiadał potem, że wracając o północy z żoną z jakiegoś przyjęcia i przechodząc koło banku widział, iż cały budynek jest oświetlony, lecz nie zwrócił na to szczególnej uwagi. Sądził, że to chyba urzednicy walczą teraz na śmierć i życie, by zebrać materiały potrzebne na walne zebranie.

Wreszcie o dziesiątej rano otwarto od dawna oczekiwane walne zebranie. W wielkiej sali narad zebrali się akcjonariusze, przybyli holenderscy założyciele banku, wiedeńscy i bojowi mieszkańcy śródmieścia Pesztu. Nikogo nie brakło. Mieszkaniec Pesztu gotów jest pójść nawet do piekła, jeżeli ma na widoku choćby mały skandal. Obecni byli redaktorzy gospodarczych rubryk gazet i reporterzy. Nawet przyszło parę typów z kasyna — ot tak dla przyjemności... Ci, dla których rozkoszą jest patrzeć, jak kogoś wieszają.

W sali panowała głęboka cisza, nie ta zwykła, normalna, pogodna cisza połączona z żywą wschodnią gestykulacją i szmerem, jaki zwykle bywa na tego rodzaju walnych zebraniach, lecz cisza, jaka przed burzą panuje na morzu. Błede twarze, złe spojrzenia, nerwowe drganie warg świadczyły o tłumionym podnieceniu.

Zrinyi siedział na honorowym miejscu pod ogromnym żyrandolem, którego kryształowe wisiorki fioletowo odbijały promienie słoneczne przenikające do pokoju przez opuszczone zielone żaluzje.

Siedział spokojnie jak lew, który trawi. Przed nim leżał arkusz papieru, mały srebrny dzwoneczek, ołówek — i niedbale rzucone rękawiczki ceglatego koloru.

Z wielkopańską nonszalancją odczytał zapisane na papierze kilka słów, którymi otworzył posiedzenie. Potem jeden z dyrektorów odczytał sprawozdanie roczne. Była to długa i nudna sprawa, trudno było doczekać do końca. Cyfry, cyfry i wciąż cyfry.

Siedzący obok Zrinyiego Pataczicz pochylił głowę i oparł się na ogromnych pięściach spoczywających na stole, po drugiej stronie Alapi prawie utonął w fotelu, a jego małe oczki drwiąco obserwowały twarze akcjonariuszy.

— Słuchajcie, słuchajcie! — nawoływano się z różnych stron.

— To dobre na jarmark! — odezwał się jakiś głos, po czym buchnął wesoły gwar.

Tylko dla Zrinyiego słowa sprawozdania były nudne, nieme i martwe. Dla akcjonariuszy były żywe jak złośliwe karzelki, fauny, koboldy, które skakały, grały na piszczałkach i podniecały ich.

Aż w pewnej chwili napięcie pękło.

— Oszustwo!

— Piękna gospodarka! *Schöne Wirtschaft!*

Zrinyi siedział cicho, nieruchomo, jak gdyby wykuty z kamienia.

Jeden z dyrektorów, niejaki Pollaczek, przechylił się przez stół:

— Niech pan hrabia raczy zadzwonić!

Lecz Zrinyi tylko ręką machnął owemu panu Pollaczkowi i nie dzwonił. Pozwolił im krzyceć i zlorzeczyć do woli.

Wreszcie zakończono roczne sprawozdanie. Dziesięciu obecnych chciało mówić. Trzydzieści, czterdzieści rąk wymachiwało w powietrzu, by zapisać się do głosu.

Pierwszy zabrał głos jakiś dobrze odżywiony pan, który miał twarz jak maca — okrągłą, białą i chropowatą — gdy atakując Zrinyiego mówił z podnieceniem ślina jego opryskiwała wszystkich naokoło.

Przy każdej obeldze obecni głośno wołali: „słusznie” i „racja”. Podniecało to jeszcze bardziej tego jegomościa i, jak ongiś zuchwały Ikar, zaczął coraz śmiej wlatywać. Wymienił kolejno wszystkie nadużycia popełnione przez przewodniczącego — naczelnego dyrektora — mówił o jego gwałtownym charakterze, który nie pozwalał dojść do głosu pracownikom banku, posiadającym nieco inteligencji (sic!), pokreślił, że ten szatan nieokiełznanej rozrzutności bez ograniczenia odprawiał swoje nikczemne orgie — i wreszcie, jakby rozochocony wciąż rozbrzmiewającymi oklaskami, okrągły pan zawołał:

— Nawet miłość kupował za nasze pieniądze!

Zrinyi z niezmaconym spokojem i nadzwyczaj dostojnie zwrócił się do Radovana:

— Skocz, chłopcze, i daj mu w twarz.

Radovan bez słowa zerwał się i trzasnął mówcę na odlew. Powstał straszliwy gwar i nieopisany chaos. Akcjonariusze jak osy z sykiem dopadli Radovana przewracając krzesła, gniotąc cylindry, deptając ludzkie nogi. Błysnęły parasole i laski.

W tej chwili Zrinyi chwycił dzwonek i potrząsnął nim z wielką siłą; dźwięk jego zabrzmiał donośnie.

Był to sygnał.

Nagle z trzech stron rozwarły się dwuskrzydłowe drzwi, prowadzące do sali obrad, i z błyskiem obnażonych szabel wpadli żołnierze Zrinyiego, którzy na jego wezwanie zjechali nocą ze wszystkich stron kraju.

— Bij, kto w Boga wierzy! — zawołali i zaczęli siec akcjonariuszy.

Nastąpiła nie dająca się opisać scena: rżenia, krzyki, jęki. Krew połała się w sali jak potok, opryskała ściany i zielone sukno stołu. Niektórzy wdrapywali się na szafy, inni dopadli nóg Zrinyiego i błagali o litość. Większość zaś starała się dostać do drzwi wyjściowych i pomimo odniesionych ran uciekała; jeden z akcjonariuszy nogą rozbił piec i tamtędy uciekł, drugi rozwarł okno i wrzeszczał na całą ulicę:

— Policja! Policja!

\*

Wieczne gazety ze szczegółami opisywały okropne krwawe zajście, niektóre nawet w nadzwyczajnych wydaniach. Dwadzieścia osiem osób zostało rannych, z tego sześć ciężko, jedna zmarła. Mówca, który rzucał obelgi, był cały posiekany.

Miasto ogarnęła konsternacja. Cały dzień minął w gorączkowym nastroju, obwiniano policję, która nie spostrzegła, że Zrinyi ściągnął swoje wojska z prowincji, uzbroił je, ubrał i wyszkolił — i to wszystko w tajemnicy. Obrzucano błotem rząd, który Zrinyiemu na wszystko pozwalał i nawet umożliwił mu te sprawki.

W godzinach nocnych nadeszły uspokajające wiadomości, że policja na żądanie prokuratury aresztowała Zrinyiego; gdy podjeżdżał do kasyna, ośmiu policjantów zatrzymało konie. Nastąpiło potem jeszcze więcej aresztowań: Pataczicz, Alapi, Radovan, Lörinc Juranicz zostali

także aresztowani i wraz ze Zrinyim oczekują w więzieniu, aż sędzia śledczy rozpocznie przesłuchania. Żołnierze Zrinyiego zaś wciąż jeszcze są na wolności w gmachu banku, policja nie zabiera się do schwytania ich, bo mogłoby dojść do krwawej potyczki, dlatego też minister spraw wewnętrznych jeszcze w ciągu tej nocy zażądał odpowiedniej ilości wojska.

## X

### PARLAMENT

I tak mijały dni po wstrząsającym wypadku, który po wieczne czasy będzie znany w historii stołecznych instytucji finansowych jako „bitwa przy ulicy Nadora“. Zrinyi i jego ludzie siedzieli w areszcie śledczym (zgromadzonych wojaków udało się przy pomocy znacznych oddziałów wojska rozbroić i uwięzić następnej nocy po owym krwawym dniu), uspokoiło to więc ogólne wzburzenie. Władze uczyniły, co mogły. Nikt nie może powiedzieć, że na Węgrzech nie ma równości i nie szanuje się ustaw. Można było przypuszczać, że teraz już opinia publiczna ucichnie i spokojnie pozwoli, by pod skrzypiącym piórem sędziego śledczego mnożyły się protokoły śledztwa, aż nadejdzie kulminacyjny punkt: najciekawsza rozprawa sądowa stulecia.

Lecz stało się inaczej. Opinia publiczna jest jak statek, który pływa po wzburzonych wodach i gdy jedna fala powoduje przechylenie się statku na prawo, natychmiast druga przechyla go na lewo — aż wreszcie położenie się wyrówna. Musiał więc natychmiast powstać prąd przeciwny. Szczególnie na prowincji zaczęto żałować Zrinyiego i jego ludzi. Tam widocznie ludzie mają bardziej miękkie serca. Mówiono więc: — Toż to bezczelność obchodzić się ze Zrinyim, wielkim bohaterem naszej historii, jak ze zwykłym przestępcą, i właściwie nawet nie tak bardzo szkoda tych posiekanych Żydów... — Może jednak na prowincji serca nie są tak bardzo miękkie.

Węgier lubi szukać prawdy. Lecz nie lubi jej znajdować. A jeżeli znajdzie prawdę, to zaraz go ona nudzi: „Ależ ma paskudną gębę!“ Krótko mówiąc, bajecznie szybko zaczęła wzrastać sympatia dla Zrinyiego i jego rycerzy, aż pewnego dnia jakby ręka z herbu województwa Szomogy wypuściła trzymaną kiść winogron i chwyciła za pióro, by napisać pilną petycję do parlamentu, prosząc ciało ustawodawcze o interwencję w niezwykłej sprawie hrabiego Zrinyiego i jego towarzyszy.

Losy kierowanych do parlamentu pism i podań zwykle są rozpaczliwe. O ile nawet mają jakąś przyszłość, to najwyżej taką, że zmarły przeistoczy się w pięknie pochowanego nieboszczyka — życia w niego już nie tchną. Lecz podanie z województwa Szomogy stanowi wyjątek. To jest specjał. Co więcej: modny artykuł. Odsuwa najpoważniejsze wnioski. Przywódcy różnych stronnictw ubierają się w zbroje, a publiczność przypuszcza szturm do kancelarii marszałkowskiej o bilety na galerię.

Lecz zanim jeszcze sprawa podania z województwa Szomogy weszła na obrady, właśnie poprzedniego dnia w mieście i w kołach politycznych rozeszła się wiadomość, że nastąpi interpelacja w sprawie Zrinyiego. Interpelację wniesie Agoszton Pulsky bezpośrednio przed rozpatrzeniem podań.

— Więc to jest po prostu zamówiona interpelacja.

— Możliwe. Bo dla rządu wygodniejsza jest interpelacja niż rozpatrzenie petycji. Interpelacja jest tylko pojedykiem. Rozpatrzenie petycji to już bitwa. Pojedynek jest tylko zabawą, szczególnie wtedy, gdy przeciwnika wybiera sobie ten, kto odpowiada na interpelację.

Następnego dnia o dziesiątej rano kuluary parlamentu zaludniły się, pulsowały, wrzały, kipiały życiem: Nyegre — którego Silagyi wysłał z apartamentów marszałkowskich, podobnie jak Noe

wysłał gołębia, żeby zobaczył, czy ktoś już tam jest — przyczłapał z powrotem:

— Ekszelencjo, wszyscy się zjawili, nawet chorzy i notorycznie nieobecni.

Przewodniczący jeszcze szerzej otworzył wielkie niebieskie oczy i pytająco spojrzął na urzędnika:

— Czy zwariowali?

— Sprawa Zrinyiego, wasza ekszelencjo.

— Bzdura! Historia ze Zrinyim od początku była rozdmuchana.

Potworzyły się rozgadane grupki ludzi, w zależności od tego, gdzie kto jadał kolacje: towarzystwo z Hungarii, ziemianie i różne inne. Głowa przy głowie omawiali świeże wydarzenia i ostatnie obserwacje.

— Co stanie się ze Zrinyim i jego ludźmi?

— Czego chce Gusti?

— Tego samego, co Banffy.

— Gdzie jest Geza Pap?

Mały kobold zjawia się natychmiast. Wszędzie, gdzie go tylko wspomną; żwawo jak jaszczurka prześlizguje się wśród tłumu: jego śnieżnobiałe drobne zęby błyszczą z daleka jak ziarenka ryżu.

— Musicie objąć inicjatywę w sprawie Zrinyiego.

Żeby opozycja nie mogła sobie z niej wykuć kapitału. Opat Molnar już to wziął w swoje ręce.

Przebiegła, słodka jak miód twarz opata Molnara wylania się z korytarzyka obok pokoju ministrów, gdzie Karol Eötvös przemawia właśnie przeginając się jak družba na weselu. Przekomarza się żartobliwie z opatem.

W tej chwili lekkimi krokami przysunął się do nich Dező Gromon.

— Słyszałem, że Boborowa również jest na galerii.

Ach, jakże piękne są te zygzakowate zakamarki i korytarze, niby gaje Olimpu. W każdym kątku mieszka inny bóg. W pokoju przewodniczącego parlamentu sam Wulkan ze swym ogromnym młotem. Biada temu, na kogo spadnie. W prawym korytarzu koczuje w otoczeniu wiernych przyjaciół Janus o twarzy patrzącej w przeszłość i w przyszłość. Tylko z rzadka, gdy zachodzą najważniejsze wydarzenia, zjawia się na sali obrad, gdzie wszystkim rządzą brwi Wulkana i gdzie huczy jego młot. Po drugim korytarzu spaceruje Tantal. Mali i wielcy bogowie przechadzają się, przystają, żeby zamienić z kimś parę słów, i coś naprawiają lub psują w losach śmiertelników.

Niektórzy otwierają swoje tabakierki tylko wtedy, gdy wpadają w gniew, inni zaś uchylają wieka puszek Pandory i wypuszczają z niej kłopoty. Wulkan z wyrafinowaniem przymruża oczy i broni się:

— Puszka Pandory, panowie, nie jest w moich rękach.

W pobliżu pokoju ministrów Eol i jego chłopcy budzą wiatry, gdy zbierają się w czasie spokojnego posiedzenia. Ciekawy jest tu każdy zakątek i ciekawe są tu nawet drobne postacie, które czołgają się, wałęsają i łażą, niektóre w czapkach frygijskich, inne w czapkach błazeńskich; są też i tacy, którzy podobnie jak Midas chowają wielkie uszy pod czapki; na wszystkich jednak pada jakiś blask od sąsiedztwa bogów.

Pochlebiają Apollinowi i mają nadzieję, że dzięki swej wytrwałości zdobędzie on Dafne, która przytulona, zamieni się w drzewo bobkowe. Jupiterowi składają ofiary z kadzidła i mirry; bo tu są pioruny i owe legendarne gary. Wulkan nie rządzi żadną partią, lecz wszyscy boją się jego młota i chcąc nie chcąc muszą koło niego tańczyć. Merkury choruje na gruźlicę, ale jego waga błyszczy, dopóki mu z rąk nie wypadnie. Jest to naprawdę Olimp, na który chciałby się dostać każdy śmiertelnik, szczególnie, gdy zrodziła go węgierska matka. Chociaż powietrze jest tam

zadymione i stęchłe, należy wchłaniać je jak wonną ambrozię, ponieważ oddychają nim także bogowie. Trzeba wokół bogów i mniejszych bożków odprawiać przedziwne nabożeństwa, chylić się, kłaniać i podlizywać. Lecz musi tak być, póki czarujące boskie wysłanniczki nie przyniosą pewnego dnia nagrody w swych frywolnych fartuszkach.

W tej chwili Silagyi wychodzi ze swojej nory i w otoczeniu pisarzy parlamentu i stronników niby wśród świty toruje sobie drogę przez tłum, wymachując ogromnymi rękami; ma ponurą, prawie uroczystą minę jak *speaker* angielski, który jest świadom tego, że czuje go ziemia, po której stąpa.

Wzdłuż drogi, którą przechodzą, budzi się cichy szmer. Tłum leniwych nierobów zgaduje:

— Dziś jest wściekły.

— Deżo jest zły.

— Nie chciałbym dzisiaj z nim gadać,

— Pytanie tylko, na kogo jest dziś zły: na nas, czy na nich?

Jednego dnia w taki skomplikowany, lecz nic nie znaczący sposób stwierdzają, że jest ponury, innym razem zaś, że ma dobry humor. I to jest także jedna z owych zabaw, które kupuje się za drogie pieniądze.

Za przewodniczącym wchodzi rój niestrudzonych słuchaczy przemówień; bezustanne słuchanie do końca tej masy głupstw, tej sieczki ze słomy i siana, to także jeden z rodzajów zabawy kupionej za drogie pieniądze, właściwie tylko wysokie ceny biletów wstępu dodają wartości tej skomplikowanej farsie. Mędrzy wcale nie wchodzi do sali, zostają w kuluarach. Są zdania, że można wysłuchać tylko trzech rodzajów mów: albo bardzo mądrej, z której można się czegoś nauczyć, albo bardzo pięknej, która sprawia rozkosz, albo bardzo głupiej, która rozśmiesza. Bo przeciętna mowa jest zupełnie bezwartościowa, a niestety prawie wszystkie mowy są tylko przeciętne. Pisma przedrukowują je jako wspaniałe, kolosalne, piękne, mądre lub wręcz zachwycające — zależnie od stopnia stronnicości — lecz w istocie większość tych biednych mów jest tylko właśnie przeciętna.

A więc otwiera się posiedzenie: następują różne komunikaty oraz odczytanie protokołów, rozpoczyna się tak zwana robota parlamentu. Posłowie, którzy zostali w kuluarach, jeszcze palą cygara i opowiadają różne sprawy zakulisowe, jeden wie to, a drugi tamto: składają razem to, co posiadają, i po pół godzinie wiedzą już wszystko, co więcej — z zebranych nici tkają nawet to, czego nie wiedzą.

Ci, którzy wychodzą z sali obrad, krótko, stylem telegraficznym, opowiadają swoje wrażenia.

— Właznicz ma bardzo smętną minę. Musi mieć jakieś kłopoty z Watykanem.

— Może papież wmieszał się do sprawy Zrinyiego?

— Rzeczywiście Boborowa jest na galerii?

— Oho, to trzeba zobaczyć.

Kilku panów odrzuca cygara i śpieszy na salę.

— Czy ładna?

— Piękna.

— Gdzie siedzi?

— W samym środku. Suknię ma koloru ametystu, a kapelusz ozdobiony kiściami bzu.

Przez ten czas od strony korytarza wciąż słychać kroki; nadchodzą nowi ludzie: Albin Czaky i György Czaky, żołnierz Zrinyiego, który nie jest zamieszany w całą sprawę, lecz teraz przyszedł tu wiedziony ciekawością i troską o towarzyszy.

Potem wpada Kalman Sell z ulizanymi gładko włosami i rozkłada delikatną białą chusteczkę, z której rozchodzi się zapach rezedy mieszając się z zadymionym powietrzem.

— Przyjeżdżam z Ratot — wyjaśnia — byłem tam tydzień i już dzieją się takie głupstwa. Kto



teraz przemawia?

— Jeszcze nikt.

— Pulsy wniesie interpelację?

— Pulsy.

— A co Banffy odpowie?

— Nie powiedział nam, choć gawędził tu z nami przed chwilą.

— Nie jesteście politykami — mówi Sell pogodnie i starannie składa rozłożoną chusteczkę. — W Dodonie Jupiter poruszaniem liści świętego dębu podawał ludziom do wiadomości swoją wolę...

W tej chwili na korytarzu ukazuje się jakiś mały kulawy mężczyzna i choć jest tu obcy, miesza się z kolorowym tłumem. Twarz ma gładką, głowę podobną do borsuczej i gruby łańcuch przy zegarku.

— Kto to jest? — pyta Kalman Sell. — Wydaje mi się, że go znam.

Nikt o nim nic nie wie — jeden Harkanyi go zna. Nawet z nim rozmawiał. Bo Harkanyi rozmawia z każdym, kogo tylko spotka, wszystko obejrzy, wszystko zauważy; opuka laską mury domów, by sprawdzić z jakiego są kamienia, pomaga materiały na ubraniach znajomych schylić się nad kieszeńią Kalmana Sella, aby powąchać jego chusteczkę i chwilę rozkoszować się cudzymi perfumami. Jest uprzejmy, żywy, miły i usłużny.

— Co, wy go nie znacie? *Sapristi!* Przecież to jest Mor Zrinyi z Ziemskiego Towarzystwa Kredytowego. Przed chwilą właśnie z nim rozmawiałem. Poszukuje posłów, którzy skłonni byłiby oświadczyć publicznie, że bank ich materialnie stoi na trwałych fundamentach, mimo że...

— Ach tak? Więc chodźmy dalej — mówi Kalman Sell — najważniejszą rzeczą jest, jak drgają liście świętego dębu. Widzicie, ja ani na chwilę nie tracę kontaktu. Zawsze trzeba uważać na liście i w ten sposób człowiek wie, czego chce Jupiter.

— A ja uważam, ekscelencjo — wtrąca Gyula Rosenberg, który jest także jednym z owych dębowych liści, lecz z tych jeszcze nie drgających — że Banffy odnosi się do Zrinyiego z największą dozą dobrej woli, ale wydaje mi się, że jego stosunek będzie przede wszystkim zależny od Siedmiogrodu.

— Ale, daj spokój. To szewc, który umie tylko naprawiać. Z nowej skóry nie potrafi uszyć butów. A to jest jakaś zupełnie nowa skóra. Ja przyznaję się, że chociaż ten biedny Zrinyi pozwolił sobie na śmiały wyczyn, nie pozwoliłbym go aresztować.

— Ja tak samo — odpowiedział Rosenberg.

— No, oczywiście to przez pokrewieństwo — droczy się Kalman Sell. — Rosenberg nie może być przecież wrogiem męża panny Rosenberg — Miklosza Zrinyiego.

Słyszając to György Czaky zrywa się i z uprzejmym pytającym spojrzeniem przedstawia się Rosenbergowi:

— Czy pan baron Rosenberg?

— Nie, doktor Rosenberg. — I potem znów zwracając się do Kalmana Sella — Jak się miewają pańskie krowy, wasza ekscelencjo?

— Uprzejmie dziękuję za zainteresowanie, właśnie wczoraj sprzedałem dwuletniego byka księciu Alençon.

Niby pszczoły, które ze wszystkich stron zlatują się do ula, nadchodzą różne rzadko pojawiające się osoby: dobrze odżywiony Hieronimi i wielce oburzony Matuska.

— ...Jednak to, co zrobił Zrinyi, przechodzi już wszelkie granice; czy nie mógł mieć dobrego radcy prawnego, który wytłumaczyłby mu, że co nie uchodzi, to nie uchodzi?

Potem zbliża się popularny Daranyi ze swoim landrynkowatym uśmiechem i chwyta Ferencza Kabosza za guzik od marynarki:

— Tak, tak, drogi Feri! Taki los spotyka tych, którzy nie słuchają rady starego Naciego.

— Co się z nim stanie, ekscelencjo? Czy zwolnią go?

Daranyi wzrusza ramionami i przykłada palec do ust:

— Hm, to tylko Bóg jeden wie.

Nie wiadomo skąd nagle zjawiają się też późno wstający hrabiowie Andraszy, a wraz z nimi do dusznych kularów wciska się świeży powiew. Zawsze wnoszą jakieś nowe pomysły. Zawsze wyskakują, żeby innych zorientować. — Robią to właśnie odwrotnie, niż zakonnicy w dawnych zegarach. Znikają, gdy jest pogoda słoneczna, i zjawiają się wraz z deszczem.

— Zrinyi mógł popełnić błędy — głosi hrabia Tivadar Andraszy — lecz zawsze pozostał dżentelmenem. I nie stracił ani odrobiny swego prestiżu. Rząd popełnił omyłkę, gdy średniowiecznego pana postawił na czele banku. A jego tam obrażano. Oczywiście Zrinyi nie mógł tego ścierpieć. To wszystko spada na sumienie rządu.

Teraz nagle ogłuszająco ostro zabrzmiały dzwonki elektryczne. Jeden z posłów uchylił drzwi i krzyknął:

— Panowie, interpelacja Pulskyego!

Wszyscy z kularów pobiegli na salę, korytarze stały się puste i ciche jak krypta.

\*

Pulsky: Prześwietna Izbo! Uważam za konieczne wyłuszczyć swoje poglądy w interesującej całą opinię publiczną sprawie, która ze względu na swój anormalny charakter, a poza tym w następstwie rozbieżności istniejącej między jurysdykcją a etyką, a także i z innych względów koncentruje na sobie uwagę tak kół prawniczych jak i całej opinii publicznej... („Słuchamy! Słuchamy!”)

Z góry pragnę zaznaczyć, że ani sztywne względy partyjne, ani tym bardziej pietyzm wpojony przez szkołę przy studiowaniu historii nie dają mi impulsu do niniejszego wystąpienia, lecz raczej uderzająca w oczy wyjątkowa okoliczność, która będąc przy rozważaniu tej sprawy jedynym dominującym punktem widzenia, nieodzownie koniecznym czyni wyciągnięcie pewnych konsekwencji. („Słuchamy! Słuchamy!”)

Sprawa ta, prześwietna Izbo, to sprawa hrabiego Zrinyiego i jego towarzyszy, sprawa, która jest obszernie komentowana w prasie i w szerokich kołach publiczności. Wszyscy wiemy o pożałowania godnych wypadkach, z których powodu nastąpiły wyżej wymienione aresztowania i naturalnie to wielkie przestępstwo, a nawet rozlew krwi...

Dr M e z e i: Nawet śmiertelny wypadek.

Pulsky: ...rozlew krwi połączony z wypadkiem śmierci może spowodować tylko jeden wyrok i to skazujący. („Słusznie!” — na prawym skrzydle.) Nie ulega również wątpliwości, że nasz kodeks karny pod tym względem jest jasny i ponieważ oczywistą rzeczą jest równość wszystkich wobec prawa, jedna tylko okoliczność zmienia pozorną bezprzedmiotowość zagadnienia; proszę więc o pozwolenie krótkiego wyłuszczenia jej, jeszcze przed przystąpieniem do właściwej interpelacji. („Słuchamy!”)

Ustawy, prześwietna Izbo, zawsze obowiązują generację, dla której zostały wydane, oraz wszystkie następne pokolenia, które ich nie zmieniają, nie są jednak ważne dla generacji, które żyjąc przed wydaniem tych ustaw, nie miały wpływu na ich tworzenie się zgodnie z istniejącym prawodawstwem, co więcej, ustaw tych nawet nie znały. (Prawica głośno klaszcze.) Miklosz Zrinyi jest synem innej epoki.

T h a l l y: Zawsze był brutalnym tyranem! To z jego rozkazu zabito Katzianera. \*

Pulsky: Tak, lecz nic mu za to nie zrobiono. To właśnie dowodzi, że żył w innej epoce, gdy wybaczano wiele takich czynów, które dziś zalicza się do kategorii wykroczeń lub nawet zbrodni. Nikt nie oskarżył Hunyadięgo o pogwałcenie tajemnicy korespondencji, gdy przejął list wojewody Brankovicza. \*\*

E ö t v ö s z: Króla Matiasza nie oskarżano o fałszerstwo za cinkotańską \*\*\* kwartę! (Ogólna wesołość.)

Przewodniczący: Proszę nie przerywać. Pulsky: Balasza i Bebek jak powszechnie wiadomo bili fałszywe pieniądze i wcale nie zostali za to ukarani przez ówczesne władze. Lecz w ogóle postępowanie jednostki z owych czasów nie może być sądzone według dzisiejszych ustaw i według obecnych pojęć, sugerowanych przez te właśnie ustawy. Nikt nie uważał przecież za złodzieja Apora, który bezprawnie przywłaszczył sobie koronę królewską Ottona, ani też Michała Telekyęgo, który wyłudził od cesarza Leopolda skrzynię srebra, za szantażystę, i nikt nie uważał za niegodnego osobnika hrabiego Czakyęgo, który będąc kochankiem Katarzyny Brandenburskiej obrabował tę lekkomyślną damę ze wszystkich kosztowności; wszyscy owi mężowie w swoich czasach byli uważani za bardzo zacnych i uczciwych ludzi! („Słusznie! Słusznie!” — głosy na prawicy.) Lecz gdybyśmy przenieśli ich postęпки do obecnej epoki, nie wzdragam się oświadczyć, że żaden członek prześwietnej Izby nie mógłby uważać ich za uczciwych. Co z tego wynika, prześwietna Izbo? To, że osobników tych, jeśli chodzi o sąd nad nimi, nie można przenieść z pewnej określonej epoki do innej. (Głośne przytakiwania na niektórych ławach prawicy.) Istnieje nierozzerwalny organiczny związek między ustawami a ludźmi, tak samo jak ustawy i prawa zwyczajowe nie dadzą się przesuwac w czasie; przytoczyć tu mogę, że gdybyśmy nasze poglądy mieli kształtować według ustaw świętego Władysława, bardzo dziwnie w ich świetle wyglądałaby nasza prześwietna Izba.

Zapytuję na przykład prześwietną Izbę, co by się dziś stało, powiedzmy, z opatem Janoszem Molnarem, który jest jednocześnie posłem, gdybyśmy go przenieśli do epoki króla Matiasza, lub gdybyśmy do naszej epoki przenieśli ustawy i poglądy z okresu tego króla i gdyby on podburzał ludność przeciwko władzy rządowej?

E ö t v ö s z: Zostałby ścięty.

Pulsky: A jak osądzono by pana posła Eötvösa, gdyby przyjął pieniądze za to, że komuś udzielił porady? To jest jedna strona zagadnienia, prześwietna Izbo, i idąc dalej po nici tych prawd filozoficznych i rozumowania prawniczego konstatujemy, że gdy były dowódca Sigetvaru, hrabia Miklosz Zrinyi, urodzony w roku 1508, bez własnej winy i z przyczyn niezależnych od jego woli oraz dzięki jakiemuś nie zbadanemu przez nas prawu natury półtora roku temu

\*Wódz armii węgierskiej za panowania Ferdynanda I; po przegranej wojnie z Turkami schronił się do zamku Zrinyich, gdzie został zamordowany.

\*\* Serbski despota; razem z Hunyadim brał udział w bitwie przeciw Turkom pod Warną, 1444.

\*\*\* Cinkota — miejscowość położona obok Budapesztu i sławna z tego, że jej mieszkańcy zwrócili się do króla Matiasza o przywilej, aby kwarta była u nich dwa razy większa niż w innych miastach. Król nadał im ten przywilej i rzeczywiście do XIX w. kwarta cinkotańska (jakkolwiek i cena) była dwa razy większa niż gdzie indziej.

zmarłychwstał — znalazł się w społeczeństwie, którego ustawy nie mogą tak sztywno obowiązywać jego jak innych, jeżeli weźmiemy pod uwagę, że przez pięćdziesiąt siedem lat w inny sposób i z innym poglądem na świat pełnił swoje obowiązki obywatelskie; lecz jeżeli my z lodowatą obojętnością odsuniemy od siebie te bezwzględnie ważne przesłanki, wówczas staniemy — muszę to podkreślić — wobec specyficznej sytuacji, na którą wszystkie osoby siedzące obecnie w więzieniu śledczym mogą się powołać, że mają oni obecnie po półtora roku, a osobników w tym wieku nie można karać. („Prawda, prawda!" — na prawym skrzydle. Poruszenie na skrajnej lewicy.)

Meslenyi: Niemowlęta w powijkach poćwiartowały akcjonariuszy banku! (Ogólna wesołość.)

Pulsky: Poza tym nie wolno nam, prześwietna Izbo, zapomnieć o wielkich zasługach patriotycznych, jakimi słusznie mogą się oni szczycić! Nie wolno nam zapomnieć, że Miklosz Zrinyi bohaterską śmiercią zginął za ojczyznę.

M a d a r a s: Zginął za cesarza Mikszę, był na jego żołdzie!

Meslenyi: Nie był honorowym człowiekiem!

Thaly: Samo to jest złym znakiem, że broni go Pulsky.

Przewodniczący: Przywołuję do porządku pana posła Meslenyiego.

Pulsky: Trzeba, by naród odnosił się do własnej historii z pietyzmem i by jej wielkim postaciom nie odmawiał należnej czci, a jeśli poszanowanie przodków i poszanowanie ustaw wejść w kolizję — trzeba, by znalazł wyjście, które w miarę możliwości nie naruszy ani jednego, ani drugiego. (Ogólna aprobat.)

Biorąc to wszystko pod uwagę mam zaszczyt wnieść do całego rządu następującą interpelację (czyta): Czy panu ministrowi sprawiedliwości wiadomo lub czy rządowi wiadomo, że Miklosz Zrinyi i jego towarzysze siedemnastego bieżącego miesiąca zostali aresztowani i zamknięci w areszcie śledczym?

Czy Rząd — ze względu na nadzwyczajne zasługi patriotyczne i historyczne tych osób oraz ze względu na pewne niezwykle okoliczności tej sprawy — zamierza wydać jakieś wyjątkowe zarządzenie?

Premier baron Banffy: Prześwietna Izbo! (Wielki hałas.)

Przewodniczący: Proszę zająć miejsca!

Premier baron Banffy: Niech prześwietna Izba pozwoli mi złożyć krótkie oświadczenie, jako odpowiedź na interpelację, którą usłyszeliśmy przed chwilą. Owszem, jest mi wiadomo, że Miklosz Zrinyi, były mieszkaniec Sigetvaru, oraz niektórzy członkowie ówczesnego a dziś już nie istniejącego tamtejszego garnizonu, zresztą stosunkowo nieliczni członkowie, zgodnie z tym, co oświadczył mój szanowny kolega poseł Pulsky — zostali aresztowani.

Prześwietna Izba doskonale wie, że nie mogło stać się inaczej, bo cóż by prześwietna Izba powiedziała, gdyby po wypadkach, które miały miejsce, nie nastąpiły aresztowania. A więc aresztowania te były zgodne z prawem, celowe i konieczne. („Tak jest!" — na prawicy.)

Jeśli zaś chodzi o drugą część interpelacji, to choć minister sprawiedliwości jest nieobecny, rząd w porozumieniu z nim rozważył specyficzne momenty, które interpelujący poseł podkreślił. (Żywa aprobat na prawicy.) I nie waham się oświadczyć, prześwietna Izbo — chociaż więcej teraz powiedzieć nie mogę, bo nie byłoby to celowe ani potrzebne, ani też mądre — że gdy śledztwo zostanie zakończone — nie wcześniej, lecz dopiero wtedy — rząd nie omieszka w swojej kompetencji poczynić takich kroków, które najbardziej będą odpowiadały uczuciom narodu węgierskiego oraz wymaganiom jego godności.

I v a n k a: To nie jest odpowiedź.

Premier baron Banffy: Ja to uważam za odpowiedź (Okrzyki z lewej strony: „Co więc chcecie

zrobić ze Zrinyim? Wypuście go, czy nie?“) i proszę prześwietną Izbę, by raczyła przyjąć to do wiadomości.

Banffy usiadł, a cała Izba zafalowała jak wzburzone morze. Na lewym skrzydle odezwały się pomruki niezadowolenia i to z różnych powodów. Zwolennicy partii niepodległościowej uważali, że rząd okazuje zbyt wiele dobrej woli w stosunku do Zrinyiego, narodowcy i ludowcy zaś uważali, że zbyt mało. Co więcej, wśród członków partii rządowej tylko najwierniejsi zwolennicy Banffyego wyglądali na zadowolonych.

Sprawa Zrinyiego, która na pierwszy rzut oka wydawała się bardzo prosta, zaczęła nabierać zupełnie specyficznych cech, co znowu stało się powodem osobliwych przegrupowań. Partia ludowa widziała w Zrinyim bojownika chrześcijaństwa, a właściwie katolicyzmu, i ubóstwiała go za to, że wyrznął tyłu pogan. Ten ostatni czyn Zrinyiego — posiekanie akcjonariuszy — jest także miły Bogu. Podobnie myśleli narodowcy (choć Apponyi jeszcze dotychczas nie złożył żadnego oświadczenia). Partia niepodległościowa natomiast uważała Zrinyiego za zwolennika cesarza Mikszy i austriackiego militarysty; po zmartwychwstaniu zaś oddał się pod opiekę rządu, przez co stał się tylko jednym z mameluków, jeżeli więc zawinił przeciwko ustawom, należy go ukarać tak, jak każdego zwykłego obywatela.

Zrinyi na ogół nie dużo utracił ze swego nimbu. Nic dziwnego. Bogowie Olimpu zostali zrzućeni z tronów za to, że czasami przebywali na ziemi wśród zwykłych śmiertelników. I gdyby inni wielcy bohaterowie historii powrócili na półtora roku na ziemię, ludzkość zburzyłaby bardzo wiele pomników.

Prawica także dzieliła się na obozy. Posłowie żydowscy oburzali się na Zrinyiego za rozlew krwi przy ulicy Nadora; Bekszicz uprawiał silną agitację, był rozżalony i chodził jak podminowany:

— Czy to jest demokracja? A co się stanie z niepokalanym sztandarem liberalizmu? Czy po to od dwudziestu lat piszę artykuły wstępne, żeby teraz panowie magnaci mogli bezkarnie mordować ludzi?

Sarkali również arystokraci, Andraszyowie i Czakyowie.

— To nie wystarczy. Należałoby złożyć do jego królewskiej mości podanie o umorzenie sprawy.

— I to niezwłocznie — przelicytował ich Bela Tallian.

Kalwini zgrupowali się przy barierze kompromisu:

— Ludowcy chcą ratować Zrinyiego? Dobrze, w takim razie my nie będziemy go ratowali.

Luteranie ukradkiem wyszli do kularów. Bóg wie, co będzie i jak będzie. Na skrajnej lewicy padały groźne okrzyki:

— Nie zgadzamy się!

— My też mamy coś do powiedzenia w sprawie petycji z Szomogy!

Powstał istny chaos wokół tej drobnej sprawy. Jakby jakaś rozbawiona wróżka gałązką pokrzywy dotykała wszystkich członków Izby. Posłowie kręcili się niespokojnie na swoich miejscach, zrywali się i wśród okropnego hałasu Pulsy zaledwie mógł oświadczyć, że z radością przyjmuje do wiadomości odpowiedź rządu.

— Nie przyjmujemy do wiadomości! — zagrzmiało nagle z wielu stron.

Przewodniczący: Niechaj wstaną ci, którzy przyjmują do wiadomości odpowiedź pana premiera!

— Większość! Mniejszość! — rozległo się naokoło.

Przewodniczący spojrzeniem fachowca prześliznął się po Izbie, a źrenice jego rozszerzyły się.

Czy to sen? Wstała tylko mniejsza część posłów prawicy. Kalman Tisa, Miksza Falk siedzieli; podobnie Albin Czaky, Andraszyowie i wielu szarych mameluków. Kalman Sell, Hieronimi i

Kalman Rado wstali. Syk zdziwienia przeleciał przez Izbę. Z partii narodowej powstał Apponyi, Horansky, Gullner i jeszcze ze czterech czy pięciu. Ludowcy powstałi co do jednego.

— Grzechotniki Rzymu! — wołał jakiś głos w mniemaniu, że to ludowcy syczą.

Konsternacja była wielka. Skrajna lewica szalała z radości. Baron Daniel, śmiertelnie blady, powlókł się do premiera. — Co za blamaż! — rzekł, bogobojnie krzyżując ręce na piersiach. — Co za blamaż! — Laslo Lukacz wciągnął głowę między łopatki i z boku obserwował nieopisany chaos. Wyglądało tak, jakby Belzebub zmieszał korzec jagły z kaszą jęczmienną.

Na twarzy premiera zakwitł tygrysi uśmiech, w którym było coś złowróbnego i mrożącego krew w żyłach. Stronnicy rządu z wielkim hałasem wybiegli na korytarz po pomoc, lecz nadaremnie; przewodniczący, który dumnie siedział na tronie jak Stefan Batory z obrazu Matejki, z drwiącym uśmiechem ogłosił decyzję. Wśród panującej ciszy brzmiała ona majestatycznie jak wstrząsająca wyrok nieba.

— Większość Izby nie przyjmuje do wiadomości odpowiedzi pana premiera. \*

Ministrowie opuścili swoje miejsca i zgrupowali się dla odbycia pośpiesznej narady.

Na to powstał ogromny hałas i zamieszanie. Posłowie wybiegli na środek sali.

— Żądamy przeprowadzenia imiennego głosowania!

— Już jest za późno!

— Decyzja została ogłoszona!

— To samowola ze strony przewodniczącego!

— Prosimy o pięć minut przerwy!

Przewodniczący: Zawieszam posiedzenie na pięć minut.

## XI

### ROZWIĄZANIE

Parlament nasz jest równie nieobliczalny jak nasz kraj. Nasz dobry parlament jest wiernym odbiciem tej kapryśnej pięknej kobiety, która w zbroi i z wielkim mieczem w jednej ręce a naszym pogodnym herbem w drugiej, uosobią Hungarię<sup>9</sup>.

Jest ona doprawdy nieco naiwną kobietą. Czasami gdy ofiarują jej bransoletę, odrzuca ją mówiąc: „Nie chcę, bo to łańcuch”, a czasami łańcuch uważa za bransoletkę. Czasami gniewa się za złe spojrzenie. Chwyta za miecz. A czasami nawet pozwala zdjąć z siebie szaty. Przed nosem swych wielbicieli zatrząskuje drzwiami. A wrogów przytula. Czy jest zalotna? Może nie. Czy jest namiętna? Może nie. Jest tylko kobietą. Jest taka jak każda kobieta.

Z powodu jednej szpilki do włosów czy kawałka frędzli wpada w złość: gdzie wpięto tę szpilkę? Jakiego koloru są frędzle? Lecz z nonszalancją wyrzuca przez okno miliony. Nie wie, co jest istotne, a co zbędne. Swoje fatalaszki przedkłada nad rzeczy potrzebne. A słowa piękne nad rozumne. Bo jest młodą kobietą. Nie jest Johnem Bullem, który na różnych morzach pali swoją fajkę opierając się na muskularnych pięściach, i nie jest starą Germanią, która robi pończochy na drutach i uczy swoje dzieci. Hungaria jest czarującą kobietą, która żyje własnymi uczuciami i modą i ani krzty nie przejmuje się tym, co będzie pojutrze.

\* W tym obrazku satyrycznym autor chciał poruszyć dwie rzeczy nie do wiary: jedną, że Zrinyi i jego towarzysze wstali z martwych, drugą, że mamelucy nie wstali z miejsc. Autor w tej małej notatce przeprasza kochanego czytelnika za te dwa absurdy. Kalman Mikszath.

Parlament Hungarii jest zupełnie taki sam. Jest on dzieckiem zrodzonym z jej duszy, chociaż nie urodziło się niepokalane, jakby należało — zawsze podejrzewa się o coś rząd (i to tym bardziej, im dzielniejszym jest chłopakiem) — lecz mimo wszystko to jej dziecko; ten parlament jest identycznie taki, jak gdyby został niepokalanie poczęty. W każdym calu wykapana matka.

Jest równie jak ona kapryśny, raz odrzuca dobre rzeczy, innym razem przyklaskuje złym, jest tak samo niepraktyczny, na ważne sprawy wzrusza ramionami, a czepia się drobiazgów.

Oto na przykład sprawa Zrinyiego. Drobiazg. Lecz parlamentowi właśnie z jej powodu zachciało się stanąć dęba. I od dziesiątków lat zjednoczone partie, których nie zdołały rozbić ani burze, ani dwuznaczne sytuacje, partie, które zawsze zgodnie głosowały, teraz nagle rozsypały się jak gałęzie rozrzuconej wiązki chrustu.

Odpowiedź premiera trzeba było postawić na porządek dzienny, co wywołało namiętną dyskusję o nieprzewidzianym wyniku, pełną niezdrowych objawów. Znalazły się w niej zagadnienia religijne, antysemityzm, reakcja, liberalizm, sprawa mniejszości narodowych i zagadnienie praworządności i wszystko, co pospadało z rozmaitych drzew.

Albowiem jeden z mówców partii liberalnej porównał cztery partie do czterech ustaw: jedno drzewo zawsze tylko kwitnie, lecz nie owocuje, drugie jest drzewem ozdobnym, lecz nie kwitnie i nie rodzi owoców, tylko programy; trzecie jest spróchniałe i połamane, nadaje się jedynie na opał, a na czwartym kołysz się mnóstwo owoców.

— Które wpadają do ust baszybuzuków \* wylegujących się pod tym drzewem — przerwał Janosz Hock.

W Izbie powstał niesamowity harmider; nerwowa, pełna podniecenia dyskusja, docinki osobiste, różne incydenty, z których rodzą się pojedynki i protokoły, a z nich nowe pojedynki. Z początku wyglądało to, jak gdyby dzieci pokłóciły się o kolorowe kuleczki; ale później kłótnia coraz bardziej się rozgrzewała, aż w końcu wszystko wrzało.

Gyula Györffy złożył projekt rezolucji, domagającej się, aby rząd natychmiast skierował do króla wniosek o umorzenie sprawy. Odczytał kilka fragmentów z gazety watykańskiej *Piccolo*, która wyraża najwyższe oburzenie, że Węgry swego największego bohatera narodowego wpakowali do ciupy.

Partia Ludowa z entuzjazmem oklaskiwała mówcę i demonstracyjnie głośno krzychała: „Niech żyje Zrinyi!”

— Oczywiście, bo i wy przychodzicie z krypt! — wykrzykiwał pod ich adresem Gabor Daniel.

W przeciwieństwie do Györffyeo Ferenc Kossuth postawił wniosek, by Izba przeszła nad tą sprawą do porządku dziennego. Ustawodawstwo nie zna i nie może znać wyjątków. W państwie praworządnym nie można tolerować ekstrawagancji. Poezja jest piękną rzeczą, lecz w komisjach kodyfikacyjnych nie zasiadają muzy. Gdyby prawdą była teoria o wędrówce dusz lub o wiecznej przemianie materii (a przecież chyba jedna z nich jest prawdą), moglibyśmy uważać że wszyscy jesteśmy zmartwychwstali i nie możemy wiedzieć, w którym z nas tkwi coś z Hannibala, Cezara czy Attyli. (Ogólna wesołość na prawicy.)

Dyskusja z początku wlokła się powoli. Przemawiali maluczcy proponując tysiące rozwiązań. Jeden z nich pragnął przekazać protokoły śledztwa specjalnej komisji parlamentarnej, drugi wynalazł jakieś dane historyczne, według których rzekomo Gaszpar Alapi w czasie bitwy o Sigetvar schował się w kominie i w ten sposób uratował życie. Zaprotestował przeciwko temu minister chorwacki Jozsipowicz, podkreślając, że rozgłaszali to jedynie wrogowie Alapiego i wieść ta dopiero później dostała się do kronik. Gdyby Alapi był takim tchórzem, z pewnością nie

\* Nieregularne wojsko tureckie, dzikie i niekarne.

zostałby mianowany banem Chorwacji.

— Dlaczego pan go broni? — wtrącił Thaly — przecież nie pan podpisywał jego nominację.

Przytoczono wiele bzdur, postawiono kilka śmiałych teorii z dziedziny prawa karnego (gdyby Czemeği je słyszał, wyskoczyłby ze skóry). Tymczasem wciąż rosła lista nazwisk u protokolanta. Siedemdziesiąt osób zapisało się do głosu i dyskusja zaczęła zataczać coraz szersze kręgi.

Przylączyła się do tego ulica. Ulica mów się poruszyła, Wielkie tłumy na ulicy Szandora oczekiwały przybycia posłów i mimo kręcącej się policji obficie darzyły ich okrzykami „precz“ i „niech żyje“. Ulica stała po stronie Zrinyiego i często w tłumie słyhać było okrzyki:

— Chodźmy uwolnić Zrinyiego!

Grupy gapiów obległy zresztą nie tylko ulicę Szandora; nawet drzewa parku koło Muzeum niczym wróble obsiedli terminatorzy szewscy i wołali: „Precz!“ Całe miasto wrzało; młodzież naradzała się w kawiarniach i wygłaszała mowy (Michał Herceg zaś siedział przy biurku i pisał artykuły); na ulicach sąsiadujących z Muzeum tłum wzrastał jak lawina i przybierał groźną postawę, a w sercach ludzi koncentrowały się dążenia całego narodu do uwolnienia Zrinyiego.

W mieście panował nastrój taki, jak podczas dyskusji o siłach zbrojnych kraju.

Kupcy w biały dzień pośpiesznie zamykali sklepy. Bo w takich sytuacjach entuzjazm patriotyczny jest groźny przede wszystkim dla szyb wystawowych.

Posiedzenia parlamentu rozszerzały się właściwie aż na ulicę, bo gdy któryś z mówców wykrzesał ze swego mózgu jakieś pięknie brzmiące zdanie, obiegało ono kuluary, z kularów pędziło na ulicę i tam z ust do ust dochodziło aż na dalsze przecznice, skąd odpowiadało mu echo:

— Rozwalić więzienia!

— Uwolnić Zrinyiego!

Jakiś stary szewc zawołał:

— Ja już uwalniałem Michała Tanczicza \*. Jak Boga kocham, to nic nadzwyczajnego!

Powietrze przepojone było fosforem. Była to istna mała rewolucja. Bardzo jeszcze malutka, lecz ordynarnie wymyślający policjanci i groszowe gazety sztucznie ją tuczyli, tak że rozrastała się w oczach.

Kuluary parlamentu były ruchliwe i barwne. A cóż dopiero galeria, którą po brzegi wypełniały piękne kobiety. Stroje ich lśniły wszystkimi kolorami tęczy. Lecz przeważały odcienie rubinu i szmaragdu. To są panujące teraz kolory. Biała lilia w czarnej sukni na prawej galerii to Juraniczowa, jakaż jest smutna i delikatna. Dziwne, że nie ma tu dzisiaj pięknej Boborowej. Przecież z pewnością będzie przemawiał Apponyi. Popatrzcie na te małe uśmiechnięte kontesy, jak ciekawie wyciągają szyje! Kogo też chcą dojrzeć? Jak rozpędzają wachlarzami i delikatnymi koronkami chusteczek subtelny zapach, który zlatuje w dół na skrzydłach wiatorku i drażni nos pogrążonego w drzemce Teofila Fabinyego! Dalej widać roześmianą grupę trzech pięknych niewiast. Wszędzie, gdzie oko sięgnie, istny klomb różany. Ach, nie ma wątpliwości, że Apponyi będzie dziś przemawiał.

W kularach rozchodzi się wiadomość, że Polonyi ma zdemaskować sprawę więźniów w tajemniczej piwnicy przy ulicy Nadora, a szczególnie to, że jakoby rząd wiedział o tych machinacjach. Ach, to dopiero pyszny kąsek, będzie musiał wspomnieć o uwięzieniu Bobora i o przyczynie tego uwięzienia, jego pięknej żonie.

Możemy być przygotowani na pikantne szczegóły. Mówią, że Polonyi zażąda tajności obrad. Ej, czy będzie miał sumienie wyrzucić z galerii tyle pięknych kobiet?

\* Węgierski rewolucjonista, chłop z pochodzenia, wyzwolony z więzienia przez Młodzież Marcową 15 marca 1848 r.



Kuluary przedstawiają żywy, rozgorączkowany obraz; od czasu do czasu na krótką chwilę przerywa to tylko jakiś mówca, po którym wszyscy spodziewają się ciekawych wiadomości. Lecz całe zagadnienie tutaj żyje, tu się decyduje i tu komplikuje z minuty na minutę.

Premier wściekle gryzie cygaro i gderliwie żali się swoim zwolennikom:

— Tak rozdmuchać podobną bzdurę...

— Już niejeden człowiek udławił się małą ością.

— Lecz czym to się skończy?

Premier obojętnie wzrusza ramionami:

— Przecież Izba jeszcze sama nie wie, czego chce, nawet diabeł w tym się nie wyzna.

Kalman Sell rozplywa się w serdecznościach i co chwila kogo innego odwołuje do jakiejś niszy pod okno. Jest on tym, który bezboleśnie potrafi wyrywać jadowite żądła. Peter Matuszka podziwia go z daleka i chwali wobec stojących w pobliżu:

— Sell to cudowny człowiek, jedno słowo szepcze rebeliantowi i puszcza mu w ucho jedną pchłę, od której tak tańczy (człowiek, a nie pchła), jak on gwizdże.

Wszyscy są podnieceni i zdenerwowani, tylko generał siedzi spokojnie i obojętnie na swym zwykłym miejscu naprzeciw kominka i wcale nie tai, że jest przeciwnikiem wszelkiej interwencji w sądzie, zarówno ze strony parlamentu jak opinii publicznej czy też rządu.

Posłowie co chwila wchodzą i informują:

— Przemawia Moczy.

Na co starszy pan albo lekceważąco macha ręką, co oznacza, że nie interesuje się tym, albo mówi: „No?” i to oznacza: „Niechże się dowiem, co mówi”.

Pyta dwóch czy trzech wychodzących z sali, kontroluje ich słowa, porównuje, co powiedzieli, i w ten sposób siedząc na miejscu wytwarza sobie nie tylko całkowity obraz posiedzenia, lecz także zbiera dla siebie informacje o zdolnościach zapytywanych ludzi. Dlatego wszystko wie.

Gdy ktoś sygnalizuje wielkiego mówcę — jak na przykład w tej chwili: „Zaraz będzie przemawiał Apponyi”, generał gniewnie, powoli, z trudem, zbiera się do wstawania i przede wszystkim szuka gdzieś wysoko miejsca dla swego na pół wypalonego cygara, aby zwykły śmiertelnik nie mógł go zabrać, a potem wlecze się „na brzeg lasu”, bo nie ryzykuje dalekiej drogi i woli przycupnąć na skraju prawicy, aby w każdej chwili móc powrócić do swojego cygara.

— Apponyi będzie przemawiał!

Kuluary pustoszeją. Apponyi wstaje, zapada głęboka cisza. Stoi i przez sekundę czeka, aż posłowie ze straszliwym hałasem usadowią się w ławkach. Ma właśnie dosyć czasu, aby rzucić okiem na swoje mankiety i sprawdzić, czy oba jednakowo wysuwają się spod rękawów ciemnej marynarki, potem spojrzeć na chusteczkę, której czterocentymetrowy biały skrawek powinien wystawać z kieszonki. Wszystko to jest potrzebne do wzlotu; potem rzuca okiem na galerię, z której kiwają główkami blondynki i szatynki — i gdy galeria, chusteczka i mankiety są w idealnym porządku — rozlega się jego piękny głos i napełnia salę majestatycznymi falującymi dźwiękami:

Hrabia Apponyi: Prześwietna Izbo! Przeciwno pożałowania godnemu systemowi, który doprowadza do labiryntu na pół wykończonych prac i na pół wykonanych zadań, od dziesiątków lat toczy się na tych ławkach walka; niezmordowanie, nigdy nie upadając na duchu wciąż na nowo podkreślamy, że właściwe rządzenie narodami nie powinno polegać na sztucznym omijaniu splecionych węzłów, lecz na ich całkowitym rozwiązaniu.

Nie stosowanie tego rodzaju polityki powoduje takie incydenty jak ten, który od kilku dni zajmuje prześwietną Izbę rozbudzając i wciągając do walki namiętności, które dotychczas objawiały się tylko w ukryciu. To jest właśnie charakterystyczne dla kryzysu, prześwietna Izbo.

Nie chodzi tu o sprawę Zrinyiego, sprawa Zrinyiego jest tylko ramą, w której objawia się kryzys. Gnębi on nas od wielu lat, bo straszliwie drżymy przed rozpoznaniem go, bo jego istotnych elementów odpowiednie czynniki zwalczyć nie chcą, nie umieją lub nie śmiać, i leków na jego usunięcie nie znają, lub nie umieją, względnie nie mają odwagi stosować (okrzyki z niektórych ław lewicy: „Nie mają odwagi!”), dlatego usiłuje się ubocznymi kryzysami odwrócić uwagę opinii publicznej od istoty wielkiego i prawdziwego kryzysu. (Głośne oznaki uznania na lewicy.)

Zresztą sam fakt, że większość Izby nie przyjęła do wiadomości odpowiedzi premiera, postawiłby każdy rząd posiadający własną godność przed alternatywą przewidzianą w konstytucji — czy wolno mu utrzymać się przy władzy, czy też nie, bo brak zaufania w małych sprawach bardziej obciąża szalę rozwiniętych uczuć konstytucyjnych niż brak zaufania występujący przy wielkich sprawach. (Lewica głośno wyraża zadowolenie.)

Chociaż ja osobiście, pod wpływem wzniosłych uczuć patriotycznych, które rozpalają się w sercu każdego Węgry na wspomnienie imienia hrabiego Miklosza Zrinyiego, z całą lojalnością przyjąłem odpowiedź pana premiera — bo z dwojga złego lepiej jest, jeżeli coś się dzieje, niż gdy w ogóle nic się nie dzieje — chociaż, powtarzam, ja z mojej strony przyjąłem do wiadomości odpowiedź pana premiera, która obiecuje nieco ulżyć pożałowania godnej sytuacji, w jakiej znalazł się ów wielki bohater historyczny — bynajmniej nie uważam odpowiedzi tej za zadowalającą.

Moim zdaniem, prześwietna Izbo, tkwimy w wielkim zakłamaniu i zamieniamy oskarżonych, zwracając się do zbrodniarzy o poparcie dla niewinnych. (Na prawicy spokój.) Bo gdy rząd, który stosuje połowiczne wykonywanie zadań według wspomnianego przeze mnie systemu, postawił Zrinyiego na czele banku — chociaż wiedział, że brak mu wszelkich potrzebnych kwalifikacji — przypieczętował los tego wielkiego męża.

Minister Właszicz: Holendrzy sami go wybrali. (Drwiące okrzyki z lewicy: „Jako fachowego ekonomistę!”)

Hrabia Apponyi: Francuzi i Anglicy mają zwyczaj angażować portierów dla wielkich ludzi, którzy nie posiadają majątku.

Wy, panowie, zaprowadziliście Miklosza Zrinyiego na skałę tarpejską i nie zrzuciliście go stamtąd, bo do tego potrzeba pewnego rodzaju odwagi, lecz ulokowaliście go w takim miejscu, z którego sam bezwzględnie musiał stoczyć się w przepaść. (Frenetyczne oklaski i objawy uznania.) Tego rodzaju życzliwość rządu jest bardziej szkodliwa niż zła wola i mógłbym, prześwietna Izbo, przytoczyć wiele przykładów (niepokój na skrajnej lewicy), że taka dobrotliwa opieka już nieraz zdarła pozłotę z największych nazwisk historycznych. (Głośne wyrazy uznania na niektórych ławach lewicy i skrajnej lewicy.) Lecz jeżeli mam wierzyć słowom szanownego pana ministra Właszicza, którym zresztą wierzę, że holenderska grupa finansistów bez niczyjego wpływu, z własnej nieprzymuszonej woli postawiła Zrinyiego na czele tej instytucji finansowej, obowiązkiem rządu było udaremnić ten zamiar. Nie ulega wątpliwości, że rząd zaniedbał tego, bo przecież powinien wiedzieć, że w tym wspaniałym rycerzu z okresu renesansu obok najpiękniejszych zalet i najszlachetniejszych cnót tkwią takie zwyczaje i wady, które człowieka stojącego na czele tego rodzaju instytucji muszą prędzej czy później doprowadzić do katastrofy.

Premier baron Banffy: Ja w nim tych wad nie widziałem.

Polonyi: A o zakuciu w łańcuchy pułkownika Bobora także pan nie wiedział? (Na sali poruszenie i oznaki niepokoju.)

Hrabia Apponyi: Lecz nie chcę zapuszczać się w niepotrzebne dysertacje; nie zamierzam omawiać wszystkich szczegółów tej sprawy, które dotychczas zasnuwa mgła („Słuchamy! Słuchamy!”), nie zamierzam uchylać zasłony i nie zamierzam kolejno wyliczać wszystkich zaniedbań i zatuszowań, które jak czerwona nić przewijają się przez całą działalność obecnego

rządu; chcę tylko wskazać fakt, za który słusznie musimy się rumienić, tak jest, podkreślam to, i muszę użyć tego druzgocącego wyrazu, prześwietna Izbo, który poniża nas w oczach całej Europy: że hrabia Miklosz Zrinyi, wybitna postać naszej historii — któremu nasz dostojny król kazał postawić pomnik, a cesarz niemiecki gloryfikował go płomiennymi słowami jako wieczysty symbol bohaterstwa i miłości ojczyzny — dziś pozbawiony osobistej wolności, spędza dni w ponurym więzieniu ku wstydu Węgier i oburzeniu całej cywilizowanej ludzkości. (Głośne okrzyki. „Tak jest! Tak jest!“) I pytam: Kto jest autorem tego ponurego i pouczającego dramatu? — Panowie milczą. Uważam to głębokie milczenie za odpowiedź, lecz pytam ponownie: Co stanie się w rękach tych ludzi z krajem nękanym piętrzącymi się trudnościami, w rękach, w których tak rozpada się i kończy jaśniejąca przez wieki wspaniała kariera? (Poruszenie na prawicy, wyrazy uznania i oklaski na lewicy.)

Pójdę dalej. Dojdę do tego, prześwietna Izbo, że jeżeli tak po prostu, na zimno, bez przejawiania i bez komentarzy, zadamy pytanie, czy wolno było Zrinyiego aresztować — biorąc pod uwagę to, że nie jest on częścią dzisiejszych Węgier i dzisiejszego społeczeństwa, lecz wcześniejszych Węgier i wcześniejszego społeczeństwa, na to pytanie w każdym razie będziemy musieli odpowiedzieć negatywnie i musimy skonstatować, że mogło się to stać tylko przy takim rządzie, w którym zamarło czy też stępiało zrozumienie wolności, a zwłaszcza wolności osobistej. (Głosy na lewicy: „To prawda!“)

Jeżeli wolno mi wyjaśnić moje stanowisko, które zasadniczo różni się od zdania pana posła Pulskeyego — chociaż chętnie przyznaję, że argumentacja jego obfitowała w smakowite, powiedziałbym, pikantne szczegóły, co więcej, przyznaję słuszność niektórym jego uwagom — powiem, że moim zdaniem inną argumentacją musimy poprzeć nie dającą się obalić tezę wykluczającą w ogóle możliwość zastosowania kary. („Słuchamy! Słuchamy!“)

Powszechnie wiadomo, prześwietna Izbo — żeby wyrazić się przystępnie — że przedstawiciele obcych mocarstw korzystają z prawa eksterytorialności, czyli że z punktu widzenia karalności uważa się ich za nie będących tutaj. *De facto* są co prawda tutaj, lecz *de jure* są za granicą. No, więc teraz, prześwietna Izbo, podobnie jak wobec tych osób stosujemy prawo eksterytorialności przestrzennej — na podstawie tej samej jurysdykcji, opierając się na tych samych przesłankach fikcyjnych, Zrinyi i jego towarzysze powinni korzystać z eksterytorialności czasowej, czyli powinni być wyłączeni spod rygoru prawa na podstawie ekstemporalności. (Głosy na lewicy: „Słusznie! Tak jest!“) Widzę na twarzy pana posła Chorina sarkastyczny uśmiech, lecz nie czuję się tym zmieszany, bo sam fakt, że pojęcie ekstemporalności nie było dotychczas znane w kodeksie karnym, wszyscy mogą uważać za bardzo naturalny, nawet pan poseł Chorin, jeżeli uzna absolutną ścisłość twierdzenia, że kryminalistyka dotychczas zajmowała się jedynie przestępstwami współczesnych. (Na lewicy żywe wyrazy uznania.)

Ze względu na przytoczone argumenty w całości i w szczegółach potępiam postępek rządu; uważam za bezprawne, niewłaściwe, niesłuszne, a nawet za haniebne aresztowanie hrabiego Zrinyiego i jego towarzyszy i kwalifikuję to jako niebezpieczne potknięcie spowodowane niezdolnością wzniesienia się ponad przyziemne rozumowanie; z całą energią i przekonaniem protestuję przeciw hańbiącemu policzkowaniu pietyzmu narodowego i przyjmuję projekt rezolucji posła Györffyego. (Na lewicy gorące oklaski.)

Mowa Apponyiego — jak zresztą wszystkie jego przemówienia — wniosła do dyskusji nowy temat, problem ekstemporalności. Obecni w izbie prawnicy wstawali jeden po drugim, by atakować śmiałą teorię i przegadali całe posiedzenie. Niestety ramy powieści nie pozwalają na powtórzenie tych mów, chociaż tu i ówdzie wśród wielu snopków słomy znalazło się i czyste ziarno pszenicy.

Następnego dnia Polonyi przedstawił dane demaskujące działalność Zrinyiego. Posiedzenie

było bardzo burzliwe. Tylko Bogu jednemu wiadomo, skąd wziął te dane, ale wiedział o wszystkim, a nawet wiedział więcej, niż działo się w rzeczywistości. Miał przed sobą stertę dokumentów dowodowych, telegramy, listy, zeznania, oświadczenie portiera banku i długi list kupca drzewnego, w którym ten opisał historię swego uwięzienia.

Minister Percel wtrącił:

— Nic nie wiem o tym wszystkim. Może to się śniło szanownemu panu posłowi?

Lecz Polonyi nie jest człowiekiem, którego można zastraszyć; artystycznie inscenizuje każdą swoją mowę i właśnie przy odpowiednim fragmencie zjawił się na galerii pułkownik Karol Bobor w towarzystwie Pazmandyego, mówca więc mógł wykrzyknąć, z patosem wskazując na galerię:

— Oto właśnie wchodzi jedna z ofiar.

Oczy wszystkich zwróciły się w stronę, gdzie wychudły, schorowany pułkownik siadał ze swoim impresario.

— Lecz powiem więcej, prześwietna Izbo — ciągnął dalej Polonyi — mam dowody na to, że rząd wiedział o więźniach w piwnicy bankowej i na zamkniętej konferencji w klubie liberałów radził Zrinyiemu, by uwolnił ich, bo to się źle skończy.

Rząd jest współwinny. Rząd jest głównym poplecznikiem. I to nie tylko jeśli chodzi o tuszowanie całej sprawy, ale także i w innych rzeczach. Nie chcę jednak zbyt wstrząsać nerwami Izby przez opisywanie faktów, którym podobne nie zdarzyły się w cywilizowanej Europie środkowej od czasów machinacji Elżbiety Batory, i śmiem również twierdzić, prześwietna Izbo, że należałoby trochę pokopać w owej piwnicy, by znaleźć stertę ludzkich kości. Bo my wiemy tylko o tych, którzy stamtąd wyszli na światło dzienne, ci zaś, którzy nie wyszli, doskonale umieją milczeć. Równie dobrze jak rząd.

Dreszcz grozy przeleciał po plecach ojców narodu, sprawa Zrinyiego stała gorzej niż wczoraj, a sytuacja rządu popsukała się zupełnie.

Po mowie Polonyiego rozbrzmiały burzliwe okrzyki ze skrajnej lewicy:

— Chcemy wypowiedzi rządu! Niech się broni!

— Czy zarzuty są prawdziwe, czy nie?!

— Niech podadzą się do dymisji!

Dzwonek niespokojnie brzęczał, niemal płakał w ogólnym hałasie. Premiera nie było, a inni członkowie gabinetu nie śmieli zabrać głosu. Sprawa diabelnie delikatna. Wielcy mamelukowie lub — jak ich Silagyi drwiąco nazwał — „ludzie z galarety”<sup>1</sup> siedzieli zdruzgotani w pierwszych ławkach, wokół miejsca, które ongiś zajmował Deak.

Stary Kalman Nako z beznadziejną miną powlókł się na korytarz i rzucił swoją śmieszoną niemieczyzną:

— *Das ist a 'kapitale Tumhajt!* \*

W kuluarach przechadzali się mamelukowie i kilku ministrów. Czekali na Banffyego. Gdzie on może być tak długo? Z ulicy dochodził szum niby wzburzonego morza. Ulica wciąż jeszcze była za Zrinyim. Co chwila napływały hiobowe wieści. Na jednej z ulic policja szablami rozpedzała tłum; poraniono dwóch studentów prawa. Wieczorem odbędzie się wielka demonstracja przed klubem.

— Przecież to właśnie jest piękne — zauważył Justh, który zbierał pieniądze na koszty podróży Bobora z Monte Carlo — że lud stoi za Zrinyim, a Izba przeciwko Zrinyiemu, rząd zaś ma do wyboru, w którą stronę zrobić krok i w której wodzie się utopić.

\* To jest zupełna głupota (niem.). Prawidłowo powinno być: *Das ist eine kapitale Dummheit!*

— A przecież rząd bezwzględnie musi dziś złożyć oświadczenie.

— Boborowa na galerii zemdląca, gdy zjawił się jej mąż — opowiadał hrabia Geza Teleki — przenieśliśmy ją do kancelarii marszałkowskiej i tam cuciliśmy.

— Koniakiem?

— Idźże, wariacie!

W izbie czekano na następnego mówcę. Będzie przemawiał Karol Eötvös. Jego też trzeba posłuchać. Jeden poseł wybiegł przed bramę zobaczyć, czy Banffy już idzie. Wciąż go jeszcze nie widać — lecz chyba nadejdzie w czasie przemówienia Eötvösa.

Posłowie z kuluarów znowu przenieśli się na salę obrad.

E ö t v ö s z: Prześwietna Izbo! Od kilku dni toczy się dyskusja w błahej właściwie sprawie. Partie są tak zdezorientowane, jak gdybyśmy budowali wieżę Babel. Wszyscy przynoszą tynk, lecz nikt nie myśli o tym, że brak fundamentów i że nie ma cegieł; rząd pertraktuje z każdym, kto mu wpadnie pod rękę, zwraca się o poradę do każdego krzaka i drzewa, jak zepsuta brona zahacza każdą grudę, ze dwie odrzuca na bok, lecz ani jednej nie potrafi rozkruszyć. O co właściwie chodzi, prześwietna Izbo? O świętej pamięci rycerza Miklosza Zrinyiego, który zginął bohaterską śmiercią w bitwie pod Sigetvarem i którego szczątki zmieszane z matką ziemią dają życie trawom i drzewom, którego dusza żyje w naszych duszach, a sława żyć będzie po wsze czasy (Głośne wyrazy uznania).

Lecz panom to nie wystarcza, panowie postarali się o Miklosza Zrinyiego w postaci żywego człowieka, (Ruch na sali) nie wiem, skąd panowie go zdobyli, w jaki sposób przyszedł i kim jest. Wiem tyle tylko, że to nie on; bo on umarł (Wielki niepokój na sali). Wiem, panowie twierdzicie, że to on. A dlatego tak mówicie, że lubicie rzeczy godne podziwu. Poza tym został uznany przez jakąś komisją i przez papieża („Tak jest! Tak jest!“). Ale czy ktoś widział dawnego Miklosza Zrinyiego, żeby mógł rozpoznać obecnego? Bo ja nie widziałem. I papież go także nie widział. Pewnie nie widział go także baron Daniel. Lecz gdyby nawet widział, tak samo nie potrafiłby go rozpoznać. (Ogólna wesołość na sali.)

Prześwietna Izbo, bardzo wysoko cenię legendy, lecz tylko te, które tworzy lud, nie zaś te, które stwarzają księża. I tamte też trzeba przyjmować, bo pięknie są rymowane i bardzo tanią siłą zbrojną stanowią polegli legendarni rycerze księcia Czaby, którzy zawsze zjawiają się, gdy ojczyzna jest w niebezpieczeństwie i walczą w naszych szeregach, lecz gdyby pan poseł Lajos Lang zechciał, mógłby powiedzieć na podstawie danych statystycznych, że w czasie walk 1848 i 49 roku w szpitalach austriackich nie spotkano ani jednego żołnierza zranionego przez rycerzy owego księcia Czaby. (Ogólna wesołość.) Legendy są więc legendami i słowo Watykanu jest ważkim słowem, świętym słowem, lecz ten, kto dokonuje rozpoznania, musi znać osobę, którą ma rozpoznać w drugiej; Watykan zaś nic nie widział, a jednak rozpoznał.

M o l n a r: Watykan działa z natchnienia boskiego.

E ö t v ö s z: Tak? Dlaczego więc Watykan nie rozpoznał w swoim czasie Esterki Szolymoszy, kiedy mieliśmy z nią tyle kłopotu? A przecież ona była rzeczywiście sobą. Ale powiem wam, dlaczego Watykan uznał teraz Zrinyiego, choć to nie jest Zrinyi. (Niepokój na sali. Hałas.) Bo Watykan czuje, że księżom bardzo potrzebny jest jakiś nowy cud. (Wielki hałas.)

Głośne sprzeciwy.) Za czasów, gdy byłem prokuratorem w województwie Vesprem \*, prześwietna Izbo...

Przewodniczący (dzwoni): Proszę wysłuchać mówcy. Zresztą mówca dobrze zrobi, jeśli nie będzie celowo poruszał faktów już zaistniałych i ogólnie przyjętych, chociażby sam w nie wątpił.

E ö t v ö s z : Dobrze, prześwietna Izbo, zastosuję się do uwagi przewodniczącego. Mogę zresztą przyjąć, że Miklosz Zrinyi jest rzeczywiście Mikloszem Zrinyim z Sigetvaru, chociaż dopiero wtedy zacznę wierzyć w cuda, gdy pan minister Erdely przedstawi Izbie wojskowy kodeks karny. (Ogólna wesołość na sali.) Lecz zgódźmy się, że Zrinyi jest rzeczywiście z krwi i kości, z duszy i ciała tym samym Zrinyim; ja w takim razie byłbym skłonny, tak samo jak panowie posłowie Pulsy i hrabia Apponyi, zgodzić się w drodze wyjątku, żeby w stosunku do niego stosowane były zwyczaje i ustawy z XVI wieku: jeśli Zrinyi ma wewnętrzne przekonanie, że postąpił jak szlachcic i wielki pan, możemy mu to darować, bo nic nas to nie kosztuje, a jemu sprawi radość — lecz, prześwietna Izbo, tu nie chodzi o Miklosza Zrinyiego, ale o kilku bezprawnie uwięzionych obywateli XIX wieku, o półciartowanego bankiera, o wielu ciężko rannych, którym państwo jest obowiązane udzielić opieki według ustawodawstwa XIX wieku. („Tak jest, tak jest“) Państwo nie może teraz podejść *post factum* do pułkownika Bobora i powiedzieć: „Panie, za przebyte cierpienia udzielię panu zadośćuczynienia według ustaw z XVI wieku.”

Tym bardziej państwo nie może rozmówić się ze zmarłym bankierem: „Czy pan pozwoli, że pańską śmierć pomścimy według zwyczajów XVI wieku?” Bo jeśli dusza bankiera nie jest tak uprzejma jak za czasów, gdy chodziła w swojej ziemskiej powłoce, to o północy może udusić pana ministra sprawiedliwości.

W tej chwili przez szerokie drzwi wszedł Ferenc Fenyvessy, jak zwykle z goździkiem w butonierce. Wymachując białą chusteczką zawołał:

— Król ułaskawił Zrinyiego!

— Niemożliwe!

— To fakt. Banffy jest tu na korytarzu. Właśnie w tej chwili dostał telegram z Wiednia.

— Niech żyje! Niech żyje!

Wiadomość jak płomień rozchodziła się po wszystkich ławach, zauważono to nawet na galerii i powstało gorączkowe poruszenie. Posłowie wybiegli na korytarz, pozostawiając osamotnionego Eötvösa, który właśnie w tej chwili zaczął nowe *a linea*:

E ö t v ö s z : Prześwietna Izbo! Gdy byłem prokuratorem w województwie Vesprem...

Na korytarzu tłum otoczył Banffyego i tych, którzy już widzieli telegram z Wiednia. Wkrótce wiadomość doszła także na ulicę i po chwili niby coraz bardziej oddalający się grzmot podziemny zabrzmiał okrzyk:

— Niech żyje król!

\* W okresie gdy Karol Eötvös, znakomity węgierski prawnik, był prokuratorem województwa Vesprem, kwitła tam prowokacja antyżydowska, popierana i szerzona przez nacjonalistów i kler. Prowokacja polegała na tym, że zabójstwo Esterki Szolymoszy ogłoszono jako mord rytualny. Opowiadano, iż zabili ją Żydzi, aby krew jej użyć do wyrobu macy wielkanocnej. Proces poruszył nie tylko całe postępowe Węgry, lecz całą postępową Europę. Sprawa ciągnęła się wiele lat. Wielokrotnie dochodziło do krwawych zająć antyżydowskich, podsycanych przez reakcję i kler.

Mimo wielokrotnej interwencji postępowych Węgrów i Eötvösa, Watykan milczał i nic nie zrobił, by obalić wrogą i tak bardzo szkodliwą plotkę. Mikszath w prasie i w parlamencie występował w obronie słusznej sprawy, odważnie i konsekwentnie popierał Eötvösa i obóz postępowy, (przyj. tłum.)

Cizba podążyła w stronę ulicy Konstytucji, gdzie byli zamknięci Zrinyi i jego towarzysze. Lecz spóźniła się. Więźniowie byli już na wolności.

Jak doniosły wieczorne gazety, dokładnie w południe otworzyły się wrota więzienia. Tłustymi literami podano treść telegramu, że z łaski Jego Królewskiej Mości sprawa zostaje umorzona i jednocześnie król wzywa Zrinyiego na audiencję do Wiednia.

Zrinyi wieczornym pociągiem udał się do Wiednia w towarzystwie żaka Radovana i Alberta Szturma.

Głodna sensacji publiczność następnego dnia łąpczywie rozchwytywała wieczorne gazety, lecz znalazła tam tylko krótki komunikat:

*Dziś przed południem o godzinie jedenastej Jego Królewska Mość udzielił półgodzinnej audiencji hrabiemu Mikloszowi Zrinyiemu.*

Dopiero nocą, gdy nadszedł numer *Neue Freie Presse*, rozeszły się po mieście szczegóły sławnej audiencji.

Zrinyi zamieszkał w hotelu Pod Królem Węgierskim i stamtąd wśród zebranych tłumów odjechał powozem do Zamku. Wszyscy chcieli zobaczyć znakomitego węgierskiego rycerza, który zmartwychwstał. Zrinyi miał dolman koloru dojrzalego granatu i kołpak ozdobiony czarnym piórem.

Jego Królewska Mość przyjął bohatera łaskawie i zapytał o stan zdrowia, po czym wyraził ubolewanie z powodu wypadków, które się zdarzyły.

Zrinyi według zwyczaju średniowiecznego przyklęknął na jedno kolano i podziękował królowi za łaskę.

— Proszę wstać — rzekł król — i życzę panu teraz przyjemniejszego życia. Ile pan ma lat?

— Skończyłem pięćdziesiąt osiem, Wasza Królewska Mość.

— Jest pan jeszcze w sile wieku, będzie pan mógł w razie potrzeby bronić ojczyzny. Lecz wydaje mi się, że w tym społeczeństwie, do którego pan się dostał bez własnej winy, nie znajduje pan właściwego dla siebie miejsca.

— Rzeczywiście, tak jest, Najjaśniejszy Panie.

— Pan wyświadczył wielką przysługę jednemu z moich sławnych przodków.

— Z przyjemnością uczyniłbym to samo dla Waszej Królewskiej Mości.

— Chcę to panu wynagrodzić, mianuję pana tajnym radcą dworu i ofiaruję panu twierdzę Vajda-Hunyad, oraz milion forintów rocznie z mojej szkatuły. Proszę zebrać swoich dawnych żołnierzy i żyć zupełnie tak, jak ongiś w Sigetvarze. Poza tym proszę przekazać swoim rycerzom nasze królewskie pozdrowienie.

Przy tych słowach król zadzwonił ostrogami, co oznaczało koniec tej wyjątkowo ciekawej audiencji, w tak iście królewski sposób likwidującej ostry konflikt parlamentarny, który w Budapeszcie już zagrażał gabinetowi Banffyego.

Taka w przybliżeniu była treść artykułu *Neue Freie Presse*. Nazajutrz ukazały się wstępne artykuły na temat tego wydarzenia, reporterzy wyjechali naprzeciw Zrinyiego aż do Erszekujvar i szczęśliwi byli ci, którzy mogli dostać się chociaż do żaka Radovana i od niego zdobyć trochę świeżego materiału. Do przedziału Zrinyiego odważył się wtargnąć tylko Miksza Perenyi, który obudził jego ekscelencję i przeprowadził z nim wywiad.

Cały kraj radował się czynem króla. Nawet ci, którzy żądali zastosowania się do ustaw robili dobrą minę, bo król użył prawa łaski i ustawy nie doznały uszczerbku.

## XII

### EPILOG

Przeskoczmy kilka lat i udajmy się do Vajda-Hunyad. Zatrzymajmy się we wspaniałym rycerskim zamku, który dumnie stoi na ogromnej skale sięgając chmur. Zamek ma smukłe wieżyczki, stylowe balkony, klasyczne linie. W dole pod skałą cicho szmerze potok.

Człowiek jak oczarowany stoi przed tym bajecznym zamkiem, oczy chciwie przebiegają loggie i setki okien zygzakowato rozmieszczonych w murach; może w którymś z nich ukaże się Janosz Hunyady, w szyszaku, z długimi falistymi włosami opadającymi na ramiona, lub jego żona o łagodnej twarzy wołająca dzieci: — Laci, Matyi, gdzie jesteście!?

Wszystko jest oczywiście tylko złudzeniem. Pod basztami rzeczywiście bawią się dwaj jasnowłosi chłopcy... Ale gdzie są teraz Hunyadyowie?! Króluje tu jednak epoka renesansu; w zamku mieszka obecnie hrabia Miklosz Zrinyi ze swoimi rycerzami. Sprowadzili się tu wszyscy i żyją jak ongiś w Sigetvarze. Tak rozkazał król.

Zamek jest piękniejszy niż tamten w Sigetvarze. Wody Almaszu zastępuje Zalaszd. Lasy obfitują w zwierzynę, lecz klimat jest ostrzejszy i pan Seczödy narzeka na ciągły kaszel. Pomimo to żyją wesoło i dobrze. Dźwięk trąby z wieży oznajmia przybycie gościa, a zdarza się to często. Odźwiernym jest Piotr Botosz, który ledwie nadąza z otwieraniem i zamykaniem ogromnej bramy. Panie Boborowa i Juraniczowa jeżdżą na polowanie z sokołami jak kasztelanki w dawnych czasach z całą gromadą czeladzi niosącej latarnie i namioty. Gdy Zrinyi wyjeżdża powozem, towarzyszą mu rycerze z lancami i giermkowie, a gdy zasiada do obiadu pod filarami w wielkiej marmurowej sali rycerskiej, na dziedzińcu rozlega się trzykrotny wystrzał z moździerza. Obiady zwykle są bardzo dobre, bo mama Rozerowa prowadzi dom i cały dzień wyklóca się z kucharzem, z kuchcikami, z klucznicą i wszelką inną służbą, a pan radca królewski, to znaczy pan Janosz Nepomucen Rozer, nie miesza się do niczego, wystarcza mu, że może być razem z córką Juraniczową i mieszkać w zamku (w orlim gnieździe — jak zwykły mawiać), a po południu w baszcie do woli grać w karty z kapłanem zamkowym, wielbnyim Janoszem Vinnyoi. Rozer narzeka jednak, że ksiądz oszukuje w grze. Pan Rozer ma dwóch ładnych wnuków, małych Juraniczów, których co chwila musi spędzać z drzew lub innych trudno dostępnych miejsc, na które wdrapują się po pisklęta.

Te dwa niepoprawne łobuziaki wypełniają mu cały dzień.

Tak więc sobie żyją; Alapi i Juranicz ćwiczą wojsko na zamkowym dziedzińcu; dawni rycerze Sigetvaru zaczynają się już wprawdzie starzeć, lecz Zrinyi zastępuje ich nowymi.

Wszystko to jest trochę nudne, jednostajne, a przywódcy co dzień niecierpliwie czekają na gazety:

— Kiedyż wreszcie będzie jakaś wojenka?

Lecz świat nie rusza się. Ach, ci Turcy! Żeby jeszcze raz przyszli! Ale Turek jest już schorowany, nie może chodzić. Niechby więc przyszedł ktokolwiek, sam diabeł. Czasami tęsknota za walką ogarnia byłego komendanta Sigetvaru. Budzą się w nim dawne dzikie namiętności. Co jest wart wielki zamek i tłum rycerstwa, jeżeli nie może ich wypróbować? Jeśli już nie ma wojny, dobra byłaby i mała przygoda wojenna. Polowanie też go już nie zadowala.



Nie ma grubej zwierzyny. Do zajęcy lub sarn nie warto strzelać. W długie wieczory zimowe często sobie marzy i obserwując rubinowe iskierki ulatujące z kominka opowiada, że gdyby był królem, potrafiłby urządzić w Budapeszcie inne polowanie — wypuściłby grubą zwierzynę z ogrodu zoologicznego: lwy, tygrysy, hieny; co by to była za wspaniała zabawa! Miał dnie, gdy tęsknił za nowoczesnym życiem Budapesztu, z neodpartą siłą pociągał go wielobarwny tłum uliczny, wystawy sklepowe, piękne malowane kobiety, wyścigi konne i wieczory klubowe. Czuł, jak walczy w nim nowoczesny człowiek z rycerzem epoki renesansu; zmagają się z sobą, raz jeden jest górą, raz drugi.

Pewnego pięknego wiosennego dnia nastąpiło to, czego życzyli sobie jego starzy żołnierze. Żak Radovan, który zwykle otwierał dzienną pocztę, otworzył pismo, na którego widok rozbliżył mu oczy.

Z Budy donoszono Zrinyiemu, żeby przygotował się, żeby umocnił zamek i zwiększył załogę, bo prawdopodobnie coś się stanie.

I po dwóch tygodniach wróg już stał przed zamkiem Vajda-Hunyad.

Nie możemy w ramach naszego opowiadania szeroko omawiać tych wypadków, możemy najwyżej prześliznąć się pomiędzy nimi.

Wojska carskie napadły na Węgry. Podczas gdy główna armia wtargnęła do kraju od strony Marmaroszu, mniejsze siły skierowały się przez Rumunię na Siedmiogród, aby z dwóch stron ścisnąć króla węgierskiego.

Korpus dowodzony przez hrabiego Dymitra Dekanowa obiegnął twierdzę Vajda-Hunyad, podobnie jak przed czterystu pięćdziesięciu laty Soliman otoczył Sigetvar.

Zrinyi był w swoim żywiole, bronił się na śmierć i życie, często urządzał wypadki, które czyniły wielkie spustoszenie w szeregach carskich i oczekiwał pomocy, która by go uwolniła od oblegających.

Lecz wszystkie wojska były zajęte w Marmaroszu, gdzie bohatersko biły Rosjan. Oszołomiony zwycięstwem rząd wojenny niewiele myślał o biednym Siedmiogrodzie.

W ten sposób Zrinyi, całkowicie opuszczony, doszedł do tego samego co ongiś: zabrakło żywności, mury zamku były naruszone, lecz obrońcy nie tracili ducha; jeden tylko papa Rozer wolałby znajdować się w domu na ulicy Zielonej i w Kole Mieszczańskim, albo grać w karty z Palem Szartorym zamiast tkwić wśród błyskawic w „orlim gnieździe”.

Pewnego dnia przed bramą zamkową zjawił się parlamentariusz. Dekanowa również znudziło męczące oblężenie, a może doszły go wieści o wielkim zwycięstwie króla węgierskiego pod Marmaroszem i chciał potargować się ze Zrinyim.

Parlamentariuszowi zawiązano oczy i zaprowadza no go przed oblicze Zrinyiego, któremu wręczył list Dekanowa.

„*Batiuszka* — pisał hrabia Dekanow — poddaj zamek, a zostaniesz księciem Siedmiogrodu. Jeżeli nie poddasz, zabiorę siłą”.

Zrinyi sięgnął po kałamarz i choć rzadko pisał osobiście, tym razem odpowiedział własnoręcznie rzuconymi na papier kulfonami:

„*Batiuszka*. Przyjmij do wiadomości, że Miklosz Zrinyi nie ma zwyczaju oddawać twierdz. Jeśli tego nie wiesz — to ja ci pokażę.”

I odprawivszy parlamentariusza rozkazał odźwiernemu, by już żywej duszy nie wpuścił i nie wypuścił z zamku. Zwołał do siebie całą załogę, wygłosił piękną patriotyczną mowę i wezwał ich, by wyruszyli do ataku, tak jak ongiś. Żywności zabrakło, wojska z odsieczą nie nadchodzą, baszty są zniszczone. „Po raz drugi umrzijmy za Ojczyznę!”

— *Bis repetita placent!* \* — zawołał z entuzjazmem siłacz Pataczicz.

— Umrzycjmy! — zawołałi wszyscy.

— I znów zmartwychwstaniemy — dodawał im ognia Juranicz.

Potem udali się do kaplicy zamkowej, gdzie Janosz Vinnyoi odprawił mszę, a podniesionym na duchu mama Rozerowa rozdała ostatnie porcje żywności. Jutro już nie będzie nic do jedzenia. Lecz nawet nie potrzeba. Kobiety i dzieci tajemnymi krążgankami zostaną wyprowadzone w nocy na wolność i rano wojsko wyruszy do ataku po otwarciu bram zamku.

Wszyscy byli twardymi rycerzami i wzruszyli się tylko na widok Juranicza, który wychodząc z kościoła zobaczył swoich synków biegających po dziedzińcu; chwycił ich w ramiona, wyczałował i tylko jedną łzę sobie otarł:

— Moje biedne dzieciaki — wyszeptał.

Zrinyi wzruszył się także.

— Zostań z nimi — prosił Juranicza. Juranicz jednak obrażonym głosem z dumnie podniesioną głową odpowiedział:

— Za kogo mnie uważa Wasza Ekscelencja?

Zrinyi pośpiesznie udał się do sal zamkowych. Szukał samotności i równowagi duchowej, potrzebował chwili skupienia i przygotowania się do czynu. Halabardzistom stojącym na warcie przy drzwiach przykazał:

— Nikomu nie wolno mnie niepokoić.

— Nawet mucha tu nie wejdzie, Wasza Ekscelencjo.

Zaczął przechadzać się tam i z powrotem, a marmurowe płyty posadzki niesamowicie dudniły pod jego krokami.

Nagle usłyszał pukanie do wewnętrznych drzwi. Drgnął i gniewnie odwrócił głowę. Kto odważył się złamać jego rozkaz?

Drzwi otworzyły się i wszedł — Miksza Perenyi.

Zrinyi przez chwilę zaniemówił, zdumiony, jak ten człowiek mógł przejść przez kordony wojsk carskich, przez zamknięte bramy, przez strażę u podwoi zamkowych.

— Jak pan się tu dostał? — zawołał z gniewem.

— Dzięki własnej pomysłowości — odpowiedział Perenyi kłaniając się raz po raz i mrugając oczami. — Dałem znać jaśnie pani Boborowej, że sprzedaję modne tkaniny, a Wasza Wysokość wie, jakie są kobiety! Oczywiście była ciekawa tych tkanin i znalazła sposób, abym mógł się tu dostać.

— Czego pan chce?

— Chcę zrobić wywiad z Waszą Ekscelencją.

— Daj pan spokój, bo każę pana zrzucić z baszty.

— Nie wierzę w to. Wasza Ekscelencja ma za dobre serce, aby swój gniew wyrzucić na takim bezradnym osobniku. Poza tym Wasza Ekscelencja potrafi zrozumieć opinię publiczną całego kraju, która z pełną troski obawą interesuje się jego losem, i z pewnością nie sprzeciwi się pan udzieleniu jej informacji.

— Co pan chce wiedzieć? — rzekł niecierpliwie Zrinyi.

— Czy prawdą jest, że jutro Ekscelencja poprowadzi wypad z zamku?

— Stanie się to jutro rano.

— Czy prawdą jest, że pan hrabia włoży strój galowy, jak ongiś w Sigetvarze?

— Prawda. Strój leży przygotowany na krześle.

— Czy wasza Ekscelencja znów włoży sto sztuk złota do kieszeni?

\* Dobrze jest rzecz powtórzyć, (łac.)

- Taki już mam zwyczaj — odpowiedział z gorzkim uśmiechem komendant Vajda-Hunyadu.
- Jeżeli wolno mi się zapytać, jakie są te monety, dziesięcio- czy dwudziestokoronówki?
- Dwudziestki.

Miksza Perenyi zbliżył się teraz do Zrinyiego, jakby instynktownie czuł, że ktoś podsłuchuje (rzeczywiście piękne różowe uszko Boborowej było przy dziurce od klucza).

— Ekscelencjo, chciałbym coś powiedzieć — mówił ściszym głosem, bezczelnie szczerząc zęby. — Niech Ekscelencja nie wkłada nic do kieszeni; bo czy ważne jest to, że ten głupi kozak, który pana zabije, znajdzie je tam? Czy wart jest tego? Wasza Ekscelencja wszystko robi dla historii i jeżeli ja napiszę, że Wasza Ekscelencja miała sto złotych koron w kieszeni — raczcie mnie zrozumieć — to w historii będzie figurowało tak a nie inaczej. Pan hrabia da połowę mnie, a drugą połowę może Wasza Ekscelencja komuś pozostawić i obaj zrobimy dobry geszeft.

Zrinyi stał wahając się; zaskoczony taką bezczelnością nie potrafił prędko się zdecydować, czy ma się śmiać z tego pomysłu, czy otworzywszy szeroko okno chwycić pana Perenyiego jak kota i zrzucić go w otchłań.

Lecz właśnie w tym momencie weszła Boborowa, jeszcze wciąż młoda i zgrabna, tylko z twarzą nieco bladą i smutnymi zapłakanymi oczami.

— Czy pani życzy sobie czegoś? — łagodnie zapytał Zrinyi.

— Przyszłam tylko przyszyć guziki do dolmana.

Następnego dnia o wschodzie słońca Zrinyi ubrał się w swój dolman koloru dojrzałego granatu, który miał na sobie w czasie sławnej podróży do Wiednia, włożył kołpak ozdobiony czarnym piórem, kazał uderzyć we wszystkie dzwony, otworzyć bramy i z okrzykiem: „Bij, kto w Boga wierzy!” wśród dymu armat wypadł z rycerzami do ataku.

Zginęli wszyscy, co do jednego, lecz drogo sprzedali swe życie. Sam Zrinyi popędził konno do wodza carskich wojsk, hrabiego Dimitra Dekanowa:

— Wyciągnij szablę, *batiuszka!*

Spotkały się ich stalowe klingi i Zrinyi z taką siłą ciął hrabiego w głowę, że rozpadła się na dwie części. Teraz kozacy rzucili się na Zrinyiego i wkrótce osunął się martwy pod ciosami ich bagnatów.

W powietrzu słychać było cichy łopot. Może to dźwięk błyskających szabel, a może coś łagodniejszego? Łopot śnieżnobiałych niebiańskich skrzydeł „Legionu anielskiego”, który wyśnił drugi Miklosz Zrinyi, poeta i autor starej „Zriniady“, kończąc legendę o życiu swego sławnego przodka słowami:

Gabriel duszę bana wraz z jego rycerzami  
Unosi z ziemi swymi pięknymi skrzydłami...

# SPIS ROZDZIAŁÓW

Od Wydawnictwa

## CZEŚĆ PIERWSZA

I Preludium . . . . .	2
II Pierwsze wieści i Watykan . . . . .	4
III Sławny słomiany ogień . . . . .	14
IV Proza . . . . .	26
V Rozerwie . . . . .	34
VI Delikatna sprawa . . . . .	41

## CZEŚĆ DRUGA

VII Poezja . . . . .	51
VIII Wywiadowca-amator . . . . .	58
IX Katastrofa . . . . .	65
X Parlament . . . . .	78
XI Rozwiązanie . . . . .	86
XII Epilog . . . . .	96